

SPECJALNIE DLA „DO RZECZY”:

Patryk Jaki: Media bronią układu w Warszawie

**108
stron**

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 41/293 8-14 PAŹDZIERNIKA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**Silne kobiety
na ekranach**

**DODATEK
SPECJALNY:**

**ŻYDZI
W POWSTANIACH
NARODOWYCH**

LGBT w ZHP



**PREMIER MATEUSZ MORAWIECKI
W MOCNEJ ROZMOWIE:**

**Nie
boję się
ataków
mafii**

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 85 tys. egzemplarzy



Bank Polski

WYBRALIŚCIE NAJLEPSZĄ BANKOWOŚĆ MOBILNĄ

Aplikacja IKO PKO Banku Polskiego ma najwyższe oceny użytkowników w Google Play i App Store spośród 5 największych banków w Polsce*

*Zestawienie bankowych aplikacji mobilnych zostało opublikowane 30.08.2018 r. na Antyweb.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W cieniu półksiężyca

Tydzień temu prezydent Turcji, Recep Erdoğan, otworzył w Kolonii największy meczet w Europie. Budowano go dziewięć lat. Zajmuje 4,5 tys. mkw. i, jak piszą media, może pomieścić jednocześnie nawet 4 tys. wiernych. Pod każdym względem budowa godna jest uwagi – kopuła o wysokości 37 metrów góruje nad miastem, a 55-metrowe minarety są najwyższe w Europie. Dla porównania – kopuła warszawskiej Świątyni Opatrzności wznosi się na wysokość ledwo 30 metrów.

Nie ma wątpliwości, że nowy meczet w Kolonii jest dowodem na szybkość postępów islamu w zachodniej Europie. Takich wielkich meczetów jest coraz więcej – w Rotterdamie meczet Essalam pod wysoką na 25-metrów kopułą mieści 3 tys. wiernych, niewiele mniejszy był otwarty w 2008 r. wielki meczet w Duisburgu, który może pomieścić 1,2 tys. osób i minarety o wysokości 35 metrów. Podaję te dane, bo mówią same za siebie. W czasie, kiedy kościo-

ły chrześcijańskie zamykane są z braku wiernych, wyprzedawane lub zamieniane na miejsca użytku publicznego – restauracje, kluby, centra kulturalne, muzea – otwierane są kolejne miejsca kultu muzułmańskiego. Meczety w XXI w. zaczynają pełnić podobną funkcję jak katedry gotyckie w wiekach XI–XIII – są symbolami żywotności i rozwoju pewnej nowej formacji religijnej.

Warto też pamiętać, że w każdym przypadku mamy do czynienia z ogromną inwestycją – zakłada się, że sam tylko meczet w Kolonii kosztował ok. 150 mln zł i był w znacznej części finansowany przez rząd Turcji. Wszystkie te przedsięwzięcia pokazują rosnący z roku na rok wpływ muzułmanów tak na życie polityczne, jak religijne Zachodu. Są one też swoistym wyzwaniem rzuconym wielkim katedrom czy bazylikom chrześcijańskim, które w coraz większym stopniu stają się znakami minionej, dawnej, raz na zawsze zamkniętej przeszłości.

Władze poszczególnych państw Unii są zakładnikami wcześniej prowadzonej otwartej polityki imigracyjnej. Nawet w przypadku Niemiec, gdzie imigranci tureccy pojawili się na masową skalę w latach 60. i gdzie ich napływ miał charakter ekonomiczny, samoświadomość muzułmańska tej grupy jest coraz silniejsza. Trzecie pokolenie przybyszów wcale się nie asymiluje, przeciwnie – tworzy coraz bardziej pewną siebie, odrębną grupę kulturową. I skutecznie walczy o swoje prawa.

Co ciekawe jednak, dla dominującej na Zachodzie lewicy wciąż największym przeciwnikiem wydaje się nie postęp islamu i zagrożenie fundamentalizmem islamskim, ale pozostałości tradycji chrześcijańskiej. To ją trzeba zwalczać, ograniczać, oczerniać i atakować. Im więcej meczetów i im więcej muzułmanów – sądzą lewicowi ideologowie – tym lepiej, bo dzięki nim Europa systematycznie traci swój chrześcijański charakter. Nie oznacza to oczywiście, że europejska lewica postanowiła uwierzyć w Proroka. Co to, to nie. Raczej traktuje islam instrumentalnie: po ostatecznym dostosowaniu chrześcijan do projektu nowego wspaniałego świata, gdzie religia i prawo naturalne przestaną odgrywać jakąkolwiek rolę i znikną tożsamości narodowe, przyjdzie kolej na dostosowanie muzułmanów. Tyle że ten utopijny projekt może okazać się niewykonalny. Niszcząc chrześcijaństwo, tworzy się pustkę, którą właśnie wypełniają muzułmanie.

Dla Polski z całej tej historii płynie jedna prosta przestroga: trzeba za wszelką cenę bronić się przed masowym napływem muzułmańskich imigrantów. W przeciwnym razie traci się, prędzej czy później, kontrolę nad własnym państwem. ©

RYSUNEK TYGODNIA

Ojciec Chrzestny dla ubogich

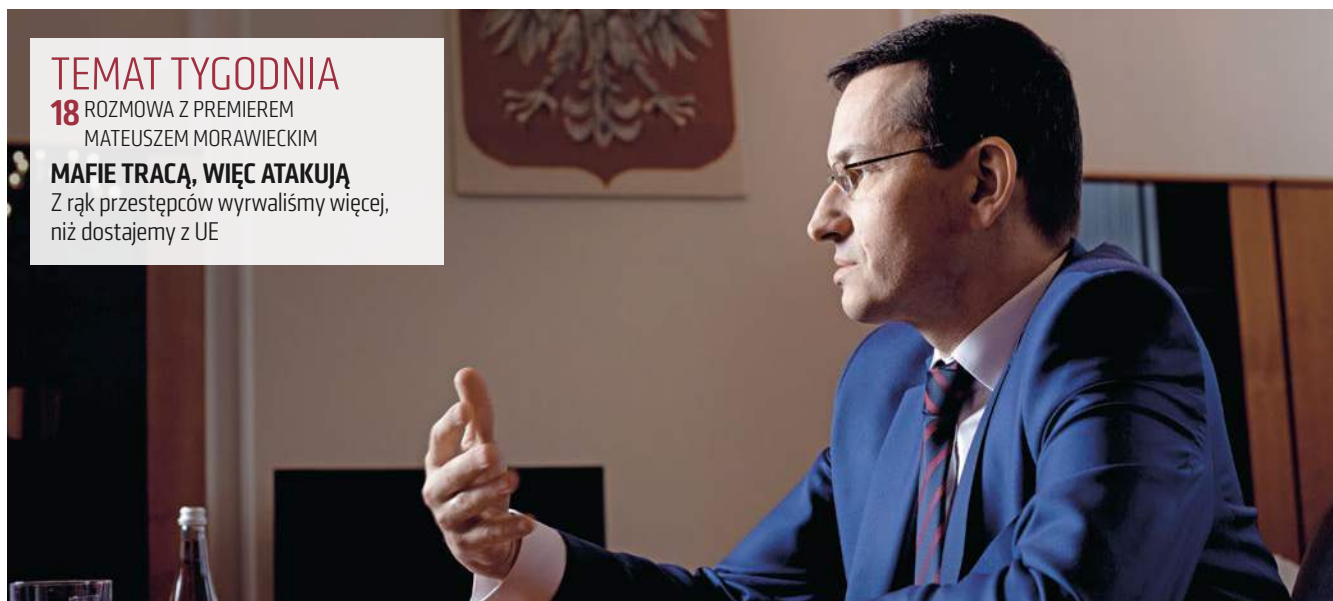


TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z PREMIEREM
MATEUSZEM MORAWIECKIM

MAFIE TRACĄ, WIĘC ATAKUJĄ

Z rąk przestępców wyrwaliśmy więcej,
niż dostajemy z UE



KRAJ

24 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM

WARSZAWA JEST JAK JA

Media bronią układu w stolicy

28 MACIEJ PIECZYŃSKI

FIGHTER NADZWYCZAJNEJ KASTY

30 ROZMOWA Z SZEFEM BBN PAWŁEM SOŁOCHEM

OBRONA TO TAKŻE SOJUSZE

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

LGBT W ZHP

KULTURA

38 WIESŁAW CHEŁMINIAK

SILNE KOBIETY NA EKRANY!

Kinowe parytety



NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK HISTORYCZNY



47 POLSKA – OJCZYŻNA ŻYDÓW CZ. 2

- Co zabory oznaczały dla Żydów
- Historia pewnego sztetlu
- Żydzi w powstaniach narodowych
- Fenomen sekty frankistów

OPINIE

66 PIOTR SEMKA

NĘKANIE HUSYTÓW, CZYLI EUROPA 2018

Unia ideologów

72 PIOTR GOCIEK

WSPÓLNYM WYSIŁKIEM CZY CUDZYM RĘKAMI?

74 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

WSTRZĄS, KTÓREGO NIE MA

ŚWIAT

84 JACEK PRZYBYLSKI

POLOWANIE NA CZAROWNIKÓW

Jak słowa niszczą kariery

88 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

DYSKRETNĄ ZGODĄ WATYKANU

EKONOMIA

90 TOMASZ CUKIERNIK

ZDUSZENI DOTACJAMI

Czy zawsze opłaca się wsparcie z UE

SPORT

96 ŁUKASZ ZBORALSKI

O DWÓCH TAKICH, CO UKRADLI ŻŁOTO

Polscy siatkarze obronili mistrzostwo świata

O ZDROWIU

98 ROZMOWA Z TOMASZEM SZTREKEREM

ZACZNIJ ŻYĆ

Prezes Polskiej Akademii Biznesu, którego
mama chorowała na nowotwór, o systemie
zdrowia w Polsce

Rusz się – na zdrowie

Od lat wiadomo, że aktywność fizyczna zmniejsza ryzyko wystąpienia cukrzycy i chorób serca. Coraz więcej badań świadczy o tym, że jest to jeden ze sposobów, by ustrzec się przed niektórymi typami nowotworów. Jak się ruszać, by uniknąć raka?

Nawet połowy zachorowań na nowotwory w Europie można by uniknąć, gdybyśmy zastosowali 12 sposobów na zdrowie, które zostały opisane w Europejskim Kodeksie Walki z Rakiem. Jednym z nich jest aktywność fizyczna. W Polsce rośnie moda na bycie aktywnym. Coraz więcej osób na co dzień uprawia sport i aktywnie spędza wakacje – zamiast biernie się opalać na plaży, spacerują, pływają i jeżdżą na rowerze.

SILNY UKŁAD ODPORNOŚCIOWY

Aktywność fizyczna powoduje redukcję masy ciała, obniża ryzyko pojawienia się insulinooporności i cukrzycy, zmniejsza ryzyko nowotworu. Widać to szczególnie w przypadku raka piersi. Kobiety, które mają niższą masę ciała i są bardziej aktywne fizycznie, rzadziej zapadają na choroby nowotworowe – mówił dr Michał Wilk z Centrum Podyplomowego Kształcenia Medycznego Europejskiego Centrum Zdrowia w Otwocku podczas konferencji Exercise is Medicine, która odbyła się we wrześniu 2018 r. w Warszawie.

Wysiłek fizyczny powoduje uwolnienie w organizmie kortyzolu i katecholamin. A to powoduje wzrost liczby niektórych komórek układu odpornościowego, m.in. limfocytów NK (naturalny kiler, czyli naturalni zabójcy atakujących organizm patogenów) oraz limfocytów T, które stanowią pierwszą linię obrony organizmu także przed komórkami zmienionymi nowotworowo. Aktywność fizyczna łagodzi też procesy zapalne i obniża stężenie hormonów płciowych. Wpływa również na ekspresję niektórych genów.

Ryzyko zachorowania na raka jelita grubego i błony śluzowej macicy rośnie, gdy więcej czasu spędzamy w pozycji siedzącej. U mężczyzn siedzenie przez więcej niż dziewięć godzin dziennie może podnieść ryzyko nowotworu jelita grubego nawet o 61 proc. U kobiet prowadzących siedzący tryb życia wzrasta zagrożenie nowotworami jajnika i piersi, u mężczyzn – prostaty.

JAK ĆWICZYĆ, BY SIĘ CHRONIĆ PRZED RAKIEM

Największe korzyści przynosi stosowanie różnorodnych form treningu. Warto uwzględnić:

- aktywność fizyczną o średniej intensywności (szybki marsz, jazda na rowerze po łatwym terenie, taniec, pływanie w wolnym tempie, trening siłowy);
- aktywność fizyczną o dużej intensywności (bieg, aerobik, gra w tenisa, intensywny trening na siłowni).

Najlepiej zacząć od ćwiczeń o średniej intensywności, a potem stopniowo ją zwiększać. Warto poświęcać każdego dnia:

- 60 minut na ruch o średniej aktywności lub
- 30 minut na aktywność o dużej intensywności.

Minimum to 30 minut ćwiczeń każdego dnia. Aktywność fizyczna powinna być dopasowana indywidualnie. Osoby mające różnego typu schorzenia (np. choroby serca) muszą wcześniej się skonsultować z lekarzem.

Im mniej czasu spędzamy w pozycji siedzącej, tym lepiej. Jeśli w pracy długo siedzimy przed komputerem, od czasu



Przed tymi nowotworami chroni ruch: są na to dowody!

Rak jelita grubego. Według Międzynarodowej Agencji Badań nad Rakiem (IARC) siedzący tryb życia zwiększa ryzyko zachorowania na ten nowotwór. U osób regularnie ćwiczących jest ono mniejsze o mniej więcej 25 proc.

Rak piersi. Dowolne ćwiczenia wykonywane przez 90 minut dziennie (w porównaniu z ćwiczeniami wykonywanymi 30 minut dziennie) mogą obniżyć ryzyko zachorowania na raka piersi u kobiet po menopauzie nawet o 25 proc.

Rak błony śluzowej macicy. Ryzyko wystąpienia tego nowotworu u kobiet aktywnych jest o 20 proc. niższe niż u tych, które ćwiczą mniej intensywnie.



do czasu dobrze jest wstać i się poruszać przynajmniej przez kilka minut.

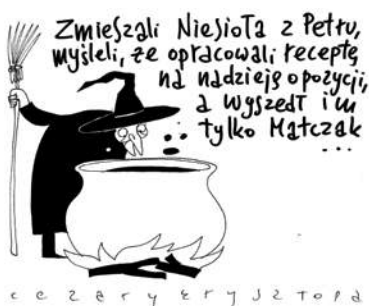
Tekst: Katarzyna Pinkosz, konsultacja: dr Joanna Didkowska, kierownik Zakładu Epidemiologii i Prewencji Nowotworów Centrum Onkologii – Instytut im. Marii Skłodowskiej-Curie

Droży Czytelnicy,

W tym tygodniu nie mogło być inaczej – wręcz zasypaliście nas e-mailami na ten temat – dyskutujemy o tym, jak Kościół ukazano w „Klerze”, a jaki jest naprawdę. Listy elektroniczne prosimy przysyłać na adres: listy@dorzeczy.pl

„Ptaś mózdzek i propaganda” – Paweł Lisicki, „DRz” 39/2018

Nie po raz pierwszy podzielałam poglądy red. Pawła Lisickiego w sprawach obecnej sytuacji Kościoła. I tym razem w pełni zgadzam się z Jego opinią, że obecna kampania antykościelna ma znamiona komunistycznej propagandy rodem z najgorszych lat tego systemu. Należę do pokolenia, które pamięta jeszcze z dzieciństwa czasy Gomułki (antykościelne nagonki po liście biskupów czy obchody 1000-lecia Polski w kontrolę do chrztu), a z opowiadań rodziców – czasy stalinowskie w Polsce, kiedy to działacze ZMP-owscy (a przynależność do tej organizacji była w zasadzie obowiązkiem, jeśli myślało się o studiach) bez owijania w bawełnę oskarżali Kościół o wszelkie zło. W czasie, gdy kard. Stefan Wyszyński siedział w więzieniu, agitatorka ZMP (zapewne całkiem przypadkowo Żydówka), tłumaczyła polskiemu studentom, jak zacyfany i reakcyjny jest Kościół katolicki i jak działa na szkodę PRL.



Dzisiejsza propaganda ateistyczna i antykościelna używa słowo w słowo tych samych „argumentów” jak 60, 70 lat temu, przedstawiając fałszywy obraz tej liczącej dwa tysiące lat instytucji. Zapewne część młodzieży uznaje to za postępowe i nowoczesne. Warto jednak zauważyć, że to w zasadzie nihil novi sub sole. Wystarczy spojrzeć wstecz, by zauważyć zapiekłość w zwalczaniu katolicyzmu 500 lat temu w czasach tzw. reformacji (pisma Lutra!) czy potem w latach rewolucji francuskiej

i terroru jakobińskiego. Podobnie zachowywali się, co w Polsce nie jest może powszechnie wiadome, hitlerowcy. Goebbels rozpętał w latach 30. historyczną kampanię, oskarżając kler katolicki o wszelkie możliwe zbrodnie.

Biczowanie Kościoła to rozrywka tania, łatwa i bezpieczna. Smarzowski wie, że kręcąc film o księżach, niczego nie ryzykuje, bo ci na ogół (nie dotyczy to np. ks. Lemańskiego) nadstawiają drugi policzek. Przyjemnie jest więc chodzić w glorii bohatera, który to dokopał czarnym. Ciekaw jestem, czy miałby tyle odwagi, by nakręcić podobny paszkwil o rabinach lub duchownych muzułmańskich.

Chrystus powiedział do swoich uczniów: „Będą was wydawać sądom i w swych synagogach będą was biczować. Nawet przed namiestników i królów będą was wodzić z mego powodu, na świadectwo im i poganom. [...] Będziecie w nienawiści u wszystkich z powodu mego imienia. Lecz kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony”. Wszystko wskazuje na to, że słowa te nie straciły aktualności. Dzisiejszy atak na chrześcijaństwo – wcale nie chodzi o kler, choć tak twierdzą atakujący! – wpisuje się w długą historię walki z tą religią od czasów jej powstania. Człowiek wierzący wie, że szatan, którego zapach po Soborze Watykańskim II wdarł się także do świętyń Pana (papież Paweł VI), nie spocznie i do końca świata będzie starał się zniszczyć Boże dzieło. Cała nadzieja w Bogu i Jego świętych, że to mu się nie uda.

Wojciech Zajęczkowski,
Łódź

Kościół taki nie jest

Bardzo kocham swój Kościół i chętnie bym pomaszerował w jakimś proteście w jego obronie. [...]

Mój wuj jest księdzem, mój kuzyn też (narodowym, więc prawie heretyckim), ja byłem ministrantem (nikt mnie nie molestował oczywiście – miałem proboszcza świetnego, dobrego człowieka, skromnego, niepazernego, oddanego Kościołowi i Polsce), pochodzę z chłopskiej katolickiej rodziny itd. Znam więc ten Kościół codzienny, ten „na dole” dość dobrze.

Nie ma tam absolutnie takiej patologii jak u Smarzowskiego. Nie ma, nie było i nie będzie. Z drugiej strony: nie ma też łaciny, klasy, wielkiej mądrości i takiej teologii itd. Polska kiczem stoi i polski Kościół też. [...]

Michał Augustyn



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Godiek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**, **Łukasz Warzecha**, **Rafał A. Ziemiakiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**, **Sławomir Cencikiewicz**, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Cioś** (*Bruksele*), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**, **Piotr Gursztyn**, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**, **Filip Memmes**, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sękowski**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torajski**, **Matthew Tymand**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Karol Gac**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**, **Jacek Nadratowski**, **Anna Sobieska-Wójcik**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Adam Chelstowski/FORUM**, oprac. graf. **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batony Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 85 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1 prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



TOMMYICONS TOMMY.COM

epresa.pl 55d20etda7



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wyjazd w ciemno

Na portalu Deutsche Welle trafiłem na perełkę. To czterominutowy reportaż o losach pary emerytów z Niemiec, którzy dali się skusić na ofertę spędzenia jesieni życia nad Morzem Czarnym w Bułgarii.

„Willa z basenem w bułgarskiej wiosce Mogiliszte miała być spełnieniem marzeń państwa Eschke” – reportaż zaczyna się jak opowieść o wygraniu losu na loterii. Jednak od paru lat parze emerytów żyje się tutaj coraz gorzej. „Musimy monitorować naszą posiadłość, bo oni są przyzwyczajeni do kradzieży cudzego mienia – mówi pan domu. – Ludzie mieszkający tu są biedni, bardzo biedni”. „Dom przypomina teraz twierdzę, a kamery monitoringu czynne są dzień i noc. Ralf Eschke nie ufa już nikomu. Ale nakład czasu i pieniędzy na ochronę swojego domu jest ogromny. Państwo Eschke nie mogą już sobie na to pozwolić” – słyszymy w komentarzu.

Gdy wyjeżdżali z RFN osiem lat temu, ceny w Bułgarii były niższe. Jak dowiadujemy się z filmu, we wsi było więcej posiadłości dla zagranicznych turystów. Tyle że ich sąsiedzi – Niemcy i Brytyjczycy,

którzy też planowali spędzić tu resztę życia – dawno już się stąd wyprowadzili.

Reporterzy towarzyszą panu Ralfowi w trakcie wizyty w miejscowym sklepie. Znów słyszymy komentarz autorów: „Z bułgarskimi mieszkańcami wsi państwo Eschke nie utrzymują kontaktów. Sprzedawczyni w małym sklepiku zna ich co prawda od lat, ale podchodzi do nich z dystansem. Poza słowami »chleb«, »woda« i »dziękuję« nie potrafią nic więcej powiedzieć po bułgarsku. O czym więc z nimi rozmawiać?”.

Jak wskazują twórcy reportażu, w Bułgarii osiedliło się 25 tys. emerytów z Niemiec i Wielkiej Brytanii, ale wielu z nich nie zdawało sobie sprawy, co oznacza życie w obcym kraju. Manfred Schrieff, niemiecki agent nieruchomości działający w Bułgarii, mówi: „Wielu moim rodakom wydaje się, że czeka ich tu rajskie życie za grosze. To często kończy się tragicznie. Dla wielu nie ma już drogi powrotnej do Niemiec, ponieważ pozbyli się całego mienia”.

Ralf Eschke na koniec filmu mówi: „Powiem szczerze, nigdy

już tu nie przyjedziemy, chcemy już tylko wyjechać”. Dokąd? Państwo Eschke za resztę oszczędności chcą kupić dom na Węgrzech. Wierzą, że tam im się poszczęści.

Oglądając film, zastanawiałem się, skąd u państwa Eschke wziął się impuls do sprzedania wszystkiego i wyjazdu na południe Europy? Pewnie dostali kuszącą ofertę. Jednak na pewno w podjęciu decyzji ważną rolę mogła odegrać samotność. Czy gdyby mieli stały kontakt z dziećmi czy wnukami, toby wyjechali? Wielu ich rówieśników czuje się bezpieczniej, wiedząc, że zawsze może liczyć na pomoc dzieci. Jednak czy państwo Eschke mają dzieci? W reportażu nie ma słowa na ten temat. Nic nie poradzę, ale ich wyjazd do Bułgarii jawić się może jako ucieczka z krainy, z którą nic ich nie wiązało. Nie wzięli pod uwagę, że miejscowych Bułgarów także nie będzie nic wiązało z nimi. A obcych, którzy nie mają ochoty nauczyć się miejscowego języka, nikt specjalnie nie polubi. Czy na Węgrzech będzie bezpieczniej i taniej? Być może. Gwarancji nie ma. ©©

ARESzt PO PIRACKIM RAJDZIE

Sąd w Dolnym Kubinie na Słowacji aresztował 42-letniego Marcina L., jednego z uczestników szaleńczego rajdu piratów z Polski. Niebezpieczna jazda, podczas której Polacy złamali szereg przepisów drogowych, doprowadziła do tragicznego wypadku porsche i skody, w którym zginął 57-letni Słowak, a jego żona i syn trafili do szpitala. Słowacka prokuratura domaga się również aresztu dla dwóch pozostałych Polaków – Adama Sz. i Łukasza K. – przekonując, że „istnieje obawa kontynuowania czynów karalnych i ucieczki” (*jap*) ©©



30.09.2018 13:51



TORII



butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 55d20efde7



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Baba od Żeromskiego

Szykuje się bardzo ciekawy proces. Andrzej Sapkowski, twórca literackiego cyklu o Wiedźminie, domaga się 60 mln zł od firmy CD Projekt, która wydała o tymże Wiedźminie i wymyślonym przez Sapkowskiego fantastycznym uniwersum kilka gier. Kwota wydaje się oszałamiająca, ale jest to zaledwie 6 proc. z szacowanych zysków, które

propozycję udziału w oczekiwanych zyskach i – nie wierząc kompletnie w sukces przedsięwzięcia (trudno się dziwić po doświadczeniach, jakie miał z filmem) – zażądał „kasy” z góry. Gdyby rzecz działa się w USA, nie miałby więc dziś w ogóle szansy na nic – jak nic nie miał autor powieści „Forrest Gump” z sukcesu jej ekranizacji albo jak ten plastik, który sprzedał pomysł charakteryzacji potwora Frankenstein’a za 25 dol. wytwórni filmowej, która do dziś na prawach do niej zarabia miliony.

Polskie prawo autorskie jest jednak inne, doskonalsze, i zakłada, że prawa twórcy do dzieła są niezbywalne. Sapkowski nie mógł sprzedać postaci Wiedźmina „na dobre”, mógł tylko udzielić licencji na jej określone wykorzystanie – nawet jeśli podpisał coś innego, to umowa jest z mocy ustawy nieważna.

Oczywiście można używać innych argumentów (np. że świa-

towy sukces gry napędził Sapkowskiemu zysków z przekładów). Szykuje się więc, powtarzam, spór ciekawy, w którym osobiście jestem po stronie pisarza.

Ale komplikacja materii prawnej ma się nijak do tego, że samo poruszenie przeze mnie tej sprawy w Internecie, na Twitterze, wywołało lawinę hejtu i obelg pod adresem Sapkowskiego. A dobrze mu tak! Dość się nachapał! Nieodparcie przypominała mi się sławna warszawska przekupka, która, według relacji Słonimskiego, miała skomentować wystawny państwowy pogrzeb Żeromskiego zawistnym: „Biednego by tak nie chowali”.

Cóż, być może ta przekupka nie była reprezentatywna dla swoich czasów. Być może także Twitter nie jest miarodajny, jeśli chodzi o niechęć Polaków do takich odmienności, jak pisarze. Ale niesmaku narobić potrafi. ©

Sapkowski nie mógł sprzedać postaci Wiedźmina „na dobre”, mógł tylko udzielić licencji na jej określone wykorzystanie

w ostatnich latach przyniósł firmie światowy sukces jej produktu. Z owego miliardowego zysku pisarz otrzymał, jeśli mnie pamięć nie myli, trzydzieści parę tysięcy złotych.

Stało się tak za sprawą umowy, którą kiedyś podpisał. Sam odrzucił



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Dzień zadymiarzy

Setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości, mimo wszystkich, nie mniej-szych niż w 1918 r. politycznych zawirowań i sporów, łączy Polaków przynajmniej na chwilę – tak jak 100 lat temu połączyła na moment zwolenników Piłsudskiego, Dmowskiego i monarchistów powiązanych z Radą Regencyjną. To dobra wiadomość. Jest i zła.

W tym roku na Święto Niepodległości znów postanowili swoje siły połączyć młodociani bojówkarze spod znaku Antify i nastoletni marksiści – zazwyczaj smarkateria z dobrze sytuowanych rodzin – którzy, nie znając w praktyce pojęcia

„praca”, chętnie rozdystrybuowaliby owoce pracy innych. Skupieni w ogłoszonej na Facebooku „koalicji antyfaszystowskiej” szykują się, by zamienić piękną rocznicę w uliczną zadymę. „Żadna ilość narodowych flag nie zakryje codziennych upodłości [...]”. Prawa zdobywa się w walce. Za wolność naszą i waszą” – wzywają na Facebooku.

Co to za sobą niesie? Bardzo korzystną, z punktu widzenia niezręczliwych Polsce medialnych ośrodków na Zachodzie, narrację, i to bez względu na to, czy dojdzie do starć antifowców z uczestnikami Marszu Niepodległości, czy policji uda się nie dopuścić do awantur.

W pierwszym przypadku lewicowe media ogłoszą, jak to „demokratyczna” część społeczeństwa postanowiła postawić tamę „fali nazizmu” w Polsce przy „wspieraniu prawicowego rządu”; w drugim – narracja będzie podobna, tyle że doprawiona komentarzami, jak to prawicowa władza „chroni nazioli”, bijąc „demokratów”, i opiniami zawodowego „antyfaszysty” Rafała Pankowskiego. Tak czy siak lewaccy bojówkarze wystąpią w usługowej roli, w której chłopcem do bicia będą nie tyle mityczni „naziści”, bo ci w naszym kraju nie występują, ile wizerunek Polski na arenie międzynarodowej. ©

Pewność świętości

„Santo subito!” – domagali się wierni z całego świata po śmierci Jana Pawła II, nie mając wątpliwości, że odszedł ktoś święty. Świadczenia świętości Polaka ukazuje film dokumentalny, który będzie można kupić z najbliższym wydaniem „Do Rzeczy”

Gdy spytać ludzi, którzy w kwietniu 2005 r. byli już co najmniej nastolatkami, o to, co robili w chwili, gdy dowiedzieli się o śmierci Jana Pawła II, wielu z nich bez wahania opíše tamte chwile. Niewiele jest takich zdarzeń. Fakt, że potrafimy z taką dokładnością odtworzyć okoliczności sprzed lat, świadczy o tym, że mieliśmy do czynienia z wydarzeniem historycznym, ale przy tym mocno nas dotykającym. To dzięki emocjom tak dobrze pamiętamy tamten dzień.

To najlepszy dowód na to, jak ważną osobą – nie tylko w ujęciu globalnym, historycznym, lecz także osobistym dla milionów ludzi na całym świecie – był Jan Paweł II. Film dokumentalny „Jan Paweł II. Sante subito. Świadczenia świętości” to zbiór takich właśnie osobistych relacji ludzi z całego globu. Są i prozaiczne z pozoru historie, takie jak opowieść pewnej kobiety o wewnętrznej zmianie, która w niej zaszła pod wpływem Jana Pawła II podczas Światowych Dni Młodzieży we Francji; są i relacje o cudach, do których doszło za wstawiennictwem Ojca Świętego.

W podróż po świecie i opowieściach bohaterów

filmu wyruszamy wraz z ks. Sławomirem Oderem. Przewodnik to nie byle jaki, ponieważ w 2005 r. ks. Oder został postulatorem procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II. Polski duchowny zabiera nas nie tylko w różne miejsca świata, gdzie pojawił się Ojciec Święty i gdzie ślady jego obecności przetrwały wiele lat. Zaglądamy z nim m.in. do Watykanu, do magazynu, w którym przechowywane są przedmioty zostawiane przez wiernych na grobie polskiego papieża. Wśród nich traktowane z pietyzmem karteczki z intencjami modlitw powierzanych Janowi Pawłowi II. Tych nie brakowało jeszcze, zanim zaczął się proces kanonizacyjny, a nawet beatyfikacyjny uznający Jana Pawła II za błogosławionego. Wierni czuli bowiem od dawna, że „papież z dalekiego kraju” to święty człowiek. ©©

(raw)



**Za tydzień
z „Do Rzeczy”
DVD z filmem
„Santo subito”**



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Mateusz Morawiecki kiedyś i dziś

Oj, oburzyli się przedstawiciele opozycji na ujawnione przez Onet słowa Mateusza Morawieckiego, wówczas jeszcze prezesa BZ WBK, nagrane potajemnie przez kelnerów w 2013 r. Oburzyli się jednak tylko niektórzy,

Czy aby w ciągu ponad pięciu lat [...] ktoś nam pana premiera nie podmienił?

być może ci słabiej myślący. Inni bowiem, jak np. Grzegorz Schetyna, wydają się rozumieć, że zagłębianie się w sprawę, która przyczyniła się do upadku rządów PO, jest mocno ryzykowne – i tematu chętnie nie podejmują. Co zresztą uprawdopodobnia tezę, że chodzi raczej o rozgrywkę wewnątrz obozu władzy.

Ci jednak, którzy się oburzyli, oburzyli się nadzwyczaj głupio. Między innymi na słowa obecnego szefa rządu, że wojna zawsze przyczyniała się do obniżenia oczekiwań ludzi. Z całym szacunkiem dla pana premiera, ale nie jest to stwierdzenie szczególnie odkrywcze. Przed Morawieckim to zjawisko przeanalizował tabun socjologów, ekonomistów i historyków. Na nich zatem też należałoby się oburzyć.

Inne fragmenty rozmowy, wybite przez Onet, pokazują

ówczesnego Morawieckiego jako autora ciekawych diagnoz. Że „Amerykanie, Żydzi, Niemcy, Angole, Szwajcarzy” siedzą na pieniądzach i że nie widać u nich bardziej strategicznej refleksji związanej z rozdziałem dóbr? Zapewne. Że do Europy rzucą się masy z Afryki? Brzmi jak streszczenie „Obozu świętych” Jeana Raspaila, proroczej powieści z 1973 r. I rzeczywiście, zaczęło się dwa lata później.

Mówi też pan premier inne rzeczy niezmiennie interesujące, lecz zarazem zagadkowe z punktu widzenia jego obecnej aktywności. A mianowicie, że trzeba odpowiednio kształtować oczekiwania ludzi, jeśli nie chce się krachu i kryzysu. Że one nie mogą być zbyt wysokie. I to mi się podoba – to bardzo celna diagnoza. Zachodzę jednak w głowę, czy aby w ciągu ponad pięciu lat, które minęły od nagrania rozmowy Morawieckiego z Jagiełłą (prezesem PKO BP wtedy i nadal), ktoś nam pana premiera nie podmienił. Bo w roli szefa rządu Morawiecki nie robi niemal nic poza rozbudzaniem oczekiwań, i to takim, że ho ho!

Nie wiem jak państwo, ale ja zdecydowanie wolę Morawieckiego sprzed pięciu lat, trzeźwo patrzącego na rzeczywistość, niż Morawieckiego dzisiejszego, odbywającego propagandowe tournée po Polsce. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Samozwańczy reformatorzy

Premiera filmu Wojtki Smarzowskiego „Kler” zapelniła Twittera wyśmienitymi ekspertami od teologii i doktryny katolickiej. Jedni, jak Tomasz Lis i Joanna Scheuring-Wielgus, spierali się o datę śmierci Jana Pawła II, inni, jak Dominika Wielewska, obudzili w sobie zapal reformatorski.

„Znieść obowiązkowy celibat, uznać związki partnerskie homoseksualistów, także księży, dopuścić kobiety do kapłaństwa. I wiele problemów Kościoła instytucjonalnego by wyparowało” – napisała, niczym Luter dziennikarka „Wyborczej”.

Na uwagę naczelnego „Newsweeka”, że może warto pójść o krok dalej i w ogóle pozamykać kościoły, pani redaktor odpowiedziała z wielką ostrożnością: „Śmiała propozycja, która przypomina coś bardzo niepokojącego z przeszłości”.

Uwag było znacznie więcej, moją uwagę zwrócił szczegół, który wskazał jeden z internautów. Mianowicie: „Jak to się ma do Biblii?”. I na to znajdzie się odpowiedź: „W Biblii są rozmaite rzeczy, których nikt nie respektuje i które są sprzeczne z nauczaniem Chrystusa” – stwierdziła dziennikarka.

Po chwili refleksji, aby umocnić się w słuszności obranego kursu, dodała: „Propozycja może jest radykalna, ale co złego jest w zniesieniu obowiązkowego celibatu i daniu księżom prawa wyboru ich stylu życia? Co złego jest w zerwaniu z hipokryzją, skoro wszyscy wiemy, że wielu duchownych ma orientację homoseksualną?”. „To, co Pani proponuje, po prostu jest jakąś wersją czegoś podobnego trochę do chrześcijaństwa. Może Pani w to iść, bo, jak każdy, ma Pani wolną wolę. Ale to nie będzie chrześcijaństwo” – odpowiedziała nasza redakcyjna koleżanka Zosia Magdziak.

„Uważa Pani, że dopuszczenie kobiet do kapłaństwa to nie jest chrześcijaństwo? A w czym kobiety są gorsze od mężczyzn? Co niechrześcijańskiego jest w kobietach?” – nie dawała za wygraną redaktor. Pech chciał, że życie napisało już taki scenariusz. „Na Zachodzie niektóre Kościoły protestanckie zniosły celibat, uznały związki partnerskie i dopuściły kapłaństwo kobiet. Tam te problemy znikają... razem z tym, jak zanikają te Kościoły. Wchodzi za to islam, który tych problemów nie ma” – zamknął debatę Paweł Lisiecki. ©©

100 %

**polski
produkt**

III EDYCJA KONKURSU

**TYLKO DO
15 PAŹDZIERNIKA**

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE
WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY



BŁĄD W SZTUCE

Łukasz Jemioł, projektant polskich gwiazd, który nieoczekiwanie znalazł się na skraju bankructwa, wypuścił właśnie nową linię ubrań pod hasłem: „Believe in your power”. Niestety, jako że nieszczęścia chodzą parami (albo i stadami), to w sztandarowym hasle kolekcji pojawił się błąd. I tak zamiast „believe” wyszło „belive”. Lekka wtopa, jakkolwiek by było. Jemioł błąd na ubraniach szybko poprawił, ale został z dylematem, co zrobić z egzemplarzami z błędem. Na portalu Pudelek czytamy, że wpadł na genialny pomysł rozestania ich celebrytkom. Liczył na to, że kto jak kto, ale one się nie zorientują. I miał rację. Tym oto sposobem na Instagramie Małgorzata Rozenek z dumą zaprezentowała koszulkę z błędem, cała szczęśliwa, że może pochwalić się ciuchem od znanego projektanta. Genialne, prawda? Nawet jeśli Jemioł nie ma smykałki do biznesu, to na show-biznesie zna się doskonale.

BEZGUŚCIA WSZĘDZIE

Pozostając w temacie mody: znana restauratorka Magda Gessler w myśl zasady, że każdy powinien robić to, na czym zna się najlepiej, postanowiła zaprojektować autorską kolekcję ciuchów. Na kolekcję złożyły się głównie wzorzyste i kolorowe tuniki, w których gustuje Gessler. W Polsce jej pierwsze projekty nie spotkały się ze zbyt wielkim zainteresowaniem, gwiazda uznała więc, że Polki po prostu nie dorosły do jej pomysłów modowych. Dlatego postanowiła ruszyć na podbój Hiszpanii i Włoch, licząc na to, że tamtejsze kobiety ekstrawagancji się nie boją. I znów pudło. Jak donoszą plotkarskie portale, okazało się, że żaden ze znanych butików nie był zainteresowany sprzedażą „fruwających tunik”, jak je nazwała, Magdy Gessler. – Gessler jest wściekła – ujawnia jednej z kolorówek osoba z otoczenia restauratorki. – Myślała, że Hiszpania i Włochy będą otwarte na oryginalne ubrania, które zaprojektowała. Wiązała z tym poważne nadzieje. Podczas rozmów z potencjalnymi klientami usłyszała, że jej ubrania mało kto kupi, bo są zbyt ekstrawaganckie. Na szczęście Magda już sobie wytłumaczyła, że klienci mają po prostu zły gust, więc tym bardziej trzeba ich przekonać, że są w błędzie – dodaje. Bo grunt to pozytywne myślenie! O sobie oczywiście.

ŻYCIE W DYSONANSIE

Aktor Jacek Poniedziałek ostatnimi czasy najbardziej znany był z tego, że wybierał się na emigrację, bo obraził się na Polaków za to, że wybrali w wyborach PiS. – Biedny, otumaniony narodzie, jesteś zakałą świata! – grzmiał wzburzony Poniedziałek, spalając się ze wstydu

za rząd i za naród. Jakby nieszczęść w życiu Poniedziałka było mało, ostatnio przytrafiło mu się kolejne. Został okradziony podczas podróży do Meksyku. Stracił pieniądze i paszport. Nie to było jednak najgorsze. Najgorsze było to, że pomogli mu – uważa – dyplomaci z nowego nadania! Czyli PiS-owcy! – Uratowali mi tyłek dwaj polscy dyplomaci. Świeżo mianowani. Pół chyba roku temu. A zatem z obecnego rozdania politycznego – relacjonuje Poniedziałek. – Najpierw bardzo szybko wyrobili mi paszport, a gdy w siłach lotniskowej urzędniczej biurokracji przeżywałem męki Józefa K., nie tylko wspierali radą przez telefon, ale też wykonali kilka dyplomatycznych rozmów z wszechwładnymi urzędnikami meksykańskiego ministerio, co okazało się na tyle skuteczne, że ostatecznie wyleciałem z tego piekła cały i zdrowy – wspomina. PiS-owcy skuteczni i kompetentni? A do tego pomogli? Biedny Poniedziałek! Jak on ma teraz żyć z takim dysonansem poznawczym?!



JAK IGNORUJE DODA

Doda już chyba w piątym wywiadzie z rzędu skarży się na to, że jej eksmąż, a obecny mąż Perfekcyjnej Lady Rozenek Radek Majdan zignorował ją na jakiejś tam showbiznesowej imprezie. Zignorował w obawie przed reakcją obecnej małżonki, która za jego poprzednią małżonką nie przepada. Delikatnie rzecz ujmując. Po tym, jak Doda poskarżyła się już wszystkim kolorówkom, jak to zła Rozenek zabrania Radziowi z nią rozmawiać, a nawet się przywitać, orzekła, że od teraz ona też będzie Radzia ignorować. – Już nie będę podchodzić do Rozenek i Radka, by się przywitać. Ostatnio zostałam zlekceważona, więc nie czuję potrzeby witania się po raz kolejny ze ścianą. Udał, że mnie nie zna, więc kolejne próby z mojej strony to byłaby ujmna na honorze – oznajmia w „Fakcie”. Tak, w „Fakcie”. Bo jak już kogoś ignorować, to tylko w najpopularniejszym tabloidzie! ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, świat obiegły wzruszające zdjęcia prezydenta Francji Emmanuel Macrona z roznegliżowanymi osobami pigmentalnie uposażonymi, a nam zrobiło się przykro i wstyd. Bo podczas gdy świat patrzy i podziwia, jakiego Francuzi mają fajnego prezydenta, tak my...

Rodzicu „A”, skąd się biorą mali homoseksualiści?



Cóż, my nie mamy nadziei na to, iż na podobny gest będzie kiedyś stać osobo-Dudę. Wyobrażacie sobie, jak prezydent tego kraju spotyka się z osobami o odmiennej orientacji pigmentalnej, w przeszłości mającymi w dodatku problemy z opresywnym prawem karnym? W dodatku w takich czułych objęciach i w wyzwolonej z oków kultury pozie?

Nie, osobo-Duda prędej pojechałby na Podkarpacie, iżby tam spotkać się z kołem gospodyń wiejskich spod Strzyżowa, pójść na mszę albo dożynki i pokłonić się przed księdzem. A przykład idzie z góry. Jeśli prezydent nie promuje odpowiednich postaw, to trudno, żeby np. taki Nowy z Tarnowa sam na to wpadł :(

Straszna siara z tymi siatkarzami. Nie dość, że nie potrafili się zachować za granicą i zostali tymi mistrzami świata, to jeszcze spowodowali wzrost euforycznych nastrojów patriotyczno-fashystofskich, spowodowali ból głowy u Krystyny Jandy, a na koniec odwiedzili Dudę i przyjęli od niego order.

Tymczasem w imieniu siatkarzy chcielibyśmy zbojkotować te order. Iż jak można grać w siatkówkę, kiedy w tym kraju łamana

jest konstytucja? Jak można przyjmować piłki, kiedy PiS przejmuje sądy? Jak można blokować, kiedy fashysm blokuje demokrację?

Co więcej: przez tych siatkarzy informacje o sporcie trafiły z ostatnich stron gazet na pierwsze. Jedziesz potem metrem albo tramwajem, widzisz osobę, która czyta pierwszą stronę gazety, myślisz: o, intelektualista! A tu nie, bo on o Kurku czyta!

Rozpoczął się sezon na przyznawanie Nagród Nobla, a postępu niestety wciąż nie widać. Mieliliśmy nadzieję, iż Komitet Noblowski dostrzeże zmieniające się trendy w nauce, a tutaj niestety – wciąż te same kategorie, jakieś fizyki i chemie, które ogarniamy chyba jeszcze mniej niż matematykę.

Postęp jednak jest nieubłagany i być może już za rok będziemy świadkiniami i świadkami, jak

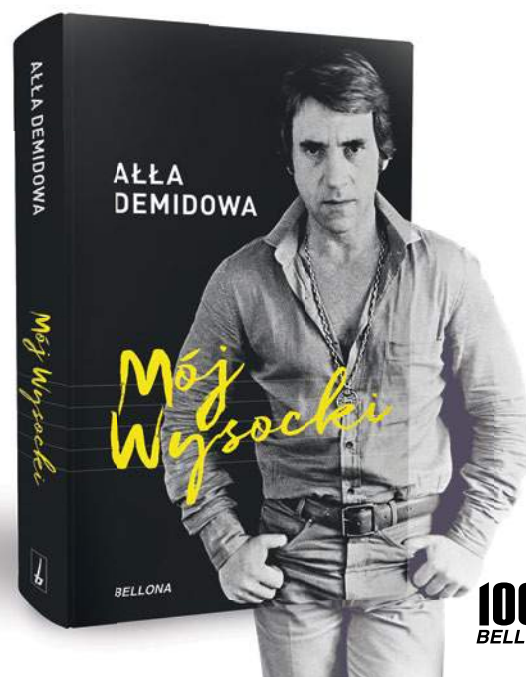
zostaną przyznane Nagrody Nobla w dziedzinie gender studies, socjologii miasta i prowadzenia fanpejdzy na fejsiku. Miłym gestem wobec osób szczególnie zasłużonych dla rozwoju świata byłby honorowy Nobel za całokształt działalności publicznej. Nawet bylibyśmy w stanie wskazać kilku kandydatów/-ek.

A kiedy już zmienimy dziedzinę, w których przyznawana jest nagroda, to możemy zastanowić się nad tym, czy nie najwyższa to pora, aby z nagradzania wykluczyć starszych, białych, heteronormatywnych mężczyzn, którzy w przeszłości zdominowali nagrodę, oraz czy nie zmienić nazwy Nagroda Nobla w sposób sugerujący, iż Nobla była wagino-osobą. ☺☺

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

JEGO NAZWISKO JUŻ ZA ŻYCIA BYŁO LEGENDĄ...



Teraz już wiemy, jak wygląda desperacja. Wygląda tak jak Platforma Obywatelska. W związku z powrotem taśm mamy pomysł na hasło wyborcze PeŁo: „W PiS tylko jeden, a z naszych – obiady u Sowy jedli wszyscy! Polska zasługuje na cud kulinarny!”.

PeŁo, grając taśmami, zakłada sobie na szyję sznurek posmarowany mydłem i wdrapuje się na stołeczek. Rzecz w tym, że gdyby teraz PiS zgłosił wniosek o powołanie komisji śledczej, to będzie to oznaczało grillowanie słusznie minionego reżimu przez wiele miesięcy. Panowie G. dobrze wiedzą, co mówią. Wszak to jeden z nich sam przekazał taśmy prokuraturze.

Czekamy na komisję, bo lubimy czytać tabloidy i wiemy, ile uciechy przyniesie im intensywne wczytywanie się w taśmy. Na zachętę przytoczymy kilka nieznanych dotąd historyjek, które czekają na szersze opisanie. Litościwie przemilczymy nazwiska, ale pamiętajcie, my to my, w brukowcach zaś litość występuje tylko w jednym słowniku – wyrazów obcych.

Opowieść pierwsza. Podczas jednej z biesiad bardzo, ale to bardzo ważny polski polityk opowiedział o szczegółach porodu swojej żony. Było to w czasach, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o porodach rodzinnych, a on koniecznie chciał być przy żonie. Poprosił o pomoc znajomego lekarza. Ten przebrał go w kitel i przedstawił jako studenta medycyny. Przedsięwzięcie nie było łatwe. Zanim polityk dotarł na salę rodzącej żony, wziął po drodze udział w kilku innych porodach. Mało nie zemdlał, biedaczek.

Opowieść druga. Pewien bardzo znany i przedsiębiorczy Polak zachwala pewnemu bardzo znanemu polskiemu politykowi wdzięki pewnej bardzo urodziwej stewardesy. Polityk jest bardzo, bardzo zainteresowany i bardzo, bardzo się oblizuje. Zapewniamy, że tych historyjek jest znacznie więcej i żadna z nich nie dotyczy ludzi PiS.

Opowieść trzecia. Niech będzie z nazwiskiem. To Sławek Nowak. Otóż u Sowy brał pewnego razu

Objawił się nowy dyktator. Tomasz-Dyktator. To już trzeci w PiS

udział w biesiadzie w bardzo wąskim gronie. Wraz z nim były w sumie trzy osoby. W pewnym momencie opuścił pokój. Kiedy powrócił, zastał migdałką się na sofie parę. – Co wy robicie, co wy robicie?! – zaczął wykrzykiwać. – Sławek, daj spokój – miarkował go mężczyzna. – Ale ja jestem konserwatystą! – odrzekł zgorszony Sławek. Głupia sprawa, historia jest też opisana w prokuraturze, która skrzętnie zbierała zeznania bohaterów biesiad. Z zeznania na temat tego akurat obiadu najbardziej podoba nam się zwrot: „daleko posuniętą czułość”.

Tymczasem Radek Sknerus Sikorski znów przegapił okazję, żeby siedzieć cicho. Radek jest mistrzem w obrażaniu inteligencji Polaków, więc w sumie nie powinno nas dziwić, że chcąc niby przeprosić, oświadczył, iż afera taśmowa to „pomnik uczciwości” ludzi PeŁo. Któżby mu nie wierzył?! Radek przecież wie wszystko i był wszędzie.

dwaj panowie g



Zatem od razu anegdota, smaczna, bo prawdziwa. Dawno, dawno temu, kiedy Radek był marszałkiem Sejmu (trudno uwierzyć, wiemy, ale były takie czasy), zdarzyło się tak, że ówczesny prezydent Bronisław Komorowski powołał nowego szefa Państwowej Komisji Wyborczej – Wojciecha Hermelińskiego. Ten zaś ujawnił władzom Sejmu, że PKW ma trochę mało pieniędzy na działalność. Na co Radek z właściwą sobie błyskotliwością odrzekł: „Przecież nic nie robicie przez cztery lata między wyborami, to po co wam więcej pieniędzy?”.

Radek bardzo się zdziwił, gdy usłyszał, że w Polsce co tydzień odbywają się na jakimś szczeblu jakieś wybory uzupełniające albo referenda. I że ktoś (czytaj – PKW) musi się tym zająć. Nas jego zdziwienie nie dziwi. To w końcu polityk formatu europejskiego, nie będzie sobie zawracał głowy jakimiś szczeblami. No, może z wyjątkiem szczebli w drabinach we dworze Chobielin.

No dobra, teraz o rządzie. Żli ludzie chodzą po mieście i opowiadają, że ziobryści szykują plan rezerwowy na wypadek, gdyby po kolejnej rekonstrukcji rządu lub wyborach nie znaleziono już dla Zbyszka Zizou Ziobry miejsca w Ministerstwie Sprawiedliwości. Podobno w związku z tym Zbyszek knuje z kukistami. I wtedy, gdyby doszło do koalicji z PiS, byłby kandydatem na ministra przy wsparciu Pawła. Ta niebywała plotka rozpala naszą wyobraźnię, bo wtedy pewnie wiceministrem mógłby zostać Tomek Rzymkowski.

Objawił się nowy dyktator. Tomasz-Dyktator. To już trzeci w PiS, po Kaczorze i Jojo Brudzińskim. Tomasz Dyktator Poręba żelazną ręką rządzi w sztabie wyborczym i ustala skład koncesjonowanej listy polityków, którzy z okazji kampanii samorządowej mają się pojawiać w mediach częściej niż inni i częściej niż zwykłe. Wyselekcjonowani kandydaci informowani są o swej zwiększonej aktywności telefonicz-

FOT. ROBERT CAROZINSKI

nie. „Do mnie nie dzwonią” – miał się poskarżyć Suski Marek. Zastanawiamy się dlaczego.

W związku z tym ujawniamy ukryte przesłanie spotkania Kaczora-Dyktatora z posłami, do jakiego doszło w miniony czwartkowy wieczór. Brzmiało ono: „Odbierajcie telefony od ludzi Tomasza-Dyktatora, bo inaczej coś wam będzie odebrane”.

Wracając do ohydnych plotek. Rozmaici PiS-owcy łązą po mieście i opowiadają, że Krzysiek Szczerski bardzo chciał kandydować do europarlamentu, ale Kaczor-Dyktator miał mu do zaproponowania jedynie miejsce piąte na liście w Małopolsce. Tam, gdzie PiS ma cztery miejsca biorące. Głupia sprawa, bo nasze rozmaite źródła twierdzą, że jedynym miejscem, w którym wydarzyła się ta rozmowa, jest wyobraźnia plotkarzy z Nowogrodzkiej.

Nawet jednak sprawy wyobrażone mają swoje realne konsekwencje. Otóż ciąg dalszy tej plotki głosił, że gdy Krzyśkowi nie przypadła do gustu

Radek to polityk formatu europejskiego, nie będzie sobie zawracał głowy jakimiś szczeblami. No, może z wyjątkiem szczebli w drabinach we dworze Chobielin

propozycja małopolskiego poniżenia, rozpoczęła się dyskusja o ewentualnej jedynce w Wielkopolsce. No i jesteśmy w domu. Nieważne, czy prawdziwa, taka wieść musiała zmozić Richarda Henry'ego Czarneckiego, a następnie skłonić go do dużej aktywności. W końcu strzeżonego, a czasem i plotkującego, pan Bóg strzeże.

Á propos spraw europejskich. Nie ma łatwego życia niemiecki ambasador w Polsce. Po raz kolejny Rolf Nikel wylądował na dywaniku, ale tym razem znacznie wyżej niż w MSZ. Rzecz w tym,

że media niemieckie (te polskojęzyczne w Polsce oraz te niemieckojęzyczne w Niemczech) od dłuższego czasu prowadzą antypolską kampanię. Rząd PiS otrzymał zaś sygnały, że nie jest to jedynie efekt korzystania przez owe media z wolności prasy i takich tam innych głupot. A jako że każdej zaplanowanej akcji należy się kontrakcja, to oczywiście ciąg dalszy nastąpi.

Na koniec znowu obyczajówka. Wyobraźcie sobie taką historię: w pewnym bardzo dużym mieście wicenaczelnym lokalnego oddziału pewnego ważnego dziennika zostaje oskarżony o molestowanie przez pięć koleżanek. Zbiera się wewnętrzna komisja i ustala, że to w sumie prawda. Wicenaczelnym wylatuje, ale żeby nie był nieszczęśliwy, szybko dostaje nową robotę w spółce, której szefem jest jego dawny naczelny, znaczy też z lokalnego oddziału. A spółka generalnie jest miejska. To ćwiczenie z wyobraźni polecamy wszystkim zaciekawionym tym, jak szybko puchną nasze segregatory poświęcone miastom na literę „W” oraz gazecie na literę „G”. ©©

REKLAMA

STREFA SŁUCHU[®] APARATY SŁUCHOWE

signia

Życie brzmi wspaniale.

PROFESJONALIZM WYKSZTAŁCENIE

DOŚWIADCZENIE PASJA

NASI SPECJALIŚCI:



Cezary
Kozub

Magdalena
Wróblewska

Anna
Cierpicka-
Switekowska

Tomasz
Staszewski

ELEGANCJA I DYSKREJCJA

- dla wszystkich poziomów ubytków słuchu
- naturalne brzmienie własnego głosu
- łatwe zrozumienie mowy nawet w głośnym otoczeniu
- możliwość regulacji za pomocą smartfona lub pilota
- rozmowy telefoniczne bez użycia rąk
- dźwięk z telewizora bezpośrednio w aparatach
- terapia szumów usznych metodą TRT



**Wiedza i Technologia – tylko takie połączenie zapewni Ci
najlepsze ZROZUMIENIE MOWY**
www.strefasluchu.pl

ul. Poborzańska 37
(róg Rembielińskiej)
03-368 Warszawa
tel. 22 831 10 31
tel. kom. 602 668 037

Al. Solidarności 53,
(wejście od ul. Jagiellońskiej)
03-402 Warszawa
tel. 22 404 64 64
tel. kom. 505 383 187

Al. Jana Pawła II 32
(niedaleko Hali Mirowskiej,
róg Elekoralnej)
00-141 Warszawa
tel. 22 400 11 66

ul. Chałubińskiego 8
(obok oddziału NFZ,
przy sklepie rehabilitacyjnym)
00-694 Warszawa
tel. kom. 512 656 816

ul. Sapiieżyńska 3
(Centrum Medyczne Bonifratów)
gab. nr 14
00-215 Warszawa
tel. kom. 510 905 474



Z premierem Mateuszem Morawieckim
rozmawia Marcin Makowski

Mafie tracą, więc atakują



MARCIN MAKOWSKI: Jakże to uczucie usłyszeć swój głos na taśmach z Sowcy i Przyjaciół? Do tej pory głównie politycy PO mieli taką „przyjemność”.

MATEUSZ MORAWIECKI: Prawdę mówiąc, nie byłem zaskoczony, bo słyszałem te taśmy w całości kilka lat temu, gdy zostałem wezwany do prokuratury i składałem zeznania. Mam status osoby pokrzywdzonej w tej sprawie. Na pewno nie pod wszystkim, co tam mówiłem, podpisałbym się dzisiaj, ale jeśli są tacy, którzy podczas takich rozmów wszystko po latach mogą powtórzyć, to zazdroszczę.

Ano właśnie. Wcześniej PiS udowodniał, że „knajacki język” ministrów i posłów pokazuje prawdę o ich rządach. I nagle bumerang taśm wraca.

Ja bym powiedział inaczej: kto nie przeklina, niech pierwszy rzuci kamieniem. Być może istnieją podobni święci, ale ja, gdy poruszam się w obszarze bardziej prywatnym, czasem użyję niecenzuralnego słowa.

Taki grzeczny i poukładany premier, a jednak...

Przede wszystkim byłem wtedy osobą prywatną, nie pełniłem żadnej funkcji publicznej. Poukładany to mogę się zgodzić. Ale czy grzeczny? Jeżeli przez „grzeczność” rozumiemy uprzejmość, to się staram, ale jeśli to miałyby oznaczać uległość albo bierność, to nie. Nigdy nie będę grzeczny wobec tych, którzy od lat okradają obywateli z pieniędzy, którzy okradają Polskę. Podjęliśmy się stanowczej walki z mafiami VAT-owskimi i przestępcami. Tutaj nie ma i nie będzie miejsca na uprzejmości. To codzienne mierzenie się z brutalnym i bezwzględny światkiem przestępczym. Sprytnym, wyrachowanym. Mającym wpływy i ogromne pieniądze, by walczyć z państwem polskim. Na szczęście dziś to państwo w końcu wygrywa, odzyskało siłę i moc.

Prawo i Sprawiedliwość skutecznie walczy z przestępcami, mafiami VAT-owskimi od blisko trzech lat. Weszliśmy ostro w to zwarcie. Stąd takie, a nie inne następstwa. Coś nagle wycieka, za chwilę mamy wybory samorządowe, natężenie ataków rośnie.

To wszystko scala się w pana głowie jako ciąg przyczynowo-skutkowy?

Powiem tak – znamy już dokładne analizy podatku VAT za sierpień i wrzesień, których ściągalskość wzrosła o 2,5 mld zł. Komuś przecież musieliśmy te pienią-

Dzie zabrać, ktoś straci ogromne nielegalne dochody. Tutaj warto zaznaczyć: mamy wzrost gospodarczy, dzieje się tak m.in. kosztem przestępców podatkowych, którzy przez dekady mieli tu swoje eldorado. To uszczelnienie zaczęło działać dzięki wdrożeniu instrumentów korporacyjnych i informatycznych jeszcze w czasach mojego urzędowania w Ministerstwie Finansów. Nie dziwię się, że gdy mafie tracą przychody, zrobią wszystko, by się temu przeciwstawić. Będą atakować różnymi sposobami i metodami. Oskarżać, insynuować, straszyć. I to się właśnie dzieje, co nie jest zaskakujące. Gdy szliśmy na tę wojnę, wiedzieliśmy, że przestępcy łatwo nie skapitulują.

Bardzo mocne oskarżenie. Chce pan powiedzieć, że dziennikarze Onetu mogli być inspirowani do publikacji taśm przez przestępczość zorganizowaną?

Tego nie powiedziałem. Chcę wierzyć, że dziennikarze działają z dobrymi intencjami. Jednak korelacja tych wydarzeń z uruchomieniem kolejnych mechanizmów blokujących wyłudzenia VAT oraz kontekst kampanii wyborczej niestety mnoży pytania. Czemu nagle czymś, co przecież nowe nie jest, bo mówimy o upublicznionym materiale, który ma kilka dobrych lat, próbuje się brutalizować kampanię? A dodatkowo podlega się to sosem jakiejś pseudosensacji i nowości? Nie wiem, ale myślę, że należy tu postawić znak zapytania.

Odchodząc od tematu dziennikarzy – gdzie pana zdaniem leży źródło realnej przestępczości VAT-owskiej?

Te patologie nawarstwiały się jak różne epoki geologiczne przez całą III RP. Od postkomuny, przez układ liberalny i półświatkę, do zagranicznych przestępców, w których z całą mocą uderzyliśmy. Zwracam uwagę, że w czasach naszych poprzedników do Polski wjeżdżało 750 cystern z paliwem dziennie, a w tej chwili jest ich 150. Gdzieś to lewe paliwo lądowało i komuś nabijało kieszenie. Rozpoznaliśmy całą precyzyjnie zorganizowaną strukturę – dystrybutorów, pośredników, sprzedawców – którzy działali jak państwo w państwie. I nikt tego nie widział? Władza była ślepa? Prawo i Sprawiedliwość zaorało ten patologiczny układ. To oczywiste, że są wciąż środowiska, które na to reagują wściekłością i atakiem.



Widzi się pan tutaj w roli samozwańczego szeryfa albo prokuratora, który jak Eliot Ness w „Nieetykalnych” nagina zasady, aby tylko dorwać Ala Capone? Taki obraz w TVN zarysował ostatnio Marcin Hożała. W „brudnej grze” samemu łatwo się jednak pobrudzić.

Ciekawe porównanie. Eliot Ness, jak pamiętam, doprowadził słynnego gangstera Al Capone za kratki właśnie za niepłacenie podatków. Świetnie to pokazuje film „Nieetykalni” z Kevinem Costnerem. Al Capone przemyczał głównie alkohol w czasach prohibicji, a my mamy do czynienia z równorzędnie funkcjonującymi grupami zajmującymi się paliwem, tytoniem, skażonym alkoholem, stalą, elektroniką i wieloma innymi branżami. Liczba pogroźek, które dostają ze wszystkich stron, świadczy, że pewne status quo zostało bezpowrotnie zaburzone. Wracając do liczb – w tym roku cała ściągalność VAT wzrosła o 40 mld względem analogicznego okresu w 2016 r. Od Unii Europejskiej w ramach wszelakich dotacji otrzymujemy rocznie od 25 do

27 mld netto, a cała Polska słyszy o tych środkach. Niech z pańskiego wywiadu ludzie się dowiedzą, że z rąk przestępców odzyskałmy półtora raza więcej. Myślę sobie, trochę przekornie, że skoro na przeróżnych tablicach przy inwestycjach widnieje napis „dofinansowane ze środków unijnych”, to może...

Chce pan pisać przy budowie przedszkola: „Sfinansowane z pieniędzy zabranych mafii VAT-owskiej”?

No właśnie tak bym chciał, ale mówiąc poważnie, te rzeczy przekładają się przecież na bardzo realne sprawy. Finansowanie „500+”, wyprawki do szkoły, programu drogowego, obniżenie wieku emerytalnego. Nagle wszystkie te wydatki, przy malejącym deficycie budżetowym, mają stabilne podstawy bez konieczności dodatkowego zadłużania się.

Nie obawia się pan, że owa „nieetykalność” może się obrócić przeciwko panu, jeśli każdy atak, błąd, próbę zwrócenia uwagi na złą politykę rządu będzie pan tłumaczył zemstą mafii?

Al Capone przemyczał głównie alkohol, a my mamy do czynienia z grupami zajmującymi się paliwem, tytoniem, skażonym alkoholem, stalą, elektroniką i wieloma innymi branżami



zmienił sankcję VAT-owską z karnej, na karnoskarbową, przez co sprawcy karuzel VAT-owskich na 100, 200 mln zł kończyli co najwyżej z wyrokami roku w zawieszeniu. To było „zaproszenie” dla świata przestępczego, aby dokonywać przekrętów nad Wisłą. Przez osiem lat PO-PSL CIT i VAT niemal nie rosły, a CIT wręcz zmalał przy równoczesnym wzroście realnego PKB o 30 proc. Gdzie wtedy było oburzenie obrońców praworządności? PiS odwrócił ten paradygmat i nie jest silny wobec staruszki, która zabrała batonik ze sklepu, bo była głodna, tylko wobec zatwardziałych kryminalistów i złodziejów okradających państwo na setki milionów złotych. Jestem naprawdę przekonany, że robimy w tym zakresie coś historycznego.

Kiedy w takim razie możemy się spodziewać skutecznej komisji VAT-owskiej, która rozliczy winnych i wsadzi ich do więzienia? Do tej pory nieustannie o nich słyszymy, ale pod względem prawnym wygląda to jak zbrodnia bez kary. Wciąż nie ma obiecanej rewolucji.

Widzieliśmy w prasie niedawno czubek góry lodowej tych patologii. Są liczne zatrzymania, wstępne konfiskaty, zabezpieczenia finansowe, areszty i postawione zarzuty. Wielu przestępców nie pływa już w swoich przydomowych basenach, tylko bierze prysznic raz na tydzień w areszcie śledczym. Wkrótce komisja VAT ruszy pełną parą, wraz

zbitka słowna „chciwy Żyd” została uznana przez „Times of Israel” za antysemityzm.

Ta moja prywatna, bo nie byłem wtedy politykiem, wypowiedź sprzed dobrych kilku lat wskazywała na egoizm globalnych elit finansowych w kontekście niedoboru kapitału na rozwój w różnych częściach świata, a nie na przywary jakiegokolwiek narodu. Pełny kontekst wypowiedzi dotyczy okoliczności wybuchu światowego kryzysu i roli właścicieli skumulowanego kapitału, bez względu na ich narodowość. Mówiłem o nadmiernej chciwości elit i krytycznie odnosiłem się do tego, że dla wielu ludzi mających wpływ na gospodarkę „Greed is good” – jak mawiał Gordon Gekko w filmie „Wall Street”. Koncentracja kapitału u jednego procentu czy nawet jednego promila najbogatszych obywateli i narastające nierówności dochodowe długoterminowo nie sprzyjają zrównoważonemu rozwojowi. To był sens i teza tego, o co pan pyta. Dzisiaj nasz rząd realizuje inkluzywny model rozwoju gospodarczego, w którym owoce wzrostu dzielone są bardziej sprawiedliwie niż za naszych poprzedników i trafiają do zdecydowanej większości polskiego społeczeństwa.

Mówi pan teraz Piketty...

Dobrze pan rozpoznaje, ale już wtedy tak mówiłem. I to nie ma nic wspólnego z konkretnymi narodami, ale za to dużo z najbogatszymi państwami i podmiotami

Wielu przestępców nie pływa już w swoich przydomowych basenach, tylko bierze prysznic raz na tydzień w areszcie śledczym

Każdy sam może ocenić, kto stracił, a kto zyskał na rządach Prawa i Sprawiedliwości. Trafnie to zostało ujęte na naszym billboardzie: „PiS zabrał pieniądze złodziejom i dał je dzieciom...”. Walka z mafiami VAT jest faktem. Nie zgadzam się z samą tezą, którą postawił pan w pytaniu, ponieważ uważam, że mamy głębokie podstawy konstytucyjne do przeprowadzania naprawy państwa polskiego – zarówno w sferze dotychczasowych patologii w systemie podatkowym, jak i np. reformy wymiaru sprawiedliwości.

Jednak przecież aż się prosi powiedzieć: „Krytykują nas za Sąd Najwyższy, bo stracili wpływy”. To bardzo łatwy unik.

Akurat atak na nas w tym obszarze, moim zdaniem, powoduje nieznaną polskiej specyfiki politycznej i historycznej przez elity europejskie, które nigdy nie doświadczyły systemu postkomunistycznego w praktyce. Zamiast tego dobrze znają polityków obecnej opozycji, którzy przez lata ponawiali kontakty w Brukseli i nieustannie przekazują bardzo jednostronną relację na temat naszych reform. I opozycji w to mi graj, bo ona te nastroje świadomie podkreśla, widząc w „zagranicy” jedyny ratunek powrotu do władzy. A wcześniej nie protestowała, gdy Sąd Najwyższy

z przesłuchaniem kluczowych świadków. Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych miesięcy rozmaite mechanizmy patologii, zaniechania i przestępczości zostaną napiętnowane. Równolegle toczą się w tych sprawach śledztwa w prokuraturze. Obiecuję, że wskażemy Polakom, kto odpowiada za zabieranie z budżetu, czyli ich kieszeni, pieniędzy, które mogły być przeznaczone na pomnażanie dobrobytu polskich rodzin.

Chciałbym zapytać jeszcze o kilka cytatów z taśm, które żyją już własnym życiem. Mówił pan m.in. o narodowości „chciwych bankierów”, którzy nie chcą się dzielić swoim bogactwem, wymieniając obok Niemców czy Amerykanów również Żydów. Ta

mi, wykorzystującymi dodatkowo raje podatkowe. Wykorzystując te środki na obrót produktami z najwyższą wartością dodaną, powodują, że bogactwo tworzy więcej bogactwa, pogłębiając strukturalne nierówności społeczne i petryfikując biedę. Gdzie tutaj antysemityzm?

To teraz drobna złośliwość. Nadal jest pan wielkim fanem polityki Angeli „Merklowej”? A mówiąc wprost – utrzymuje pan zdanie sprzed kilku lat, że ówczesna polityka niemieckiej kanclerz była korzystna dla Polski i Europy?

Mówiąc wtedy o Angeli Merkel, miałem na myśli pewien mechanizm: Europa wychodziła wtedy z drugiej fali kryzysu i kanclerz wraz z Europejskim Bankiem

Centralnym stała za skupowaniem aktywów przez Bank Centralny, czyli coś, co robi np. Bank Anglii, ale czego nie robił np. NBP. Dzięki tej polityce promowanej przez panią Merkel udało się uniknąć pogłębienia kryzysu gospodarczego. Dzisiaj rozwinąłbym również twórczo ówczesne słowa i dodał, że Angela Merkel jest lepszym dla nas partnerem niż Gerhard Schröder czy Martin Schulz. Merkel też wie, jak najlepiej stawiać na pierwszym miejscu interes Niemiec. My przez dekady nie stawialiśmy na pierwszym miejscu interesu Polski. Tak, za to ją szanuję i podążamy w tym podejściu za jej przykładem od przejęcia władzy w Polsce z rąk PO-PSL.

więcej. Powiązała bowiem niemiecko-szwajcarskiego właściciela Onetu z wizytą Grzegorza Schetyny u kanclerz Merkel i wyciągnęła wniosek, że mówimy o „ataku niemieckich mediów”, inspirowanych przez Berlin i polską opozycję. Czy pana zdaniem to pośrednia zapowiedź powrotu do tematu dekoncentracji mediów z zagranicznym kapitałem? Jakaś groźba wobec nich?

Dlaczego uważa pan, że to groźba? Powiem tak, gdy „Berliner Zeitung” miał być kupiony przez Amerykanów, podniosła się w Niemczech wielka wrzawa i nie dopuszczono do tej transakcji. Tymczasem główne media w Polsce są w posiadaniu głównie niemieckich wydawców. A kapitał ma narodowość,

więc takimi docinkami po prostu się nie przejmuję i nie obrażam. Nie kto inny zresztą jak Grzegorz Schetyna, kiedy został w 2007 r. szefem MSW, powiedział, że jego celem będzie „otworzyć policję na oczekiwania społeczności lokalnych”. I tak się „otworzyli”, że w ciągu ośmiu lat zlikwidowali w społecznościach lokalnych ponad 400 posterunków policji. Kto tu kłamał i szaszkodził Polsce realnie?

Wie pan, do czego piję? Pytam oczywiście w kontekście sprostowania, które musiał pan opublikować po słowach o mostach i drogach, których Platforma rzekomo miała nie budować przez swoją kadencję.

Jeżeli sąd tak zadecydował, to podporządkowałem się jego decyzji, przypominam tylko, że sądy niższej instancji postanowiły dwa razy inaczej, a Grzegorz Schetyna powiedział głośno i publicznie, że zapamięta nazwiska tych sędziów. I tym się różnimy – ja nie wyśtosowywałem wobec wymiaru sprawiedliwości gróźb, gdy wyrok okazał się nie po mojej myśli. Chciałbym jednak jeszcze wrócić do meritum – sąd w mojej wypowiedzi zakwestionował jedno słowo, nie podważono sensu wypowiedzi, który był prawdziwy: PO przez osiem lat wydała na drogi lokalne 5,3 mld zł, a rząd PiS zaplanował i wdrożył fundusz, który w półtora roku na drogi lokalne wyda ok. 6,5 mld zł. To fakt przez nikogo niekwestionowany. Ja użyłem po prostu błędnego czasownika, sprostowałem.

Chciałbym teraz porozmawiać o sprawach geopolitycznych. Polska buduje swoje bezpieczeństwo energetyczne oraz militarne na zacieśnianiu sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Wrócił pan niedawno z podróży do Ameryki. Czy podejmował pan temat właśnie tych dwóch sektorów – dostaw gazu i budowy stałej bazy US Army?

Oczywiście. W kontekście bezpieczeństwa energetycznego uważam, że Polska może być hubem gazowym, zapewniając sobie dywersyfikację źródeł dostaw energii poprzez ściślejsze relacje z naszym sojusznikiem zza Atlantyku. Cały czas liczę na to, że Nord Stream 2 zostanie objęty amerykańskimi sankcjami. Rozmawiam na ten temat.

Ten scenariusz jest realny? Donald Trump unikał jednoznacznej deklaracji podczas wizyty prezydenta Dudy w Waszyngtonie.

Rozmowy trwają i strona polska cały czas argumentuje, że warto wykonać

Rosja uderza w Polskę na bardzo wielu polach, trudno tego nie zauważyć. Jestem diametralnie innego zdania niż marszałek senior

Nie ma pan wrażenia, że przynajmniej w warstwie narracyjnej mediów publicznych oraz polityków Prawa i Sprawiedliwości Niemcy przedstawiane są jednak – niemal – w szatach wroga numer jeden polskich interesów narodowych? Wystarczy włączyć „Wiadomości”, aby usłyszeć, że Niemcy podkopują polski sukces gospodarczy, chcą ingerować w politykę wewnętrzną, zapraszają za plecami służb Ludmiłę Kozłowską. Jak tu w takim razie lubić Merkel?

Moje widzenie pozytywów w tej sytuacji wynika z tego, że wiem, iż mogło być znacznie gorzej, i na tym skończę ten wątek. Są jednak realne problemy i trudno odwracać od nich wzrok, a mowa tutaj przede wszystkim o gazociągu Nord Stream 2, budowanego nad głową Europy Środkowo-Wschodniej do spółki z Rosjanami. Na obszarze energetyki Niemcy faktycznie naruszają nasze interesy narodowe, wyłącznie patrząc na własne korzyści. Mówię to z ubolewaniem, ale Niemcy nie zrobiły właściwie niczego, aby złagodzić spór na linii Warszawa – Bruksela, a często go pogłębiały. Cały czas wracam jednak do myśli, która towarzyszyła mi wtedy – naprawdę znam osoby, które byłyby na stanowisku kanclerza znacznie mniej obliczalne i bardziej niechętne wobec naszego kraju.

Czyli Angela Merkel to „mniejsze zło”?

Tego już nie powiedziałem.

Natomiast marszałek Beata Mazurek – w temacie niemieckim – powiedziała nawet nieco

ma swój interes. Dlatego są pytania o obiektywizm.

Wspomniał pan o projekcie Nord Stream 2 zagrażającym naszej części Europy. Siłą rzeczy jego głównym inspiratorem jest Rosja, którą z kolei pański ojciec – marszałek senior Kornel Morawiecki – chciałby widzieć w roli strategicznego sojusznika Polski. Mówi nawet wprost o konieczności dokonania renesansu w relacjach Warszawa – Moskwa. Czy pana to niepokoi?

Bardzo kocham mojego ojca, ale kompletnie się z nim nie zgadzam i uważam, że prezentuje błędne patrzanie na te relacje. Rosja uderza w Polskę na bardzo wielu polach, trudno tego nie zauważyć. Jestem diametralnie innego zdania niż marszałek senior. Jego poglądy są w moim odczuciu błędne i niewłaściwe.

Grzegorz Schetyna twierdzi, że „kłamca nie może być premierem” i apeluje o pańską dymisję. Na spotkania wyborcze Koalicji Obywatelskiej przychodzą ludzie ubrani w maski z pańską twarzą i nosem Pinokia...

Szkolę po stronie Platformy, która jeszcze niedawno mówiła, że „500+” to „rozdaństwo”, albo po stronie Koalicji Obywatelskiej, której posłowie nazwali „300+” „ochłapem”, jest wielki. Ich pomysłem na uprawianie polityki jest nieustanne podkręcanie sporu, który dzieli Polaków. Ja się na to nie godzę, ale wiem, że ich język z bezradności będzie się zaostrzał. Nie zostaje się jednak premierem, mając cienką skórę,

ten krok. Myślę, że do końca roku wszystko w tej sprawie będzie już jasne. Przechodząc do bezpieczeństwa militarnego – jest rzeczą oczywistą, że jego filar stanowi dla nas NATO, co nie zmienia faktu, iż możemy równocześnie pracować nad intensyfikacją współpracy z jego największym członkiem – Ameryką.

Czy Polska jest w stanie za tą bliskość płacić miliardy i zaferować dogodny teren pod budowę stałej bazy? Jak zaawansowane są to rozmowy?

Mogę powiedzieć tylko tyle, że rozmowy trwają, przeprowadzane są również szczegółowe analizy lokacyjne, militarne i finansowe. Warto podkreślić jeden, już dzisiaj realny aspekt tej sprawy, mianowicie jeszcze trzy, cztery lata temu na ziemi polskiej stacjonowało ponad 200 żołnierzy amerykańskich. Dzisiaj, za naszych rządów, mówimy o 4,6 tys. żołnierzy rozlokowanych w różnych bazach, m.in. w Orzyszu, Bolesławcu, Skwierzynie czy bazie Redzikowo. I te liczby stale rosną, nie tylko w kontekście piechoty, lecz także sprzętu.

A jak się panu podoba sama nazwa: Fort Trump? Ciekawy chwyt psychologiczny Andrzeja Dudy?

To nie byłaby wysoka cena, jeśli mielibyśmy za nią otrzymać bezprecedensowe wzmocnienie polskiego bezpieczeństwa.

A jaką cenę byłby pan w stanie zapłacić za zażegnanie sporu z Komisją Europejską? W środę 3 października do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w trybie przyspieszonym trafiła skarga KE odnośnie do reformy Sądu Najwyższego. Jest jakieś wyjście z tego kłinczu?

Polska znajduje się w dialogu z Unią Europejską od samego początku tego sporu. Od stycznia do września odbyłem kilkanaście rozmów, zatem mówimy o rzeczywistym dialogu. Mało tego, doprowadziliśmy do wielu zmian, których część jest przez Unię chwalona, np. losowa dystrybucja spraw sądowych albo zakaz przesuwania sędziów pomiędzy wydziałami sądów, czyli prezes nie ma już pośredniej władzy nad sędziami. Nasz obóz polityczny chce jednak dokonać również głębokiej reformy Sądu Najwyższego, ona postępuje, ale na razie nie byłbym pesymistą i nie tracę nadziei, że uda się wypracować rozwiązania akceptowalne dla obu stron. Czekamy cierpliwie na ostateczny wyrok TSUE.

W jakim celu spotkał się pan z prof. Małgorzatą Gersdorf, skoro rząd uważa, że nie jest już I prezesem Sądu Najwyższego?

Myślę, że uczciwie będzie powiedzenie, iż pośrednicy z obu stron namówili nas na takie spotkanie.

Coś z niego wyniknęło?

Nie mogę przekazywać szczegółów, ponieważ umówiliśmy się z panią prezes, że nie mówimy o tej rozmowie.

Tyle że druga strona już je po części zdradziła.

Chyba nie ujawniła za wiele.

To niech pan chociaż powie, czy „powiało optymizmem”?

W tej chwili to bez większego znaczenia, ponieważ spotkanie zostało błyskawicznie przykryte informacją o zaostrzeniu sporu ze strony komisji, o której pan wspominał. I tak koło się zamyka.

Jesteśmy na ostatniej prostej wyborów samorządowych. Jakie polskie „swing states” i sejmiki wojewódzkie wymarzyłby pan sobie, jako premier, odbić z rąk opozycji? Jaki wynik uzna pan za zadowalający?

W tej chwili wolę niczego nie zakładać i nie planować. Piłka cały czas w grze, walczymy o jak najlepsze wyniki we wszystkich możliwych samorządach, a jest o co walczyć, bo zarejestrowaliśmy największą liczbę kandydatów – ponad 33 tys. osób. Wiem jednak, że to część bardzo ważnego sporu o Polskę, który toczymy na poziomie lokalnym. Chciałbym, abyśmy właśnie

Powiem panu szczerze, że będę zadowolony wtedy, gdy wynik będzie po prostu lepszy niż cztery lata temu.

Kiedy wchodził pan do rządu, mówiono o panu, że jest pan liberalnym technokrata.

I banksterem (śmiech).

O tak. Banksterem siedzącym w liczbach, prezentacjach w PowerPointach i tabelkach w Excelu. Aż tu nagle objawia się nowy, ludowy Mateusz Morawiecki. Jeździ po wsiach i miasteczkach, zdejmując marynarkę, podwija rękawy i zagrzewa do boju. Spodobała się panu rola trybuna ludowego?

Dla rządzących, w ogóle dla polityka, nie ma nic ważniejszego niż spotkanie z obywatelami. To wspaniałe doświadczenie. To coś, co nie tylko daje energię, ale przede wszystkim wyznacza kierunek, w którą stronę powinniśmy jako rząd iść. Obiecaliśmy Polakom słuchać ich i rozmawiać o ich potrzebach, problemach czy aspiracjach. I te nasze spotkania w całej Polsce są wypełnieniem tego zobowiązania. Dotrzymujemy słowa. Jesteśmy dla Polaków. I to nie jest tylko kampania wyborcza. Od kwietnia niemal każdy weekend spędzam na takich spotkaniach. Czuję się w tej roli bardzo dobrze, mam wrażenie, że w badaniach opinii publicznej jakoś się to odzwierciedla. Robię swoje, mamy konkretny plan, kierunek. To bardzo pomaga. Zawsze uważałem, że w polityce trzeba umieć liczyć i wyciągać wnioski ze statystyk. Na tym polega ten nasz minicud gospodarczy, że potrafimy spiąć budżet, bez gwałtownego przyro-

Cały czas liczę na to, że Nord Stream 2 zostanie objęty amerykańskimi sankcjami. Rozmawiam na ten temat

tam pokazali, że dotrzymujemy słowa. W kwietniu przedstawiliśmy pięć naszych obietnic: drogi, obniżony CIT, wyprawkę dla uczniów i „Dostępność+”, wprowadzenie małej składki ZUS dla firm z małymi obrotami. Wszystko obecnie jest albo zrealizowane, albo w toku. Wiarygodność. Mówimy – robimy. Dlatego podkreślam podczas spotkań z wyborcami, że również piątka samorządowa doczeka się takiej samej skuteczności we wcielaniu w życie. Przekazujemy tę informację na wiecach, nie mając takiej siły mediów, bo akurat ogromna ich większość nastawiona jest wrogo wobec nas. Jakoś trzeba z tym żyć.

stu długu publicznego przy historycznie niskim bezrobociu. Jeśli dodamy do tego pieniądze zabrane mafiom, to już nawet bez PowerPointa dobrze to wygląda.

Ma pan przy tym wszystkim czas zajrzeć do domu, zobaczyć żonę i dzieci? Ostatnio pochwalił się pan zdjęciem z synem podczas oglądania finału mistrzostw świata w siatkówce.

Faktycznie, bardzo mi tego brakuje i chciałbym spędzać więcej czasu w domu, ale ani przez sekundę nie żałuję decyzji, którą podjąłem. Może to brzmieć jak sprzeczność, ale taka jest prawda.



WOJCIECH WYBRANOWSKI: „Człowiek katastrofa” oraz „Nie ma żadnych pomysłów programowych, bo tylko kropka w kropkę powiela mój program”. Wie pan, kto tak powiedział?

PATRYK JAKI: To chyba Rafał Trzaskowski powiedział o mnie. Generalnie mój rywal i jego sztab w ostatnich dniach znacznie zaostrzyli przekaz i język w kampanii, jest sporo ataków ad personam i czarnego PR. W mojej ocenie bierze się to z ich braku pomysłu na skuteczną kampanię i spadającego poparcia sondażowego Trzaskowskiego...

Według niedawnych badań Trzaskowski jednak wygrywa z panem w pierwszej turze niewielką przewagą.

Gdy zaczynałem kampanię wyborczą, kiedy zostałem ogłoszony oficjalnie jako kandydat na prezydenta Warszawy, to Rafał Trzaskowski według ówczesnych sondaży w pierwszej turze miał nade mną prawie 30 pkt przewagi, a w drugiej turze ta przepaść była wręcz miazdząca. Systematycznie różnica malała, a dzisiaj prawie wszystkie sondaże pokazują, że z tych 30 pkt proc. przewagi kandydata Platformy niewiele zostało, mamy praktycznie remis. Widać, że sztab Trzaskowskiego zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie nam dorównać pod względem pracowitości i kreatywności, więc przyjął nową taktykę: jak najmniej otwartych spotkań, by uniknąć wpadek kandydata, i bardzo ostra kampania negatywna. To daje się zauważyć: w necie poziom kłamliwego hejtu na mój temat, szerzonego z dziwnych, często sponsorowanych kont typu Sok z Buraka, jest olbrzymi.

Moje źródła mówią, że sztaby zarówno opozycji, jak i pański dysponują wewnętrznymi sondażami wskazującymi, że w drugiej turze kandydat Zjednoczonej Opozycji wygrywa z panem różnicą 5–7 pkt proc.

W Warszawie jest coś, czego wcześniej nie zauważono, a co jest bardzo ciekawe z punktu widzenia politologicznego. Mianowicie z naszych badań, które już kilkakrotnie przeprowadzaliśmy, wynika, że gdyby była taka możliwość, iż do wyborów idzie dokładnie cała Warszawa, to na pewno wygrywamy wybory. To oznacza, że atmosfera w stolicy się zmienia, a naszym zadaniem jest to, aby jak najwięcej osób realnie mieszkających w Warszawie mogło głosować. Dlatego kilka dni temu uruchomiliśmy akcję profrekwencyjną – jest możliwość elektronicznego dopisania się do rejestru

FOT. STEFAN MASZCZAK/REPORTER

wyborców, zrobiliśmy też specjalne druki, które można pobierać z naszych stron internetowych, facebookowych i twitterowych. Będziemy chcieli walczyć o to, by jak najwięcej osób naprawdę mieszkających w stolicy poszło głosować.

Chce pan przekonać „słoiaków”, czyli przyjezdnych z innych miast, że nie są gorsi od warszawiaków mieszkających w stolicy od kilku pokoleń. Mówi pan im, że „wszyscy jesteśmy warszawiakami” – ci z luksusowych willi i ci z blokowisk. Zastanawiam się, czy ich to skłoni do oddania głosu na pana, czy może raczej – aspirując do snobującej warszawskiej elity – zagłosują na Rafała Trzaskowskiego, uważanego za kandydata salonów.

Przede wszystkim próbuję przekonać warszawiaków, że jeśli by uczciwie spojrzeć na historię Trzaskowskiego i moją, to

bardzo wiele osób, które urodziły się na Grochowie, na Bródnie, a dziś mieszkają w wygodnych, strzeżonych osiedlach, bo własną pracą, harówką, kreatywnością wypracowały sukces. To są nasze punkty wspólne, coś, co nas łączy. Trzaskowski według wielu tego nie zna, on zawsze wszystko miał, dostawał.

Na spotkania z panem przychodzą w większości ludzie z reprivatyzowanych kamienic, z blokowisk czy młodzi z wielkich firm – ci, co to jak pan mówi, walczą o życiowy sukces?

Przychodzą naprawdę ludzie z bardzo różnych grup społecznych, wiekowych, zawodowych, przy czym rzeczywiście chyba pracowników wielkich korporacji przychodzi najmniej. Oni nie przychodzą na żadne spotka-

Będę przekonywał, że jestem lepiej przygotowany. Co jest istotne? Doświadczenie w pracy w rządzie? Ja – trzy lata w Ministerstwie Sprawiedliwości i 1,5 roku kierując komisją weryfikacyjną. Rafał Trzaskowski? Dziesięć miesięcy jako minister cyfryzacji i 12 miesięcy jako zastępca w MSZ. Doświadczenie w samorządzie? Ja dwie kadencje, mój zastępca Piotr Guział: 20 lat – zna Warszawę jak mało kto. A Trzaskowski i Paweł Rabiej nie spędzili w samorządzie ani minuty! Pierwsze kilka lat będą się tego uczyć. Kto zarządzał większym budżetem? Ja jednym z największych rządowych w Polsce – 11 mld zł, mój konkurent zaledwie ponad 1 mld zł przez 10 miesięcy. Mam większe doświadczenie, jestem lepiej przygotowany do tej funkcji niż on.



Z Patrykiem Jakim, wiceministrem sprawiedliwości i kandydatem PiS na prezydenta Warszawy

rozmawia Wojciech Wybranowski

Warszawa jest jak ja

Warszawa jest bardziej jak ja niż jak Trzaskowski. Dlaczego? Rafał Trzaskowski jest człowiekiem, który sam mówi, że pochodzi z arystokratycznej rodziny, ludzie mówią, że wszystko w życiu dostawał, od stypendiów zagranicznych po jedynki na liście. A Warszawa przecież taka nie jest. Tu ludzie do wszystkiego musieli dojść ciężką pracą. Moja historia jest podobna: przyjechałem z południa Polski, dostałem niskie miejsce na liście, długi czas byłem w partii skazanej na pożarcie, trzeba było walczyć, by przetrwać, i dzisiaj jestem tu, gdzie jestem. W samej stolicy także jest

nia polityczne, bo są to ludzie bardzo zapracowani. To raczej ja próbuję się do nich dostać, stojąc w tzw. Mordorze czy prowadząc z nimi dyskusję w Internecie, próbując ich przekonać do tego, że Warszawa ciągle ma bardzo duży potencjał, ciągle niewykorzystany, szczególnie w obszarze, który ich interesuje: innowacje, smart city i nowe technologie.

By wygrać drugą turę, trzeba będzie przekonać jeszcze wyborców pozostałych kandydatów. Rozmawia pan z rywalami o ewentualnym poparciu po pierwszej turze?

Ważna jest też wiarygodność. Jako poseł z Opolszczyzny dotrzymałem tam wszystkich zobowiązań, mimo że wydawały się też ambitne. Rafał Trzaskowski jako poseł z Krakowa nie zrealizował swoich obietnic. Dokładnie tak samo będzie w Warszawie. A ja dziś mam za sobą jeszcze rząd, który już głosem premiera obiecał środki na moje projekty rozbudowy metra.

A jak chce pan do siebie przekonać elektorat lewicowy? Refundacja in vitro? Edukacja seksualna w szkołach?

■ Edukacja seksualna – nie, in vitro – ponieważ program już funkcjonuje, nie będę go likwidował, a to dlatego że zobowiązałem się, iż jeżeli zostanę prezydentem, to nie będę zajmował się ideologią. Samorząd musi być pragmatyczny: drogi, żłobki, przedszkola, ideologię odkładamy na bok. Jestem też przekonany, że elektorat lewicowy to nie jest komunikacja w stylu Ryfińskiego czy Palikota, bo to mówienie do wąskiej grupy ludzi, lewica to przede wszystkim wrażliwość społeczna, to także otwartość, która na prawicy jest ciągle silna. Sojusz z Guziałem jest dowodem na to, że potrafimy znaleźć wspólny język i być dużo bardziej otwarci na lewicę niż Platforma.

Załóżmy, że zostaje pan prezydentem Warszawy. Kto wchodzi z panem do magistratu?

Przed wszystkim zobowiązałem się, że nie będzie żadnych szaleństw kadrowych. Może i będą zmiany, ale na stanowiskach kierowniczych, a pierwszych dziesięć moich decyzji personalnych to będą awanse z wewnątrz. Jest bardzo

12 lat np. w Sofii powstało trzy razy więcej kilometrów metra niż w Warszawie w tym samym czasie. Mimo że mają pięć razy mniejszy budżet. Dodatkowo już mają terminy odbioru kolejnych 12 stacji. U nas przez 12 lat nie powstał nawet plan budowy trzeciej linii metra. Drogi? Nawet Mińsk zbudował dwie obwodnice. Zarządzanie odpadami? Znowu Warszawa na dole rankingów. Zagospodarowanie przestrzenne? Tu przegrywamy nawet z Wrocławiem czy Poznaniem, które mają więcej planów. Dodatkowo Warszawa w najnowszych rankingach dotyczących np. smart city przegrywa ze stolicą Litwy, Łotwy, Estonii, Węgier, Czech. Nie chcę już słyszeć, że tam się da, tylko w Warszawie się nie da. Dość! Warszawa jest cudownym miejscem i zasługuje na władzę, która wykorzysta jej potencjał. W nowoczesnych miastach, liderach rozwoju technologicznego, jak np. Singapur, wszystko w mieście jest zaplanowane na wiele lat do przodu. A liderzy PO w Warszawie dalej mówią: „Ja nie wiem, jaka Warszawa ma być”.

Moim realnym przeciwnikiem nie jest Rafał Trzaskowski. Prawdziwym przeciwnikiem są komercyjne media

wielu dobrych apolitycznych urzędników ratusza, którzy w związku z tym, że nie funkcjonują w żadnych koteriach, nie mogli awansować. Aczkolwiek będzie również nowe spojrzenie, ale nie wykluczam też, że w drugiej turze trzeba będzie zawrzeć różne koalicje, podpisać oficjalne porozumienia i dopiero wtedy będzie można powiedzieć, które osoby pójdą na najważniejsze stanowiska w mieście.

Trzeba będzie też odwdziżyć się staremu aparatowi partyjnemu za nominację...

Kadencja szybko minie i trzeba będzie pokazać efekty, a inwestycje, które obiecałem, są długoterminowe, dlatego będę potrzebował ludzi, którzy zrealizują mój plan, bo inaczej – mam taką świadomość – nie będę miał odwagi, by stanąć przed wyborcami po pięciu latach i rozliczyć się z tego, co robię. Dlatego będę dobierał fachowców. Jednak ja wierzę, że Warszawa może więcej. Metro przegrywamy ze stolicami z regionu – nawet Rumunią i Bułgarią. To wstyd, że przez ostatnich

À propos: zawiesił pan się w funkcji ministra?
Zawiesiłem. Jestem na urlopie.

Co się stanie z komisją weryfikacyjną? Jeżeli wygra pan wybory, przeniesie się pan do magistratu, jeżeli pan przegra, przeciwnicy podniosą krzyk, że mści się pan na ludziach, którzy wygrali.

Jeżeli wygram wybory, to myślę, że komisja weryfikacyjna zostanie rozwiązana. Odpowiednie kompetencje ma w tym zakresie warszawski ratusz, tyle że dotąd nie chciał z nich korzystać – moim zdaniem w interesie handlarzy roszczeniami i mafii reprivatyzacyjnej. Jeśli wygram wybory i znajdę się w ratuszu, będę korzystał przy weryfikacji spraw spadkowych z tych kompetencji, które ma ratusz, a w takiej sytuacji komisja weryfikacyjna przestanie być potrzebna. Jeżeli przegram wybory, trzeba będzie się poważnie zastanowić, jaka powinna być przyszłość komisji, jakie będzie podejście nowego ratusza. Tutaj jestem mocno sceptyczny, jestem przekonany, że będzie prawie takie samo jak obecnego magistratu. Powiedzmy sobie to szczerze – Rafał Trzaskowski nie ma politycznego zaplecza, więc jeśli przegram, Warszawą dalej będzie rządził układ Kierwińskiego.

Co będzie pana zdaniem największą trudnością w drugiej turze?

Media. Moim realnym przeciwnikiem nie jest Rafał Trzaskowski, który – z całym szacunkiem do niego – powtarza obietnice Hanny Gronkiewicz-Waltz. Jest wyjątkowo ośpały, sprawia wrażenie, jakby ciągle mówił sobie: „Po co mi to wszystko było?”. Moim prawdziwym przeciwnikiem są komercyjne media, które robią kampanię wyborczą za Trzaskowskiego, regularnie na mój temat kłamiąc. Gdybym miał odkłamywać wszystkie bzdury, które na mój temat pojawiają się w TVN24, w „Gazecie Wyborczej”, w niektórych portalach, to w kampanii nie robiłbym nic innego, tylko pisał sprostowania i pozwy. Był taki moment, gdy część mainstreamu chciała zmienić kandydata, każdy miał swoich faworytów, natomiast teraz, ponieważ ratusz jest jednym z najważniejszych źródeł utrzymania wielu komercyjnych mediów, to ich właściciele, wydawcy, wiedzą, że walczą o przeżycie, więc nastąpił proces konsolidacji po stronie Trzaskowskiego. Będą bronić tego skorumpowanego układu. Czekam na bardzo brudną kampanię i brutalne ataki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



6 LISTOPADA 2018

**GALA WRĘCZENIA
NAGRÓD**

VI EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PATRONAT HONOROWY



niepodległa

ROK
ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



PARTNER STRATEGICZNY



SPONSOR



PARTNERZY



WSPÓŁORGANIZATOR



Kiedyś mówiłeś, że twoja córka idzie na prawo do Wrocławia, prawda? Wyślę ten twój defekacyjny tekst moim kolegom z Wydziału i poproszę, żeby go omówili na zajęciach w Jej grupie jako przykład mowy nienawiści. Zobaczymy, jak będziesz pisać, jak wróci do domu” – ten wpis prawnika znanego z ostrej krytyki PiS i kojarzonego z totalną opozycją spotkał się z masową krytyką. Straszanie przeciwnika atakiem na jego córkę to nie tylko przekroczenie granic nawet bardzo ostrej debaty, lecz także praktyka znana raczej z systemów totalitarnych. A przecież Marcin Matczak często o autorytarne, totalitarne czy też faszystowskie tendencje w myśleniu oskarża polityków PiS. Adresatem twitterowego wpisu był Piotr Wielgucki, znany jako bloger Matka Kurka.

Matczak nie zamierzał przeproszać. Tłumaczył, że chodziło o hipotetyczną sytuację, a nie o realną groźbę. Wreszcie napisał list otwarty do córki Wielguckiego. Czytamy w nim m.in.: „Nie znamy się, ale ze względu na jedną z moich publicznych wypowiedzi być może dotrą do Pani niepokojące wiadomości. Wiadomości te, które wynikają z błędnej interpretacji moich słów, mogą wskazywać, że chciałem Pani zaszkodzić w planowanych studiach prawniczych. Postanowiłem napisać ten publiczny list, żeby wyraźnie potwierdzić, że nigdy nie miałem i nigdy nie będę miał wobec żadnego młodego człowieka intencji zaszkodzenia mu. Nie było to w żadnym wypadku ani treścią, ani intencją moich słów”.

W rozmowie z „Do Rzeczy” Marcin Matczak zapewnia: – Żałuję tej sytuacji, tak jak zawsze żałuję, gdy moje wyrwane z kontekstu słowa mogą zranić kogoś niewinnego. Gdybym mógł cofnąć czas, napisałbym tak: „Niech pan sobie wyobrazi, że ktoś bliski panu to czyta”. Tłumaczy też, że „mowa nienawiści jest złem, na które trzeba reagować, najlepiej obrazowymi przykładami”, ale że „użyty w pośpiechu przykład był niewłaściwy”.

PROFESOR Z UW

Matczak jest profesorem prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Jako radca prawny specjalizuje się w prawie farmaceutycznym i żywnościowym. W mediach występuje głównie jako krytyk reformy sądownictwa. Kłótnia z Wielguckim to przypadek wyjątkowy, ale Marcin Matczak znany jest z ostrego stylu komentowania. „Zmierz się z mną, wyjdźmy na intelektu-



Maciej Pieczyński

Kreowany jest na nowego lidera antypisu, choć sam zapewnia, że politykiem być nie chce. Marcin Matczak, prawnik kojarzony z opozycją, zasłynął przede wszystkim ostrym językiem w medialnych bojach



Fighter nadzwyczajnej kasty

FOT. PAVEL KUTYCHEN

alne solo i pokaż, że jesteś lepszy” – w ten niecodzienny sposób apelował o debatę do studenta, który na łamach „Gazety Wyborczej” skrytykował jego przemówienie. Matczak tłumaczył, że chodziło o spowodowanie do otwartej dyskusji, tak czy inaczej jednak sam język zwraca uwagę. Jednemu z twitterowych adwersarzy zakomunikował: „Nie bywam na uroczystościach, które zagrażają Pańskiemu odbytowi”.

Jednoznacznie stoi po stronie „obrońców demokracji”. W studiu TVN wypowiedź przewodniczącego KRS Leszka Mazura skwitował słowami: „To przypomina najgorsze czasy propagandy komunistycznej”. Decyzję Komisji Europejskiej o złożeniu do Trybunału Sprawiedliwości UE skargi na Polskę nazwał „zasługą wielkich patriotów”. „Są dla państwa prawa tym, czym koń trojański był dla Troi” – tak o ministrze sprawiedliwości i jego współpracownikach mówił w rozmowie z Tomaszem Lisem. W tym samym wywiadzie Matczak „ostrzegał”: „Patronem tego, co się w Polsce dzieje, jest Carl Schmitt, niemiecki konstytucjonalista, który uważał, że polityka jest ważniejsza niż prawo i prawo musi ustąpić przed siłą polityczną. Schmitt pisał naprawdę ciekawe rzeczy, ale w pewnym momencie wsparł nazistów i myślenie Hitlera. Dzięki Schmittowi wiemy, że jeśli, jak mówi Kornel Morawiecki, »dobro narodu«, które ma zdefiniować polityk, staje się ważniejsze niż abstrakcyjny porządek prawny, to wkraczamy na równię pochyłą, po której staczamy się w autorytaryzm”.

FASYZM W MYŚLENIU

Matczak stanął już na czele nieformalnego zespołu prawników, którzy mają się zająć „wyprostowaniem” stanu prawnego po reformach wprowadzonych przez PiS. Opowiada się przy tym za chirurgiczną operacją na systemie, często podkreśla, że „nie da się naprawić zegarka kijem bejsbolowym” – święcie przekonany o słuszności „obrońców demokracji” chce, by tę rzekomo utraconą demokrację „przywrócić” za pomocą demokratycznych, legalnych metod. O Julii Przyłębskiej mówi Lisowi: „To typowy dla reżimów nieliberalnych przykład tzw. wydrążania instytucji, czyli powoływania do nich ludzi, którzy nie stanowią dla władzy żadnego zagrożenia [...] Trzeba legalnie ją usunąć z nielegalnie zajmowanej funkcji prezesa TK. Bardzo łatwo będzie też usunąć sędziów dublerów albo tych, którzy weszli na ich miejsce po tym, jak dublerzy zostali wybrani”.

Komentując słowa Jarosława Kaczyńskiego o cechującej sędziów nienawiści do ojczyzny, Matczak napisał na Twitterze: „Uwaga, kolejny alert w sprawie faszystowskiego stylu myślenia!”. Prawnik powołał się przy tym na tezy prof. Jasona Stanleya z Yale o tym, że państwami, które nie są faszystowskie, mogą rządzić politycy mający faszystowski styl myślenia. – Nie uważam, że w Polsce panuje faszyzm – zapewnia w rozmowie z „Do Rzeczy” sam prof. Matczak. – Kaczyński nie jest faszystą. A tylko twierdzi, że niektóre jego wypowiedzi są przykładem faszystowskiego myślenia. Żeby była jasność: podobne zdanie mam na temat niektórych wypowiedzi niektórych polityków obecnej opozycji. Słowa Radosława Sikorskiego o „dorżnięciu watahy” również zakwalifikowałbym jako przykład dehumanizacji przeciwnika. Dla mnie faszyzm jest stanem umysłu, niezależnym od barw politycznych. Dzisiaj głośno jest o tym, że krytykuję PiS. Jednak mało kto pamięta o tym, jak za czasów PO-PSL krytykowałem ówczesnych rządzących za demontaż OFE. Poza tym ja komentuję to, co PiS robi z konstytucją, nie wypowiadam się na tematy niezwiązane ze stanem prawa. Nie krytykuję np. „500+” – dodaje.

– Matczak to bardzo inteligentny facet i dobry prawnik, ostatnio jednak kompromituje się swoimi nie tylko upolitycznionymi, lecz także chamskimi wypowiedziami w mediach. Wielu studentów uważa go za gburę. Pamiętam, że kiedy przyszedł na nasz wydział, był bardzo sympatyczny, otwarty, dość szybko przechodził na ty z młodszymi kolegami z pracy. Teraz to się zmieniło. Stał się arogancki i nazbyt pewny siebie. Wychodzi z założenia, że w dyskusji trzeba być twardym i bezkompromisowym, bo inaczej się przegra. Myślę jednak, że naprawdę wierzy w to, iż w Polsce jest łamana konstytucja, i jest idealistą, a nie koniunkturalistą – tak ocenia Matczaka pracownik Wydziału Prawa i Administracji UW, który chce zachować anonimowość. Wspomnianą pewność siebie Matczak bardzo wyraziście pokazał w jednej z twitterowych dyskusji z Piotrem Wielguckim, pisząc: „Ha! I tu Pan przegrał naszą potyczkę słowną [...] A wie Pan, dlaczego Pan przegrał? Bo jestem doskonale wykształconym prawnikiem, któremu ludzie płacą grubą kasę, żeby masakrował takich cieniasów jak Pan”.

– Zamiast walczyć o demokrację, Marcin Matczak powinien powalczyć o poprawę stanu swojej wiedzy prawniczej. Wypowiada się jak konstytucjonalista, choć jest

specjalistą od prawa farmaceutycznego. Po jego komentarzach widać, że na zajęciach z prawa konstytucyjnego raczej przysypiał – ocenia prof. Krystyna Pawłowicz. – Ja polityką zajęłam się dopiero na prawniczej emeryturze. On już teraz ma widoczne ambicje polityczne. Widać, że jest pompowany przez media. Jeśli wejdzie do polityki na dobre, to skończy jak Palikot czy Petru. Natomiast jak na prawnika jest zbyt arogancki. Marcin Matczak to raczej typ „Gasiuk-Pihowicz naszego wydziału prawa”.

– Nie kwestionuję wiedzy prawniczej prof. Marcina Matczaka. Uważam jednak, że jego medialne komentarze są nazbyt upolitycznione – komentuje prof. Piotr Kruszyński z Uniwersytetu Warszawskiego, adwokat. – Ja również wypowiadam się publicznie na tematy związane z reformą sądownictwa. Ograniczam się jednak do kwestii prawnych, nie wchodzę w politykę. Natomiast prof. Matczak, niezależnie od słuszności czy niesłuszności samej treści jego argumentów, nie zachowuje niezbędnego dystansu do problemu, o którym mówi.

Ostro Matczaka skrytykował niedawno prof. Jan Majchrowski, również z WPiA UW. W odpowiedzi na apel o rezygnację z kandydatury do Sądu Najwyższego Majchrowski pisze m.in., że sygnatariusze listu uzurpują sobie prawo do najwyższego autorytetu moralno-etycznego w Polsce, a „w tym kontekście szczególnego znaczenia nabiera podpis pod »Listem otwartym« Marcina Matczaka, który swoimi publicznymi enuncjacjami [...] wzbudził ogromne poruszenie (nie tylko społeczności akademickiej), każącej postawić pytanie o odpowiedzialność za (tu cytując »Listu otwartego«) »sprzeniewierzenie się wychowawczym powinnościom nauczyciela akademickiego«. Sygnatariuszom winszuję towarzystwa”.

Daniel Passent widzi w Matczaku materiał na lidera opozycji. Niezwykle popularny w obozie antypisu prawnik zapewnia jednak, że do polityki wchodzić nie zamierza. – Wolę zajmować się nauką. Wejście do polityki to bilet w jedną stronę – mówi „Do Rzeczy” prof. Matczak. Zaręcza, że gdyby PO czy Nowoczesna zaproponowały mu kiedyś tekę ministra sprawiedliwości, odmówiłby. – Absolutnie nie zamierzam zostać politykiem. Chcę być dalej naukowcem występującym publicznie i krytykującym łamanie prawa przez władzę, niezależnie od tego, czy będzie rządził PiS, PO czy jakkolwiek inna partia – dodaje.

Obrona to także sojusze



**Z Pawłem Słochem,
szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego**
rozmawia Łukasz Warzecha

ŁUKASZ WARZECHA: Najgłośniej w trakcie wizyty prezydenta RP w USA wybrzmiały jego słowa o „Fort Trump” jako oczekiwanej przez nas stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce. Jednak gospodarz nie podjął tematu. Wcześniej deklarował jedynie, że sprawa będzie rozważana. Co to oznacza?

PAWEŁ SŁOCH: W podpisanej przez obu prezydentów deklaracji o strategicznej współpracy jest mowa o tym, że obie strony będą rozważały wzmocnienie obecności amerykańskiej w Polsce. Robocze rozmowy między Pentagonem, Departamentem Stanu a naszym rządem, ale też ośrodkiem prezydenckim, trwają od dłuższego czasu. Dzięki wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w USA po raz pierwszy ta kwestia pojawiła się w rozmowach na najwyższym możliwym szczeblu. Jeszcze rok temu pojawiały się pytania, czy Amerykanie pozostaną u nas na dłużej. Teraz kwestii w ogóle już

nie ma, jest tylko pytanie, od kiedy i o ilu będzie ich więcej. Na konkretne informacje musimy poczekać kilka miesięcy. Istotnym czynnikiem będzie raport dla Kongresu, przygotowywany na początek marca, dotyczący kwestii amerykańskiej obecności na flance wschodniej, szczególnie w Polsce, w kontekście planowanego budżetu obronnego USA.

Pojawiły się głosy, że tego typu decyzja nie powinna być podejmowana na zasadach dwustronnych, bo jesteśmy częścią dużego sojuszu obronnego.

Kluczowe są rozmowy bilateralne z USA. Natomiast konsultujemy tę sprawę również z sojusznikami. Używając analogii – tak samo jak amerykańska baza antyrakietowa w Redzikowie będzie częścią systemu obrony powietrznej NATO, tak amerykańska baza wojsk lądowych

w Polsce byłaby elementem wzmacniającym bezpieczeństwo całego sojuszu na wschodniej flance.

Czy podczas rozmów w USA w którymkolwiek momencie przewinęła się kwestia ustawy 447?

Nie. Nie było o tym w ogóle mowy od momentu zamknięcia kwestii ustawy o IPN. Polsko-amerykańskie rozmowy, dotyczące obronności, nie zahaczają o żaden inny temat.

Czy Polska kupuje sobie od Amerykanów bezpieczeństwo tak, jak się kupuje ubezpieczenie, bo Donald Trump ma naturę biznesmena? Za pierwszą fazę systemu „Wisła” płacimy 16 mld zł. Przewidywała się suma 2 mld dol. za stałą amerykańską bazę. To nic więcej niż handel?

Sytuacja, w której państwo przyjmujące sojusznicze oddziały partycypuje w kosztach tej obecności, jest całkowicie normalna. Patrzyłbym na to w kontekście szerszym niż relacje polsko-amerykańskie i osobowość obecnego prezydenta USA. Już od dłuższego czasu w elitach politycznych w Stanach Zjednoczonych narastało



rzają ku jakiemuś nowemu izolacjonizmowi. Ich polityka jest w długiej perspektywie konsekwentna. Zresztą to Trump zdecydował o zwiększeniu obecności amerykańskich wojsk w Europie oraz o poważnym zwiększeniu środków, które USA przeznaczają na ten cel w ramach tzw. europejskiej inicjatywy odstraszania.

Jednak w tle tej gry w bezpieczeństwo jest przecież również amerykański gaz.

Oczywiście. Amerykański gaz kontra Nord Stream 2.

Podczas wizyty Andrzeja Dudy w Waszyngtonie ze strony gospodarza nie padło żadne jasne stwierdzenie na temat ewentualnych sankcji wymierzonych w Nord Stream 2.

Musimy mieć świadomość, że równolegle do publicznie wygłaszanych deklaracji toczą się rozmowy Amerykanów z Niemcami. To jedna z pięciu głównych gospodarek świata. Wymiana handlowa między USA a Niemcami należy do największych. Niemcy prowadzą w Waszyngtonie swój lobbing. Działania przeciwko Nord Stream 2 są natomiast zapisane we wspólnej deklaracji polsko-amerykańskiej, ale ich forma jest sprawą otwartą. To niekoniecznie muszą być sankcje skierowane przeciwko konkretnym firmom. Może chodzić i o to, żeby otworzyć rynek niemiecki na amerykański gaz, co również byłoby w naszym interesie, bo skłaniałoby Berlin do dywersyfikacji źródeł i zapobiegałoby dalszemu wzmacnianiu relacji z Rosją.

Tutaj mamy wspólny interes z USA, ale już w sprawie sankcji nałożonych na Iran – nie. Czy ta sprawa była poruszana podczas wizyty prezydenta w Waszyngtonie?

Wspomniano o niej. Rozumiemy motywacje amerykańskie, ale jesteśmy jednocześnie członkiem Unii Europejskiej i kierujemy się tu wytycznymi polityki wspólnotowej.

Jakiś czas przed wizytą prezydenta w USA odbyła się wizyta w Australii, a przed nią zgrzyt – zrezygnowaliśmy z dogadanego już, jak się wydawało, zakupu australijskich fregat klasy Adelaide. Dlaczego do tego doszło?

MON wykazywało zainteresowanie zakupem tych okrętów od 2017 r., a więc jeszcze za poprzedniego ministra. Rozmowy były zaawansowane, natomiast żaden dokument przesądzający o zakupie nie został podpisany.

Bo miał być podpisany w czasie wizyty Andrzeja Dudy w Australii.

Rozważane były różne scenariusze, lecz decyzje w tej sprawie leżały w całości po stronie rządu. Prezydent jest przede wszystkim zwolennikiem określonej wizji rozwoju marynarki wojennej, która została zawarta w opracowanej przez BBN Strategicznej Koncepcji Bezpieczeństwa Morskiego z 2017 r. Podkreślaliśmy w niej konieczność posiadania przez Polskę okrętów klasy fregata, oczywiście bez przesadzania, że miałyby to być akurat te z Australii. MW dysponuje dziś dwiema fregatami, które za kilka lat będą musiały zostać wycofane, więc ważne jest zapełnienie luki, która się pojawi. Polski przemysł stoczniowy niestety nie ma obecnie kompetencji, żeby samodzielnie zbudować okręt tego typu. Przemysł potrzebuje czasu, ale też marynarka potrzebuje pilnych decyzji.

Czyli polskie fregaty byłyby przeznaczone do operacji poza Bałtykiem?

I poza Bałtykiem, i na nim. Rosjanie mają na naszym morzu kilka fregat. Pojawiają się u nas fregaty niemieckie czy duńskie. Potencjał sił zbrojnych to dziś – szczególnie w układzie sojuszniczym – nie tylko element bezpośredniej obrony państwa, lecz także narzędzie dyplomacji i wzmacniania więzi z sojusznikami. W tym kontekście przypomnę chociażby o zatwierdzonej ostatnio przez NATO inicjatywie sekretarza obrony USA gen. Jamesa Mattisa „4 razy 30”. Chodzi o to, aby do 2020 r. sojusz dysponował 30 batalionami zmechanizowanymi, 30 eskadrami lotniczymi i 30 okrętami bojowymi gotowymi do działania najdalej w 30 dni. Jeżeli chcemy się włączyć do tej inicjatywy także w wymiarze morskim, to musimy mieć odpowiednie okręty. To samo dotyczy współpracy z grupami manewrowymi lotniskowców, które w przypadku zagrożenia poważnym konfliktem odegrałyby ogromną rolę.

No tak. Jednak fregat nie będzie. Więc co będzie?

Nasze stanowisko, co do zasadności oparcia potencjału morskiego na większych jednostkach, takich jak fregaty, pozostaje niezmiennicze. Mówimy o całościowej wizji sił zbrojnych. Modne jest dzisiaj w niektórych kręgach hasło „autonomia strategiczna”. Oczywiście powinniśmy dążyć do tego, żeby być zdolnym do prowadzenia jak najbardziej samodzielnych działań,

przekonanie, że Europejczycy sojusznicy zbyt mało wydają na bezpieczeństwo. Słyszałem podobne głosy, może w nieco innej formie, również od kongresmenów demokratycznych, jeszcze za czasów Obamy. Teraz to samo mówi Donald Trump, tyle że dosadniej. Podczas szczytu NATO w lipcu tego roku powiedział, że USA łożą na ochronę krajów europejskich przed Rosją, której następnie te same kraje płacą miliardy euro, zawierając z nią umowę gazową i budując Nord Stream 2. Zatem z naszej strony to nie jest podejście handlowe. My po prostu pokazujemy, że jesteśmy odpowiedzialni.

To, co pan mówi, przypomina mi list szefa niemieckiego MSZ Heiko Maasa, opublikowany w sierpniu w dzienniku „Handelsblatt”. Maas twierdzi, że stanowisko Ameryki sceptyczne wobec obecnej formy przymierza z Europą nie pojawiło się wraz z dojściem do władzy Trumpa i nie zniknęło wraz z jego odejściem.

To było trafne spostrzeżenie. Maas jest wobec amerykańskiej polityki krytyczny, ale też słusznie zauważa, że USA nie zmie-

FOT. WOTEEK GÓRSKI/FOTURUM

■ ale musimy rozumieć, że prawdziwą autonomię strategiczną mają tylko państwa posiadające broń nuklearną, a do tego wystarczająco duże terytorium i dość ludności, żeby przetrwać pierwszy atak. Są tylko trzy takie kraje na świecie: USA, Rosja i Chiny. My takich zdolności nie mamy, dlatego uważam, że powinniśmy jak najściślej wiązać infrastrukturalnie naszych sojuszników, żeby przyszedł nam w razie potrzeby z pomocą. Poważniejsze siły morskie by temu sprzyjały. I mówię to na podstawie wielu rozmów i konsultacji, które w ostatnich latach prowadziliśmy z partnerami z NATO.

Tymczasem nowych fregat nie mamy, jedyny funkcjonalny okręt podwodny jest w remoncie po pożarze. Od ponad 20 lat ciągnie się budowa ORP „Ślężaka”, okrętu patrolowego. Najnowsza jednostka to niszczyciel min ORP „Kormoran”, zresztą zbudowany w prywatnej stoczni Remontowa Shipbuilding. Nie wygląda to szczególnie imponująco. Jednak może nie musi. Niektórzy twierdzą, że rozbudowana flota na Bałtyku w ogóle nie ma sensu.

Decyzja, którą podejmiemy w sprawie rozwoju sił morskich, będzie skutkiem sposobu myślenia o siłach zbrojnych oraz polityce bezpieczeństwa państwa w ogóle. Pamiętajmy też, że konflikty zbrojne często nie wybuchają od razu z pełną siłą, są fazy pośrednie. Marynarka Wojenna II RP miała niszczyciel „Wicher”, który odegrał znaczącą rolę w kryzysie gdańskim w 1932 r. Wbrew woli gdańskiego senatu wpłynął do tamtejszego portu z rozkazem wydanym przez marszałka Piłsudskiego, żeby otworzyć ogień w razie jakiegokolwiek niemieckiej prowokacji. I to odniosło skutek.

Tyle że „Wicher” się potem na wiele nie przydał. Zatopiła go Luftwaffe już 3 września 1939 r.

Oczywiście, że nie mógł wiele zdziałać, gdy zaatakowała nas jedna z największych ówczesnych potęg militarnych świata. Ponadto, zgodnie z polskimi planami obronnymi, niszczyciele oraz okręty podwodne wyszły poza Bałtyk, brały udział w walkach z Niemcami oraz były nieokupowaną częścią terytorium Polski. Jednak nie w tym rzecz – chodzi o to, że marynarka może być potrzebna, zanim wybuchnie gorący konflikt. Do tego ma wiele innych zadań, takich jak ochrona infrastruktury portowej, energetycznej czy konojów morskich.

Szwecja z kolei nie ma w ogóle fregat, a przecież musi się bronić sama jako państwo neutralne, nienależące do NATO.

A Dania, Norwegia, Hiszpania, Turcja? Nam takie okręty są potrzebne. I stąd pomysł, którym zainteresowany jest również prezydent, żeby niektóre programy, dotyczące marynarki, nie były finansowane z budżetu MON, ale bezpośrednio z budżetu państwa, tak jak było z programem zakupu myśliwców F-16.

Jaka jest szansa, że taka decyzja zostanie podjęta?

W BBN rozważamy taki wariant i uważam, że potrzebna jest poważna dyskusja na ten temat.

Ostatnio furorę zrobiła informacja, że zostanie zmodernizowanych ok. 300 czołgów T-72. Mówiąc ogólnie, nie są to maszyny najnowocześniejsze. Ma to jakikolwiek sens?

To znów zderzenie dwóch koncepcji. Jedna to modernizacja T-72, która zostałaby zlecona państwowym zakładom. Druga to postawienie na kompetencje modernizacyjne znacznie nowocześniejszych czołgów Leopard, których mamy

ponad 200, i co już robimy. To mogłoby także wpisać Polskę w koncepcję budowy czołgu europejskiego nowej generacji, realizowaną dziś przez Francję i Niemcy, na podobnej zasadzie, jak tworzony był myśliwiec Eurofighter.

Podobno z zakupu fregat zrezygnowaliśmy ze względu na polski przemysł stoczniowy, który i tak takich okrętów nie jest w stanie zbudować, jak sam pan mówił. Czy to nie znaczy, że oczekiwania pracowników czy związkowców biorą górę nad względami militarnymi?

Dobrze by było, gdyby interes polskiego państwowego przemysłu zbrojeniowego był podporządkowany interesom armii. To przemysł jest dla armii, a nie odwrotnie.

Tymczasem Polska Grupa Zbrojeniowa, zrzeszająca państwowe spółki, ma właśnie piątego prezesa w ciągu trzech lat, a kuluarowe opowieści o dysfunkcjonalności całej struktury podnoszą włosy na głowie.

Każdy minister obrony ma ten sam dylemat: sprawuje bezpośrednią kontrolę nad siłami zbrojnymi, a jednocześnie ma pod sobą zbrojeniówkę, o której interesy też musi dbać. Jak to połączyć? Poza tym część polskiego przemysłu zbrojeniowego radzi sobie całkiem nieźle. To dotyczy i firm należących do PGZ, takich jak Huta Stalowa Wola, i prywatnych, jak Lubawa SA czy WB Electronics.

Od polskich prywatnych firm sprzęt kupują także Amerykanie, ale już niekoniecznie Wojsko Polskie. Może problem w tym, że spółki PGZ są państwowe?

Chyba nie. Na przykład turecki przemysł obronny jest państwowy i radzi sobie na światowych rynkach doskonale. Produkuje rakiety, czołgi, nawet licencjonowane okręty podwodne. Przyczyna naszych problemów musi być zatem inna i warto się temu przyjrzeć. Nie wnikając w szczegóły, państwowy przemysł zbrojeniowy na pewno potrzebuje reformy i na pewno nie da się jej przeprowadzić bez poważnego impulsu politycznego. Dobrym pomysłem jest stworzenie polskiej agencji uzbrojenia. Na razie w tej sprawie przez obecnego ministra został powołany pełnomocnik. Warto by się też przyjrzeć procedurom zakupu uzbrojenia, w tym ustawie offsetowej. Wojskowi, którzy najlepiej orientują się w tej problematyce, skarżą się, że dojście do finału przy zakupie sprzętu zajmuje całe lata. O wiele za długo.

Kością niezgody między ośrodkiem prezydenckim a poprzednim ministrem była struktura dowodzenia. Teraz przeszkody już chyba zniknęły. Jak zatem idą zmiany?

Odpowiednie regulacje ustawowe są już w Sejmie. Ostatnio zostały pozytywnie zaopiniowane przez Komisję Obrony Narodowej. Zakładamy, że nowe rozwiązania wejdą w życie 1 stycznia 2019 r. Zamiast trzech równoległych ma być wyznaczony jeden dowódca, którym będzie szef Sztabu Generalnego. Jemu zostanie powierzone zadanie przygotowania ostatecznego kształtu struktury dowodzenia na niższym szczeblu. Zmiany chcemy wprowadzać stopniowo, aby zachować zdolność Sił Zbrojnych do reagowania na zagrożenia. Poprzednia reforma przygotowana przez koalicję PO-PSL, która w dużym stopniu zdeorganizowała system dowodzenia, przeprowadzona została w momencie agresji rosyjskiej na Ukrainę. Oceniam to co najmniej jako nieodpowiedzialne.



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 8
PAŹDZIERNIKA
2018

PIĘTNASTY ODCINEK SERII

Ostatnie zwycięstwo
Bitwa pod Wiedniem

ZWYCIĘZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIĘZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna



Agnieszka Niewińska

Czy do Związku Harcerstwa Polskiego wdarło się środowisko popularyzujące homoseksualizm?

Przygoda, samodzielność, służba Bogu i ojczyźnie – to zazwyczaj pierwsze skojarzenia rodziców, którzy myślą o tym, by ich dziecko wstąpiło do harcerstwa. Jeśli sami doświadczyli harcerskiej przygody, to w pamięci mają letnie obozy w lesie, wędrówki z mapą i kompasem czy udział w patriotycznych uroczysto-

ściach. I choć zmieniają się pokolenia młodych wkładających szare mundury, a drużyny w swojej pracy chętnie korzystają z nowych technologii, to młodzież wciąż mogą zdobywać doświadczenia harcerskie, które były udziałem ich rodziców. Tyle że pod adresem Związku Harcerstwa Polskiego – największej i najstarszej z organizacji harcerskich, której początki sięgają 1918 r. – coraz głośniejsz padają zarzuty, że czyni kroki,

by w harcerskiej pracy znalazła się nowa tematyka rekomendowana przez organizację LGBT.

O tym, że ZHP sprzyja postulatami organizacji spod znaku tęczy, głośno zrobiło się na przełomie czerwca i lipca. W czerwcu bowiem Główna Kwatera ZHP opublikowała poradnik dla drużynowych gromad i drużyn ZHP „Tęźnia ducha”, dotyczący wychowania duchowego i religijnego, które jest jednym z filarów pracy harcerskiej. Między poradami na temat tego, jak zadbać o rozwój duchowy i religijny młodych ludzi, oraz rozważaniami na temat pracy z osobami niewierzącymi, znalazł się rozdział „Každy inny, wszyscy równi” zilustrowany zdjęciem z Rainbow Cafe – tęczowej kawiarenki na międzynarodowym zlocie Jamboree w 2015 r., zorganizowanej przez skautów identyfi-

człowieka to wartość płynąca z religii i uniwersalnych norm moralnych, więc w publikacji ZHP niepotrzebnie wydziela się temat osób homoseksualnych. „Nie można pod hasłem tolerancji promować postaw, z którymi nie wszyscy się zgadzają i które nie dla wszystkich są naturalne” – napisali instruktorzy. Drużna p.wd. Agnieszka Wiktorko-Liżewska podkreśla, że oświadczenie podpisała ze względu na swój chrześcijański światopogląd. Zaznacza jednak, że kilka elementów wpłynęło na jej decyzję. – Obecnie w środkach przekazu temat LGBT zrobił się „modny”, a nie widzę powodu, by go stawiać na piedestał. W harcerstwie wychowanie duchowe jest istotne w kształtowaniu postaw młodych ludzi, nie niszczy tego co niewinne – mówi. I dodaje, że nie widzi potrzeby podnoszenia tematu osób LGBT

wszystkich społeczeństwach i kulturach na przestrzeni dziejów”. W proponowanej przez ZHP grze pod nazwą „Eurokolej á la carte” dzieci mają wybierać towarzyszy do podróży w jednym przedziale. „Ważne jest, aby dobór potencjalnych pasażerów nawiązywał do mniejszości, które są znane grupie, włączając też mniejszości »niewidoczne«, takie jak homoseksualiści, niepełnosprawni czy nosiciele wirusa HIV”.

BIEDROŃ NA 100-LECIE

W sierpniu na odbywającym się w Gdańsku zlocie z okazji 100-lecia ZHP w ramach „Kuźni Inspiracji” harcerską młodzież inspirował Robert Biedroń, homoseksualny prezydent Słupska, znany z działalności w organizacjach LGBT. – Czy osoba, która pokazuje się w mediach z partnerem i opowiada w wywiadach

LGBT w ZHP

kujących się ze środowiskami LGBT. Ozdobiona gejomskimi flagami kawiarenka zlotowa była miejscem dla gości wspierających środowiska LGBT.

ZHP w publikacji wyjaśnia, że osoby homoseksualne padają ofiarą dyskryminacji, doświadczają nienawiści i pogardy, więc harcerze powinni

stawać w ich obronie, szanować je i tolerować. „Osoby nieheteronormatywne (czyli homo- i biseksualiści) mogą być członkami ZHP oraz zdobywać kolejne stopnie i funkcje. To, z kim dana osoba jest w związku, stanowi jej sprawę prywatną – prawa i obowiązki osób homoseksualnych w ZHP są takie same jak osób tworzących związki heteroseksualne” – czytamy w „Tęźni ducha”.

W odpowiedzi na publikację swoje oświadczenie wystosowali instruktorzy z Zespołu Wychowania Duchowego i Religijnego Chorągwi Warmińsko-Mazurskiej. Harcerze – świeccy i duchowni – zwrócili uwagę, że szacunek do każdego

w wychowaniu harcerskim. – Młodzież wychowujemy w duchu szacunku do drugiego człowieka, niezależnie od wyznania, koloru skóry czy orientacji seksualnej. Nie uczymy pogardy do człowieka.

– Wahaliśmy się, czy wydać to oświadczenie, bo przecież wielu drużynowych nawet nie słyszało o publikacjach Kwatery Głównej ZHP i w swojej pracy nie sięga po tematykę promowaną przez organizację gejomskie. Uznaliśmy jednak, że skoro materiały są dostępne na stronie internetowej ZHP, to młody drużynowy w dobrej wierze może po nie sięgnąć i je realizować – tłumaczy harcmistrz ks. Przemysław Przekop, jeden z sygnatariuszy oświadczenia.

ZHP już w 2015 r. udostępnił drużynowym gotowe scenariusze zajęć z harcerzami w publikacji „Každy inny, wszyscy równi”. Publikacja opracowana na bazie materiałów Rady Europy dotyczy edukacji międzykulturowej z uwzględnieniem homoseksualizmu. Harcerskim wychowawcom objaśniane jest, że jeśli zajmują się na zbiórkach tematem homofobii, to mają informować: „Że homoseksualiści istnieli we

o tym, że korzysta z pornografii, powinna być stawiana harcerzom za wzór? – pyta Paweł Kwaśniak, prezes Centrum Życia i Rodziny. Kierowana przez niego organizacja pod koniec września na stronie Teczowehp.pl uruchomiła akcję zbierania podpisów pod petycją do przewodniczącego ZHP, której sygnatariusze wyrażają sprzeciw wobec „promocji homoseksualizmu, biseksualizmu, transseksualizmu i innych dewiacji wśród dzieci i młodzieży w ZHP”. – Pan Robert Biedroń został zaproszony na zlot w związku ze swoją działalnością samorządową w Słupsku – odpowiada hm. Martyna Kowacka, rzeczniczka prasowa ZHP. I dodaje, że Biedroń był jednym z wielu gości, a obok niego zaproszeni zostali rzecznik praw dziecka Marek Michałak, dziennikarz Szymon Hołownia czy podróżnik Aleksander Doba, a zajęcia z Biedroniem były fakultatywne. – Poruszone tematy w szczególności dotyczyły potrzeby działania na rzecz lokalnych społeczności – dodaje Kowacka.

Paweł Kwaśniak zwraca jednak uwagę, że publikacje Kwatery Głównej ZHP czy zaproszenie Biedronia na zlot to nie

■ są jednorazowe działania ZHP. Podkreśla, że już w ubiegłym roku Chorągiew Łódzka ZHP zorganizowała spotkanie na temat homoseksualizmu w pracy wychowawczej. Wśród prelegentów znalazły się m.in. Ida Mickiewicz-Florczak, prezes organizacji LGBT „Fabryka Równości”, czy Aleksandra Dulas, seksedukatorka fundacji Spunk. W tym roku Zespół Wychowania Duchowego i Religijnego Chorągwi Łódzkiej ZHP wsparł na Facebooku Międzynarodowy Dzień przeciwko Homofobii, Bifobii i Transfobii. Materiały przygotował i oznaczył logo grupy chrześcijan LGBTQ „Wiara i tęcza”. „Brawo, harcerze i harcerki!” – cieszył się portal środowisk gejowskich Queer.pl. – To, co promuje ZHP, jest niezgodne z harcerską ideą. Twórca skautingu Robert Baden-Powell uczył chłopców tego, że ich seksualność jest cennym skarbem, a skarbu tego skaut ma strzec aż do małżeństwa. Andrzej Małkowski, założyciel harcerstwa w Polsce, podkreślał, że skaut stroni od trucizn szkodzących ciału i duszy, zachowuje wstrzemięźliwość. Prawo harcerskie mówi, że harcerz jest czysty w myśli, mowie i uczynkach – wylicza Paweł Kwaśniak. I dodaje: – ZHP

figurują w Krajowym Rejestrze Karnym oraz Rejestrze Sprawców Przestępstw na Tle Seksualnym – a na merytoryczne przygotowanie osób, które mają pełnić funkcje wychowawcze w ZHP – tłumaczy. I zapewnia, że rodzice nie mają się czego obawiać: – ZHP nie promuje homoseksualizmu wśród harcerzy. Nie jest to naszą misją. Jako organizacja uczymy jednak szacunku do bliźnich i braterstwa – to wynika wprost z Prawa Harcerskiego.

Rzeczniczka ZHP, pytana o publikację Kwatery Głównej, które wzbudziły kontrowersje wśród samych instruktorów ZHP, tłumaczy, że żadna z przywołanych publikacji nie jest adresowana do młodzieży. – Osoby LGBT są w naszym społeczeństwie i trudno udawać, że tak nie jest. Nasi metodycy starają się dostarczyć instruktorom wiedzy i sposobów prowadzenia zajęć, które przede wszystkim uczą szacunku do ludzi, którzy żyją w inny sposób niż większość społeczeństwa – twierdzi Kowacka. Zapewnia, że nie ma mowy o żadnej stałej współpracy z organizacjami LGBT. Mówi, że przedstawiciele „Fabryki Równości” brali udział w debacie organizowanej przez Zespół Wychowania Duchowego i Religijnego Chorągwi

tencja. Musimy być stanowczy w naszych działaniach, zwłaszcza że w strukturach jest dużo sojuszników – mówiła w wywiadzie, który powstał w ramach współpracy „Vogue’a” z Kampanią przeciw Homofobii.

MUNDURKI NA PARADACH

Ksiądz harcmistrz Przemysław Przekop zwraca uwagę, że tematy LGBT podnosi w ZHP grupka osób. – Głównie z chorągwi łódzkiej. To osoby, które utożsamiają się ze społecznością LGBT. Widzę jednak, że choć reprezentują mniejszość w Związku, to cieszą się przychylnością Kwatery Głównej – mówi ks. hm. Przekop.

Na pytanie, czy działania chorągwi łódzkiej mają aprobatę, rzeczniczka ZHP odpowiedziała enigmatycznie: – Chorągwie, prowadząc działalność programową, muszą prowadzić ją w zgodzie ze statutem ZHP, z podstawami wychowawczymi ZHP oraz z zasadami harcerskiego wychowania, jednak dobór poszczególnych form i tematów pozostaje w gestii każdej z chorągwi.

Wśród organizacji skautowskich na świecie widać jednak, że mocno dotknęła je polityczna poprawność. Boy Scouts of America przez lata, mimo procesów sądowych, nie dopuszczała do swoich szeregów ani skautów deklarujących się jako homoseksualiści, ani gejów w roli wychowawców, wolontariuszy czy pracowników. Ostatecznie zrezygnowała z tej zasady w 2015 r. Jej przewodniczący ogłosił, że wraz ze zmianami społecznymi utrzymanie zasady nie będzie możliwe. Media natomiast podnosiły, że dzięki zniesieniu zakazu w jednej organizacji będą mogli się znaleźć homoseksualni ojcowie wraz z wychowywanymi przez siebie dziećmi. Reprezentacje skautów w krajach zachodnich biorą nawet udział w gejowskich paradach. Irlandzcy skauci stworzyli patrol LGBT, który organizuje pogadanki i warsztaty, m.in. w szkołach, na temat kwestii związanych z homoseksualnością. – Być może działania niektórych członków ZHP dążących do uwzględniania kwestii homoseksualizmu podyktowane są jakąś modą, chęcią pokazania, że wzorem innych organizacji na świecie jesteśmy nowoczesni. Nie wyobrażam sobie jednak, by harcerze brali udział w Paradach Równości. Statut ZHP stanowi, że podstawą w naszym wychowaniu są normy moralne wywodzące się z uniwersalnych, kulturowych i etycznych wartości chrześcijaństwa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

W sierpniu w Gdańsku na zajęciach „Kuzni Inspiracji” młodzież inspirował Robert Biedroń, homoseksualny prezydent Słupska

dopuszczał homoseksualistów do funkcji wychowawczych. Obawiamy się, że orientacja seksualna instruktorów stanie się wzorem dla dzieci i młodzieży w drużynach harcerskich. Oczekujemy, że ZHP albo wycofa się z promocji homoseksualizmu, albo wyraźnie zakomunikuje, że odchodzi od harcerskich idei. Rodzice mają prawo to wiedzieć. Po uruchomieniu naszej akcji wielu z nich, kontaktując się z nami, jest zszokowanych, bo nie po to wysłali dziecko do harcerstwa, by było tam zapoznawane z tematyką LGBT.

Harcmistrzyni Martyna Kowacka przyznaje, że ZHP nie różnicuje wychowawców na hetero- i homoseksualnych. – Nie pytamy i zgodnie z prawem nie możemy pytać naszych członków o to, jaka jest ich orientacja seksualna. Kładziemy nacisk na weryfikację formalną – funkcje wychowawcze mogą pełnić tylko osoby, które są członkami ZHP, złożyły Przyrzeczenie Harcerskie, ukończyły kurs instruktorski i kurs metodyczny oraz nie

Łódzkiej razem z innymi gośćmi. – Wśród nich był również ks. Arkadiusz Lechowski z archidiecezji łódzkiej. Nie można w tym przypadku mówić o współpracy – wyjaśnia rzeczniczka. – W przypadku materiałów opracowanych przez Zespół Wychowania Duchowego i Religijnego Chorągwi Łódzkiej stowarzyszenie Wiara i Tęcza wystąpiło w roli konsultanta. Dzięki temu treści w materiałach były merytorycznie zgodne zarówno z aktualnym stanem wiedzy medycznej, jak i ze stanowiskiem ujętym w Katechizmie Kościoła katolickiego.

O tym, że w ramach ZHP powstają struktury działające na rzecz LGBTQ, w miesięczniku „Vogue” opowiedziała Helena Gil – biseksualna instruktorka harcerska z warszawskiej Ochoty. – Harcerstwo dopiero oswaja się z tym tematem. Skauting światowy jest zdecydowanie bardziej liberalny. W ZHP powstał ruch Harcerstwo dla Każdego, który szerzy tolerancję. To raczkująca inicjatywa, ale ma ogromny po-



ks. Jarosław Cielecki

w rozmowie z Tomaszem P. Terlikowskim

bliski współpracownik papieży Jana Pawła II, Benedykta XVI i bp. Pawła Hnilicy. Popularyzator życia i kultu św. Szarbela. Założyciel kilkuset domów modlitwy tego świętego.

Jego opowieści wydawały mi się nieprawdopodobne. Później okazywało się, że wszystkie były prawdziwe. To kapłan, który ma prawdziwy charyzmat do niezwykłych przygód.

Grzegorz Górny,
publicysta, autor książek

KSIAŻKA Z WATYKANU

Byłem kiedyś na audiencji u Ojca Świętego z właścicielem Telewizji Polsat, Zygmuntem Solorzem, który zresztą nie przywiązywał szczególnej wagi do tego spotkania. Wszystko się zmieniło, gdy podszedł do papieża, a Jan Paweł II spojrzał na niego i położył na niego swoje dłonie. Wtedy ten twardy biznesmen zaczął płakać. Dziennikarze chcieli to nagrywać, ale on zakazał. „Wytnijcie łyżę” – powiedział im. A ja zadałem mu pytanie: co się stało? Czemu płakał? „Bo mi się wydawało, że on mnie zobaczył całkowicie, że zobaczył we mnie wszystko” – odpowiedział.

ŚWIADEK WALKI DOBRA ZE ZŁEM

Kiedyś pojechałem do rodziny, w której mąż uprawiał okultyzm. W noc poślubną pokazał żonie małą drewnianą głowę z włosami i opowiedział jej, że to są włosy zmarłej osoby, które wciąż rosną, a on je co jakiś czas przycina. Okazało się, że jest wyznawcą Szatana, i zapowiedział, że ta główka będzie zawsze obok nich w szklance. On był naprawdę opętany, wiedział, co myśli i co robi jego żona, terroryzował i bił ją i dzieci. Byłem u nich kiedyś po kryjomu, gdy on był w pracy i modliliśmy się z pewnym kapłanem, a ja poprosiłem Michała Archaniola, żeby zamknął przed tym mężczyzną możliwość dostrzeżenia pewnych rzeczy. Kiedy tylko wyszliśmy z jej domu, on natychmiast zadzwonił i zapytał, kto tam był. Ona odpowiedziała, że nikogo nie było. On na to: „Wiem, że było dwóch, tylko nie wiem kto, bo zostało mi to zasłonięte”. Straszna to była walka.

APOSTOŁ ŚW. SZARBELA

Upatrzyłem sobie miejsce pod pustelnią i byłem tam przez osiem nocy. Nikt mnie nie znalazł. A o północy stawiałem pniak przy okienku pustelni Szarbela i na tym pniaku odprawiałem Mszę. To był niesamowity czas. Byłem z nim, a on ze mną. A w dzień moich urodzin przyszedł do mnie namacać. Gdy zacząłem na kolanach sprawować Mszę Świętą, zgasły wszystkie światła wokół pustelni. To Szarbel dawał mi znaki.

Sprawowałem więc Mszę tylko przy maleńkiej świeczuszcze. I nagle poczułem, że ktoś jest za mną. Wiedziałem to. A kiedy powiedziałem: „Oto ofiara spełniona”, zapaliły się światła. Zostałem jeszcze przy pustelni, podchodziłem do okienka, żeby złapać trochę ciepła ze środka, i nagle poczułem, że ktoś tam w środku siedzi. Zacząłem pytać: „Ojciec Szarbela, jesteś tu?”. Było około trzeciej w nocy. „Jesteś tu?” I wtedy zaczął kasłać.

więcej w książce *Padre Jarek od św. Szarbela*



Zamów książki na www.esprit.com.pl lub telefonicznie:
12 267 05 69, 12 264 37 09, 12 264 37 19. Atrakcyjne rabaty!
Przy zamówieniach powyżej 70 zł darmowa dostawa.

~~29,90 zł~~
[224 STRONY] **24,90 zł**

Silne kobiety na ekrany!

Dzisiaj poeta nie napisałby już: „Kobieto, puchu marny!”. A gdyby napisał, napytałby sobie biedy. Mizoginia jest passé, molestowanie to czyn kryminalny. Pod Paryżem osobnik, który głośno komentował rozmiar biustu współpasażerki, swoją zaś pijacką tyradę zwieńczył klepieniem jej w pośladek, prosto z autobusu trafił na policyjny dołek. Za swój czyn dostał trzy lata więzienia – bez zawiasów. Dyrektor artystyczny festiwalu w Wenecji, pytany, dlaczego w konkursie kolejny rok z rzędu startuje tylko jeden film wyreżyserowany przez kobietę, wiał się jak piskorz, ale i tak został oskarżony o seksizm. Organizato-



Wiesław Chęłminiak

Era patriarchatu dobiegła końca. Przynajmniej w kinie

rzy imprezy pośpiesznie obiecali, że wzorem kolegów z Cannes podpiszą protokół dotyczący równości płci. Jeszcze trochę i doczekamy wprowadzenia parytetów, być może także wśród laureatów.

WAYNE ZMIENIA PŁEĆ

Ameryka też gnije, to osobny rozdział. Rysownicza komiksów Alison Bechdel

razem z koleżanką wymyśliły wskaźnik aktywnej obecności pań w treściach kultury. Jeśli w filmie pojawiają się kobiety, które rozmawiają o czymś innym niż o facetach, to jest dobrze. W Szwecji, idącej w awangardzie postępu, niektórzy kinarze już wprowadzili nową klasyfikację wyświetlanych tytułów. Certyfikaty „A” dostają tylko filmy, które zwycięsko



Jessica Chastain jako Molly Bloom
w „Grze o wszystko” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przeszły test Bechdel. Oblały go m.in. „Władca pierścieni”, „Avatar”, „Social Network”, „ Fargo” i „Król lew”.

Jakimś wyjściem byłoby stworzenie nowych, poprawnych wersji fabuł, które nie odstają od feministycznego ideału. Pierwsze próby nie są jednak zbyt zachęcające. Komedię „Ghostbusters”, reaktywowaną w damskiej obsadzie, powitały szyderstwa. Kryminał „Ocean’s 8”, przekonujący, że kobiety kradną z większym wdziękiem niż mężczyźni, kokosów nie zarobił.

Przeszłość zmienić trudno, lecz nadzieje na lepszą przyszłość wydają się oparte na solidnych podstawach. Podczas ostatniego rozdania Oscarów triumfowały

filmy, w których bohaterki praktycznie nie schodzą z ekranu. W rywalizacji o tytuł najlepszej aktorki rywalizowały Sally Hawkins („Kształt wody”), Margot Robbie („Jestem najlepsza. Ja, Tonya”) i Frances McDormand („Trzy billboardy za Ebbing, Missouri”). Zwyciężyła ta ostatnia, bo trzymała się prostej zasady: jeśli występujesz w westernie, to wejdź w kowbojskie buty Johna Wayne’a. Wszyscy, włącznie z szeryfem, będą schodzić ci z drogi.

Niezlą kolekcję nagród i nominacji uzbierała również Jessica Chastain, specjalizująca się w rolach samic alfa. Rudowłosa aktorka wcielała się ostatnio: w agentkę FBI bez wytchnienia

tropiącą Osamę bin Ladena, lobbystkę upokarzającą swego byłego pracodawcę oraz damulkę czerpiącą zyski z hazardu (weszła w ten szemrany biznes na złość tatusiowi, który za dużo od niej wymagał). Chastain, z przekonania lub wyrachowania, płynie na feministycznej fali. Grając żonę dyrektora warszawskiego zoo, ukrywającą Żydów, nie omieszczała podkreślić, że „Azyl” to historia „otocznej przez maczystowską agresję kobiety, która dorasta do tego, żeby wyjść z cienia”. W ramach promocji wpadła do Polski. Akurat był 8 marca, więc gwiazda przyłączyła się do manifestacji maszerującej pod transparentami typu: „Aborcja w obronie życia”.

WALECZNE I SEKSOWNE

Z patriarchatem walczą też Maria Skłodowska-Curie w biograficznym filmie Marie Noelle oraz młodzianka Astrid Lindgren, sportretowana w duńsko-szwedzkiej koprodukcji, która właśnie wchodzi na ekrany naszych kin. Czupurna 16-latką upiera się, że mężczyźni i kobiety są równi wobec Boga. Wkrótce urodzi nieślubne dziecko, lecz ani myśli wieść życie, jakie zaprojektował jej kochanek, czy wrócić na łono konserwatywnej rodziny. Pójdzie własną drogą i zostanie królową literatury dziecięcej. Oto życiorys godny ikony epoki postępującego równouprawnienia. Stawiam szwajcarskie franki przeciw laskowym orzechom, że w najbliższych latach powstanie jeszcze sporo fabuł o paniach, które dotarły na szczyt głównie po to, by utrzyć nosa męskim szowinistycznym świnom.

Nowoczesne heroiny nie uciekają w samobójstwo tak jak Thelma, Louise, egipska Kleopatra i Virginia Woolf. One walczą i zabijają. O ileż uboższe byłoby kino rozrywkowe bez Panny Młodej z „Kill Billa”, zmotoryzowanych dzierlatek z „Grindhouse: Death Proof” czy Życziwej Geum-ja, bohaterki filmu pod wszystko mówiącym tytułem „Pani zemsta”. Próbuje nadążyć za światowym trendem Luc Besson napisał scenariusz o dziewczęciu, które w pojedynkę gromi narkotykową mafię. „Colombiana” wielkiej furory w kinach nie zrobiła, bo wyczyny tytułowej bohaterki balansowały na granicy śmieszności.

Wiarygodniej prezentowała się Milla Jovovich od 2002 r. eksterminująca hordy zombiaków w kolejnych odsłonach „Resident Evil”. Już w drugiej części została poddana genetycznym ulepszeniom, co zamknęło usta szydercom dworującym

■ sobie z jej nadzwyczajnej siły i zręczności. Lara Croft, równie postać rodem z gry komputerowej, zdaniem feministek za bardzo eksponowała swoją cielesność (czytaj: biust). Feler ten naprawiono, dokonując zmiany obsadowej. Aseksualna Alicia Vikander skierowała opowieść w bezpieczne rejony, widzowie dostali żeńską wersję Indiany Jonesa, z czego byli jednak średnio zadowoleni. Nie wiadomo, czy ciąg dalszy nastąpi.

BOND NA OBCASACH

W zwycięskim pochodzie przez królestwo X muzy panie wkraczają na odwieczne męskie terytoria. G.I. Jane wzięła koszarę, służby specjalne coraz mniej wydają na krawaty i brylanty, a coraz więcej na szminki i żakiety. W „Czerwonej jaskółce” była baletnica okazała się sprytniejsza od starych wyjadaczy z KGB i CIA razem wziętych. Wierzyliśmy w ten absurd tym chętniej, że Dominikę grała aktorka, która wyciągnęła ludzkość za uszy z totalitarnej matni w „Igrzyskach śmierci”.

Męscy gwiazdorzycina szpiegowskiego po kolei wywieszają białe flagi. Ethan Hunt z „Mission: Impossible” szczerze podziwia była agentkę MI6 Ilse Faust, być może dlatego, że jest jego lustrzanym odbiciem. Sprawna fizycznie, trzymająca moralny pion twardzielka posiadała też umiejętność, która staroświeckiemu Ethanowi jest obca: łamie przeciwnikom karki uściskiem swych mocarnych ud.

O ewolucji dziewczyn Bonda można by napisać książkę. Długo dworowano, że aby wystąpić u boku agenta 007, wystarczy dobrze wyglądać i szeptać: „Och, James...”. W „Pozdrowieniach z Rosji” producenci żeńską obsadę wyłonili spośród laureatek konkursów miss. Te czasy wydają się dziś odległe niczym epoka dinozaurów (do których zresztą porównał Bonda w „GoldenEye” jego nowy szef – kobieta). W „Casino Royale” as brytyjskiego wywiadu dał sobie złamać serce, a w „Quantum of Solace” doszło do historycznego przełomu. Po raz pierwszy w dziejach serii dziewczyna, dzieląca z Jamesem trud i znoje, nie poszła z nim do łóżka. W „Spectre” szpieg wszech czasów słyszy od atrakcyjnej blondynki: „Dobry z ciebie człowiek”, co wstrząsa nim tak, że postanawia porzucić służbę i poświęcić się życiu rodzinnemu.

Jak wybrnąć z tego bagna scenarzyści zapowiadanej 26. odsłony przygód Bonda, Bóg jeden raczy wiedzieć. Od premiery „Atomic Blonde” nie trzeba już sobie wyobrażać, jak wyglądałby cykl, gdyby najsłynniejszy



Karolina Gruszka jako polska noblistka w filmie „Maria Skłodowska-Curie”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Jennifer Lawrence w „Czerwonej jaskółce”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Frances McDormand w „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

agent Jej Królewskiej Mości stał się kobietą. Lorraine Broughton, bohaterka o komiksowym rodowodzie, masakruje wrogów bez litości, przyjaciół oplakuje oszczędnie, biseksualizm czyni zaś z niej szpiega idealnego. Zabawne, że tytułową blondynkę gra Charlize Theron, dzięki której oldskulowy „Mad Max” został uznany w niektórych kręgach za manifest feminizmu.

Nie wszyscy jednak dają się nabrać: część obserwatorów zwróciła uwagę, że większość filmowych silnych kobiet jest nimi tylko do czasu. Trinity z „Matriksa” intryguje dopóty, dopóki nie okaże się, że nad innymi wyznawcami Mesjasza ery komputerowej ma tylko jedną przewagę: ona z nim sypia. Furiosa w końcu uzna kierowniczą rolę Mad Maxa. Katniss po zwycięstwie rewolucji wycofa się z polityki, by osiąść w rodzinnej wiosce.

W SZPONACH HIPOKRYZJI

W Ameryce obfitość fabuł z feministycznym przechylem ma konkretny motyw finansowy. Kobiety czytają znacznie więcej książek niż panowie. W kinach stanowią połowę widowni, ale rzadko wybierają się na seans samopas. To do nich adresowane są komedie o złych mamuśkach i zbuntowanych gospodyniach domowych. Filmy o blondynce zapędzającej w kozi róg orłów palestry czy samotnej matce wygrywającej starcie z bezduszną korporacją służą krzepieniu damskich serc, podobnie jak rytualna krytyka męskiego egoizmu. Po to w końcu wymyślono kino, by poprawiało nam humor.

Afera Weinsteina, która wybuchła równo rok temu, miała być początkiem końca macyzmu w show-biznesie. Bru dy, latami zamiatane pod dywan, ujrzały światło dzienne. Kampania #MeToo straciła jednak na rozmachu i powadze, gdy jej animatorki zaczęły się potykać o własne nogi. Kobiety Hollywood nie wzięły pod uwagę, że również one mogą zostać oskarżone o molestowanie. No cóż, kiedyś kalifornijską Fabryką Snów rządili zatwardziali seksiści, dziś królowa jest tylko jedna i ma na imię Hipokryzja.

Z niektórych wypowiedzi można wnioskować, że wielu pokrzywdzonym tak naprawdę chodzi o pieniądze. O tym, że aktorki za mało zarabiają, a po ukończeniu 40. roku życia stają się dla producentów trędowate, mówi się jednak od dawna. Oczywiście od każdej reguły są wyjątki. Judi Dench, Helen Mirren czy Maggie Smith status gwiazdorski zdobyły w wieku bardziej niż dojrzałym.

Zwolennicy płciowych parytetów pocieszają się, że w filmach najchętniej oglądanych przez młode pokolenie sytuacja nie jest najgorsza. Na ekrany powrócił Superman, ale pojawiła się też Wonder Woman, która potrafi cisnąć czołgiem niczym zabawką. Przy okazji wskrzeszono mit Amazonek, w dodatku w wersji ulepszonej: ojczyzna walecznych dziewczoi to już nie jałowy step, lecz rajską wyspa. W uniwersum Marvela sporo jest pań obdarzonych nadprzyrodzonymi mocami. Od rudowłosej Nataszy Romanow, bardziej znanej jako Czarna Wdowa, do zielonoskórej Gamory – „najbardziej niebezpiecznej kobiety we wszechświecie”. Zarzuty seksizmu odpierają też fani „Gwiezdnych wojen”, twierdząc, że heroiny, wymyślone przez George’a Lucasa i scenarzystów Disneya, w niczym nie ustępują tym komiksowym, a nawet je przewyższają.

WENUS BEZ FUTRA

W Europie filmowe bohaterki często przypominają lustra, w których odbijają się obsesje reżyserów. Nieuleczalny prowokator Lars von Trier w „Nimfomance” upomniał się o prawo kobiet do seksoho-

lizmu. Płeć piękna jest demonizowana. Ekrany zaludniają klony lady Makbet, czarownice, ulegające mrocznym instynktom nastolatki tudzież zimne suki. Zadać się z taką to ryzyko – duma skołowany dyrektor muzeum z „The Square”, lecz pokusie oprzeć się nie potrafi. W „Nieposłusznych” kandydat na rabina, osaczony przez lesbijki, z których jedna jest jego żoną, popada w herezję.

Na tle ekspansywnych pań tym bardziej widoczna jest słabość ich partnerów. Apostoł nouvelle vague, Jean-Luc Godard, oglądany oczami młodzieutkiej żony jawi się żalonym kabotyńcem. Z „Obietnicy poranka” jasno wynika, że pisarz Romain Gary miał kompleks maminsynka. Roman Polański, któremu skłonność do nastolatek zwichnęła karierę, na stare lata popadł w mizoginię. W przeciwnym wypadku nie marnowałby czasu na drugorzędną literaturę, do której przynależą „Wenus w futrze” i „Prawdziwa historia”.

Światowy trend ogarnął również Polskę, z rezultatem raczej kiepskim. Powstały takie kurioza jak biografia Michaliny Wisłockiej wystylizowanej na pogromczynię komuny i „Pokot”

– apoteoza terrorystki, zakochanej w sudeckiej florce i faunie, niszczonej przez mężczyzn w strojach myśliwskich i sutannach. Na feminizm nawrócili się Juliusz Machulski oraz Pątryk Vega i nie wyszło im to na dobre. Beata Dżianowicz, autorka kryminału „Odnajdę cię”, dokonała przynajmniej aktorskiego odkrycia. Kto by pomyślał, że Ewa Kaim, na którą nasze kino nie miało dotąd żadnego pomysłu, tak dobrze odnajdzie się w roli policjantki? Na miejscu ministra spraw wewnętrznych zrobiłbym z niej od razu komendanta głównego.

W czasach, gdy prasa miała jeszcze jakiś prestiż, jeden z periodyków ogłosił akcję poszukiwania talentów pod hasłem: „Piękne dziewczyny na ekranie!”. Odzew społeczny przeszedł ponoć wszelkie oczekiwania. Proponuję, by redakcja „Do Rzeczy”, nawiązując do tej tradycji, ogłosiła casting na bohaterkę filmową, przed którą padną na twarz rodacy i narody ościenne. Resztę obsady dobierze się z panów o urodzie modeli, lecz o nikczemnych umiejętnościach aktorskich. A Wajda z Kieślowskim z nieba nam pobłogosławią. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nie ma już Ewy, która wzywała 07, a porucznik Borewicz i jego towarzysze z PRL-owskich służb na szczęście w większości odeszli już na (nie)zasłużone emerytury. Jak się jednak okazuje, po latach zainteresowania amerykańskimi książkami sensacyjnymi polskie opowieści o świecie zbrodni znów stają się modne.

– W ostatnich latach wydawcy zauważają rosnące zainteresowanie kryminałem. Tym polskim kryminałem, ułożonym w naszych realiach, z elementami politycznej rzeczywistości, których akcja toczy się na ulicach Warszawy, Poznania czy Wrocławia – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Tadeusz Żysk, prezes Wydawnictwa Żysk i S-ka, które w ostatni weekend września wspólnie z wydawnictwem Nowa Baśń zorganizowało w stolicy Wielkopolski już trzecie spotkanie z serii „Jesień z Kulturą”.

Renesans kryminału

Polska staje się światową stolicą zbrodni? Na razie nam to nie grozi, ale powieść kryminalna odżywa, a wydawcy cieszą się, że zainteresowanie polskim kryminałem zaczyna być zauważalne także za granicą

„Jesień z Kulturą” to cykl spotkań autorskich, w których uczestniczą popularni autorzy związani z wydawnictwem Żysk i S-ka. Gwiazdą trzeciego już spotkania był Robert Ziółkowski, były funkcjonariusz poznańskiego Zespołu Poszukiwań Celowych, który w minionych latach zatrzymał znanych w Wielkopolsce gangsterów: „Makowca”, „Orzecha”, członków gangów „Borysa” i „Drewniaka”. Jest też autorem kilku kryminałów, m.in. „Wście-

kłego psa” i „Łowców głów”. Co ciekawe – dzielnica Poznania, Piątkowo, gdzie zorganizowano spotkanie z autorem, ma swoje stałe miejsce w kryminalnej historii miasta. Tutaj powstał i działał w latach 90. „gang piątkowski” kierowany przez Damiana Szustera ps. Twardziel.

– Ludzie przychodzą i pytają mnie o książki, o pomysły na fabułę, a ja się rozglądam i przypominam sobie, że tu, w tym bloku, mieliśmy akcję,

tam za rogiem zatrzymaliśmy znanego gangusa, który akurat był w mieszkaniu chokhanki. Wracają wspomnienia – śmieje się Ziółkowski.

Pisarz mówi nam też, że jego koledzy z czasów pracy w policji często doszukują się – nie zawsze trafnie – w bohaterach jego książek siebie samych.

– Będąc byłym policjantem, nie muszę wymyślać sensacyjnych wydarzeń, wzoruję się na tym, co rzeczywiście się w Poznaniu wydarzyło, co znam w szczegółach ze swojej pracy. Fajnie się pisze, bo z jednej strony jest to literatura atrakcyjna, łatwa, przyjemna, z drugiej strony można w niej przemycić ważne treści – dodaje Robert Ziółkowski.

Spotkaniem „Jesień z Kulturą”, które odbywać się będą jeszcze przez kilka weekendów w różnych miejscach Poznania, towarzyszą też imprezy i atrakcje dla dzieci oraz sprzedaż książek z rabatami. © © (ww)





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIEŚLAW
CZEŁMIANIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Hu, hu, ha, **nasza** **szkoła zła**



★★★★★
**REŻ. MAREK
KOTERSKI**
„7 UCZUĆ”
POLSKA 2018

wyst. Michał
Koterski, Marcin
Dorociński,
Katarzyna Figura

Każda epoka ma takiego Gombrowicza, na jakiego sobie zasłużyła. Roger Waters miał 36 lat, gdy ogłosił światu, że szkoła to samo zło. Publiczność była zachwycona, jedynie co złośliwsi recenzenci albumu „The Wall” wyrażali zdziwienie, że lider zespołu Pink Floyd czekał tak długo, by wyrównać rachunki z systemem edukacji.

Marek Koterski znalazł się w tym samym punkcie kariery, będąc ponaddwukrotnie starszy. Dopadła go refleksja, że w podstawówce niepotrzebnie wbijano dzieciakom w głowy wiedzę o dopływach Nilu, koronacji Łokietka i tablicy Mendelejewa.

Życie nastolatka to dżungla, więc nic dziwnego, że zza kadru słychać kojący głos Krystyny Czubówny, lektorki filmów przyrodniczych. Frazy charakterystyczne dla twór-

czości reżysera „Domu wariatów” płyną z ust Koterskiego juniora, popularnego Miśka (gra lepiej, niż się można było spodziewać). Jednak nie tylko – wszyscy tu mówią Miauczyńskim. Adaś, kultowa postać polskiej kultury przełomu XX i XXI w., znowu dołuje. Chciałby być jak Gary Cooper, charyzmatyczny szeryf strzelający z biodra „W samo południe”, tak się jednak składa, że jest zakompleksionym patałachem.

Koterski wyrębał sobie w królestwie X muzy udzielne księstwo, w którym wszyscy muszą tańczyć, jak on zagra. Któż inny zdołałby przebrać w krótkie gatki i szkolne mundurki kwiat aktorstwa polskiego, zmusić poważnych ludzi do skakania na skakance i wykonywania ryzykownych ewolucji na trzepaku, śpiewania wulgarnych rymowanek, bekania i puszczenia wiatrów?

Są w tym filmie sceny znakomite. Ta odegrana przez uczniów z „W pustyni i w puszczy” pogrąża twórczość Sienkiewicza skuteczniej niż ataki tysiąca Brzozowskich.

A jednak „7 uczuć” ogląda się z narastającym uczuciem zniecierpliwienia. Fabuła rozpada się na ciąg mniej lub bardziej doniosłych epizodów. Scen, nakręconych chyba tylko dla hecy (ojciec Adasia, będąc pod wpływem, tłumaczy współbiesiadnikom teorię względności) i zaskakująco poważnych („Myślisz, że w życiu zawsze jest fajnie?” – pyta, nie bez słuszności, pani od polskiego).

Dopóki reżyser próbuje być terapeutą tylko dla swego bohatera, dopóty da się to jeszcze wytrzymać. Gorzej gdy zaczyna popadać w kaznodziejstwo. Cała ironia ulatuje w stratosferę. Koterski – samowzwaneczy rzecznik praw 12-latków – za pośrednictwem sprzątaczkę wygłasza manifest godny doktora Korczaka (słowo na „k” pomijając). Logiczną puentą byłoby wyświetlenie na ekranie napisu: „Takie będą Rzeczypospolite, jak ich młodzieży chowanie”. Jak dla mnie najlepszą opowieścią o niedolach Miauczyńskiego wciąż pozostaje „Dzień świra”. ©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ŻŁE SIĘ DZIEJE W EL ROYALE”

Drew Goddard to reżyser zaskakującego i zabawnego horroru „Dom w głębi lasu”, współpracownik Jossa Whedona i scenarzysta „Marsjanina”. Właściciel tego niezłego CV przedstawia tym razem opowieść trochę z Agathy Christie, a trochę z Quentina Tarantino: siedmioro obcych spotyka się pewnej

nocy w podupadłym hotelu. Nikt nie jest tym, za kogo się podaje. A gwiazdorska obsada zwiastuje spore emocje.

© © **Piotr Gocięk**

• „Żłe się dzieje w El Royale”,
reż. Drew Goddard,
wyst. Chris Hemsworth, Dakota Johnson,
Jon Hamm, Jeff Bridges, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Hotel Transylwania 3”,
reż. Genndy Tartakovsky, USA 2018
- „7 uczuć”, Polska 2018,
reż. Marek Koterski
- „Hellfest”, reż. Gregory Plotkin, USA 2018
- „Siedem lat jednej nocy”,
reż. Chang-min Choo,
Korea Południowa 2018



Kochanica redaktora

W Egipcie ludzie chodzą tyłem, a w Indiach na rękach, zaś Brazylijczycy smarują włosy żółtkiem, żeby nie wyłysieć. Każdy Szwed o tym wie, bo wychował się na książkach o Pippi Pończoszance. Nie trzeba nawet wymieniać nazwiska ich autorki, samo imię wystarczy. Tytułujesz film: „Młodość Astrid” i wszystko jest jasne.

Jakim dzieckiem była królowa literatury dziecięcej? Zda się, że niesfornym, podobnym do Pippi. Lekceważyła konwenanse, przysparzając wielu trosk bogobojnym rodzicom. Gdy do Smalandii dociera cywilizacja w postaci torów kolejowych, Astrid buntuje się na całego. Obcina warkocze (choć matka ostrzega, że nowoczesna fryzura

to bilet do piekła) i traci wianek, odbywając staż w lokalnej gazecie.

Lindgren miała w sobie iskrę geniuszu, Christensen uprawia solidne, skandynawskie rzemiosło. Fabularny schemat, w którym bohater dostaje od życia kilka mocnych ciosów, by w finale wyjść na prostą, sprawdza się i tym razem. Astrid znokautować się nie pozwoli. Zwycięży, gdy odkryje, że jej największym atutem nie jest upór i pracowitość, lecz bujna fantazja. Trochę to się kłóci z luteraniskim etosem. Jednak czyż można żądać, by małe dziecko, którego mama jest aniołem, a tatuś królem murzyńskim, i które przez całe życie pływało po morzu, zawsze mówiło prawdę? ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. PERNILLE FISCHER CHRISTENSEN
„MŁODOŚĆ ASTRID”
(„UNGA ASTRID”)
SZWECJA/DANIA
2018

wyst. Alba August,
Henrik Rafaelsen,
Maria Bonnevie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIESKI ŻYWOT

Niedaleka przyszłość, w której okrutne władze Japonii odbierają wszystkim mieszkańcom psy i zsyłają je na wielką wyspę usypaną ze śmieci. Oficjalna wersja: z powodu choroby roznoszonej przez zwierzęta. Młody Atari wyrusza na wyspę, by odnaleźć swego ukochanego psa, i przy okazji odkrywa, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. Sceny na wyspie są znakomite, atmosfera surrealistyczna, dialogi pełne wisielczego humoru, a wszystko skąpane jest w charakterystycznej dla Andersona melancholii. Druga strona opowieści, czyli polityczne rozgrywki na łodzi oraz niby-mitologiczna podbudowa całej intrygi, jest już słabsza, mniej przekonująca nawet jako pastisz. Według reżysera miało to być hold dla japońskiej popkultury, ale jak zwykle u tego etatowego ekscentryka amerykańskiego kina nie wiadomo, kiedy podziwiał, a kiedy szydził. Na pewno jest to propozycja mniej ciekawa od pierwszej animacji Andersona, którą był „Fantastyczny Pan Lis”, ale ma swój dziwny urok.



★★★★★
REŻ. WES ANDERSON
„WYSPA PSÓW”
USA 2018,
IMPERIAL

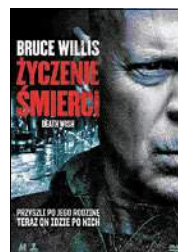
wyst. Bryan Cranston, Koyu Rankin,
Edward Norton

PAN CHIRURG ZABIJA

Zaczął się od powieści Briana Garfielda, ale to ekranizacja z roku 1974 podbiła świat. Film „Życzenie śmierci” Michaela Winnera był nie tylko perfekcyjną opowieścią o samotnym mścicielu, lecz także niepokojącym pytaniem o fascynację bronią i przemocą. Tego dotyczyła przemiana bohatera, granego przez Charlesa Bronsona.

Nowa wersja to dzieło twórcy „Śmiertelnej gorączki” i „Hostelu”. Nowy Jork zamienił się w Chicago, architekt w chirurga, a Bronson w Bruce’a Willis’a. Tylko emocje gdzieś uleciały, bo cała historia opowiedziana jest w sposób zbyt gładki. Film Rotha zamienia się momentami w nieintencjonalną komedię. Willis też nie daje rady, bo tam, gdzie powinien być prawdziwy dramat, na jego twarzy rysują się tylko znane ze „Szklanych pułapek” grymasy. Zresztą wszyscy aktorzy zachowują się na ekranie, tak jakby to, co grają, było im zupełnie obojętne. I ta obojętność udziela się widzom. ©©

recenzuje Piotr Gociak



★★★★★
REŻ. ELI ROTH
„ŻYCZENIE ŚMIERCI”
USA 2018,
MONOLITH

wyst. Bruce Willis, Vincent D’Onofrio,
Elisabeth Shue

GRA TYGODNIA: „FIFA 19”

Poza śmiercią i podatkami jest jeszcze jedna rzecz pewna: wraz z nadejściem jesieni na półkach pojawia się nowa „FIFA”. Jakimi zmianami tym razem zaskakuje najpopularniejsza symulacja piłki nożnej? Na pewno fani serii z radością powitają pojawienie się Ligi Mistrzów, z całą niesamowitą oprawą

turniej. Oprócz tego w trybie kariery możemy poznać kolejną odsłonę losów Alexa Huntera, jego rywala z boiska Danny’ego i po raz pierwszy – siostry Kim. Rozgrywkę wzbogacono o możliwość ustalenia losowych reguł meczu ze znajomymi oraz urealnienia utrzymywania się przy piłce. Rewolucji



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nie ma, ale „FIFA 19” to krok w dobrym kierunku. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Sportowa
- **Platforma:** PC/PS4/XONE/SWITCH
- **Producent/dystrybutor:** EA Sports/Electronic Arts
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Smutno mi, **Boże**

O literaturze bułgarskiej wiemy jeszcze mniej niż o Bułgarii w ogóle. Może mniej niż zero, może nieco więcej. Coś tam słyszeliśmy o nazywanym ojcem tej literatury Iwanie Wazowie, a ze zdecydowanie bardziej współczesnych autorów podczytywano u nas odległego od socrealizmu Emiliana Stanewa i chyba najlepiej znanego, zmarłego już w XXI w., często goszczącego na scenach naszych teatrów Jordana Radiczkowa. Emigracyjnej literatury bułgarskiej poza wyjątkiem Georgiego Markowa praktycznie nie było.

I oto objawiła się gwiazda Georgiego Gospodinowa, obecnie 50-latką, którego „Powieść naturalna” – ukazała się w Polsce w roku 2009 – przełożona została na 17 języków, a wydana w 25 krajach. Obecnie triumfy święci w świecie wydana niedawno i u nas, przez Wydawnictwo Literackie, „Fizyka smutku”.

Odnajdujemy tutaj znów to samo co w „Powieści naturalnej”, flaubertowskie marzenie o powieści istniejącej bez żadnego wsparcia, wyłącznie dzięki wewnętrznej sile stylu, o powieści nazywającej to tylko, co widzialne, samą oczywistość rzeczy. Jednak przede wszystkim jest ta mitotwórcza opowieść historią końca pewnej epoki wyznaczonej datami urodzenia pisarza tożsamego z bohaterem „Fizyki smutku” i jej narratorem, ale i jego ojcem urodzonym w roku 1944 i dziadkiem z roku 1913. Pisarz wstrzymuje zresztą czas; dla niego równie ważny jest ten przedwojenny, wojenny czy może najbardziej dla nas ciekawy powojenny, gdy Bułgaria znalazła się w komunistycznym obozie.

Nie odgrywała w nim pierwszorzędnej roli – przyznaje pisarz – choć historię ma długą, znaczoną okupacjami i przegrywanymi zwykle powstaniami.



FOT. WIKIPEDIA

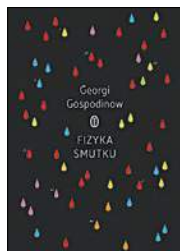
Ważny był dla tego kraju rok 1981, gdy Bułgaria skończyła 1300 lat. Przez „dwa lata pod rząd oglądaliśmy wtedy – wspomina Gospodinow – tabuny galopujących na koniach Prabułgarów oraz hord słowiańskich schowanych w błotach i oddychających przez puste łądki tataraku jak przez rurki. [...] W pewnym sensie 1300-lecie przeszło jako premiera kinowa. Realne wydarzenia były inne”. A jakie? „Ali Ağca strzela do papieża – czytamy. – Bułgaria jest w to zamieszana, więc stoimy przed telewizorami. Nic tak nie jednocy małej nacji jak poczucie, że wszyscy są przeciwko niej”. No właśnie. Zastanówmy się może, co czują dziś Węgrzy? A my, niby więksi, ale może tylko trochę?

Zestarzeliliśmy się – narzeka pisarz – zanim dorosłeliśmy. Wychowaliśmy się bez Boga, bo Bułgaria miała być krajem bez Boga właśnie. Też na „B”, zauważały dzieci i gdy tę niespodziewaną prawdą dzieliły się w domu z babcią, ta szybko się żegnała i pogardliwie rzucała: „A co my teraz mamy w tej Bułgarii? Ani mielonej papryki, ani oleju”. W ten sposób – komentuje autor

– podsumowany został fizyczny i metafizyczny deficyt w państwie: „Bóg, olej i mielona papryka”.

Tamten świat nada się już tylko do skansenu i nic dziwnego, że na pomysły zorganizowania takich enklaw komunizmu wpadają co bardziej przedsiębiorczy obywatele. Bo to, co było, dawało się objąć rozumem, to, co nowe – niekoniecznie. Cóż, kiedyś świat był prosty i zorganizowany, prosto urządzony. W środę ryba, w piątek rosyjska telewizja. A w NRD-owskich westernach czerwonoskórzy byli dobrzy, byli proletariatem, można powiedzieć – byli czerwoni. Mamy podobne doświadczenia, ale wygląda na to, że traktowaliśmy ten dopust boży płynący do nas zza granic przyjaźni socjalistycznej z jakby z góry założoną wyrozumiałością. Tak traktuje się inwalidów umysłowych, ludzi inteligentnych inaczej, dawniej powiedzielibyśmy – imbecyli.

Jednak i polski czytelnik wielokrotnie przeżyje wstrząs podczas lektury „Fizyki smutku”. Ot, choćby czytając bułgarski program telewizyjny z listopada roku albo 1973, albo 1983. Narratora napawa ta ramówka smutkiem, czemu nie sposób się dziwić. Emisja zaczynała się o 17.30 „Słowem na temat ustaleń plenum lipcowego KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej”, a kończyła „Wiadomościami” o godz. 22. Po drodze były m.in. krótki koncert „Z pieśnią w szeregu”, program ekonomiczny „Pięknie i wygodnie”, program dla pionierów „Bębenek”, a i spektakl Teatru Telewizji. A w nim „Rocznica ślubu” Jerzego Krasickiego. Była taka sztuka, w Polsce mająca premierę na szklanym ekranie w roku 1967. Pomyślałam sobie, że pewnie w ramach rewanżu pokazano nam podobne arcydzieło bułgarskiego dramatu i też nagle posmutniałam. ©©



★★★★★
**GEORGI
GOSPODINOV**
**„FIZYKA
SMUTKU”**
**WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2018**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zarobimy dla pana hurtowo

Znacie z amerykańskich filmów podobne historie. Większość oglądała „Wilka z Wall Street”

Martina Scorsese, niektórzy pamiętają „Ryzyko” („Boiler Room”) sprzed kilkunastu lat. Obydwa tytuły inspirowane były dziejami Jordana Belforta, króla śmieciowych obligacji, bezczelnego kanclarza, który byłby w stanie sprzedać transport lornetek do domu opieki nad niewidomymi. „Łowcy z Kotłowni” to opowieść o tym, jak podobny biznes wygląda w Polsce. Natrętni pracownicy call center wciskający naiwnym (i żądnym szybkiego zysku) cudowne inwestycje, jeśli nie w złoto, to w nieruchomości, jeśli nie w kredytowanie dziwnych firm, to w rynek Forex. Gigantyczne prowizje, szaleńcze tempo pracy, zero skrupułów, do tego często narkotyki, bo jakoś trzeba odreagować, jakoś się trzeba zabawić.

Opisywane przez Mateusza Ratajczaka przypadki są inne od losów Belforta. Tam mieliśmy do czynienia z charyzmatycznym mistrzem wciśnięcia kitu, który osobistym urokiem potrafił uwodzić milionerów z Wall Street. Polscy kanclarze z „kotłowni” (naszych „boiler room”) to zwykłe elementy wielkiego przestępczego łańcucha pokarmowego, o czym dobitnie świadczą wyniki śledztw w tych aferach. Organizatorzy,

czyli międzynarodowi gracze, mafiosi finansowi, pozostają nieuchwytni. Gdy nadchodzi niebezpieczeństwo, zwijają się z rynku i otwierają nowe firmy w innych krajach. Ich podwładni, którzy u boku tajemniczych szefów zarobili miliony, milczą jak Marcin. P, słup z afery Amber Gold. Płatki czasem wpadają, ale sieci wymiaru sprawiedliwości są dziurawe oraz zarzucone mało sprawnie. Tylko ofiar przybywa.

Pouczająca i ciekawa (oraz ponura, bo chciało- by się, żeby prokuratura i KNF reagowały szybciej) książka Mateusza Ratajczaka jest jednak tylko połowicznym sukcesem. Dotknęła ją ta sama choroba, która toczy coraz więcej nowości na polskim rynku. Niby wiele udało się tu zmieścić: mamy wypowiedzi ludzi pracujących dla podejrzanych firm oraz faceta, który jedną z nich zdemaskował i gorzko za to zapłacił. Są opinie polityków, wywiady z psychologami. Tyle że research to dopiero połowa roboty, trzeba to

wszystko jeszcze uporządkować, wytłumaczyć, opisać po kolei, jak Michael Lewis w „Wielkim szorcie” czy „Pokerze kłamców”. Tego u Ratajczaka zabrakło, dostaliśmy więc składak, półksiążkę, z efektywnym podtytułem „Dziki świat finansowych naciągaczy”.

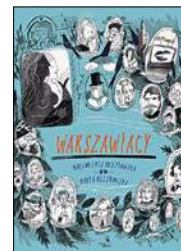
Fakt, że mocno otwierającą czytelnikowi oczy. ©



★★★★★
MATEUSZ
RATAJCZAK
„ŁOWCY
Z KOTŁOWNI”
MANDO 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Od Ładysława z Gielniowa przez Chopina Prusa do Franciszka Fiszera czy Mieczysławy Ćwiklińskiej – krótkie opowieści o znamienitych mieszkańcach Warszawy. Pięknie ilustrowana propozycja dla młodszego czytelnika.



MAŁGORZATA
RUSZKOWSKA
„WARSZAWIACY”
DWIE SIOSTRY

Za pseudonimem Joe Hill kryje się syn Stephen Kinga, również oddany pisaniu prozy niesamowitej. Autor wielu opowiadań i kilku powieści (z których najlepszą był „Strażak”) tym razem proponuje zbiór czterech długich nowel.



JOE HILL
„DZIWNA
POGODA”
ALBATROS

Pierwsze polskie wydanie książki, która ukazała się w 2005 r. w Kanadzie pt. „Błękitne niebo i prawdziwe kule”. Wspomnienia polskiego pilota walczącego w 1939 r. z Niemcami i Sowietami, w latach 1943–1944 dowódcy Dywizjonu 303.



TADEUSZ KOTZ
„303. MÓJ
DYWIZJON”
BELLONA

„Żołnierz na polu bitwy pod Waterloo ma większe szanse na przeżycie niż człowiek, który idzie do szpitala” – przypomina autorka książki o chirurgii XIX w. i o tym, jak za sprawą dr. Josepha Listera się to zmieniło. ©

poleca Piotr Gociek



LINDSEY
FITZHARRIS
„RZEŹNICY
I LEKARZE”
ZNAK

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Remigiusz Mróz „Kontratyp” (Czwarta Strona)** – ósmy tom serii o komisarzu Joannie Chyłce (wkrótce serial TVN z Magdaleną Cielecką).
2. **Anja Rubik „Sxed.pl” (W.A.B.)** – modelka Anja Rubik „łamie tabu” w 18 rozmowach o seksie. Tyleż puste, co głupie. Najbardziej niepotrzebna książka roku.
3. **Jan Brzechwa „Akademia Pana Kleksa” (Wilga)** – lekki powieś normalności: klasyka w ładnym wznowieniu trafia tam, gdzie powinna – na listę bestsellerów.
4. **Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz” (Marginesy)** – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.
5. **Blanka Lipińska „365 dni” (Edipresse)** – dziewczyna porwana przez mafiosa ma 365 dni, by go pokochać. Brzmi idiotycznie? Owszem. I takie też jest.

(Najchętniej kupowane książki w salonach Empik od 10 do 23 września 2018 r.)

Był od zawsze. I wbrew logice wydawało się, że będzie już zawsze. „Charles Aznavour, to była Francja” – napisał po śmierci artysty „Le Monde”. Można dodać, że to była „tamtą” Francja. Kraj miłości, wina, sera, pociągu TGV i naddźwiękowego Concorde’a, a także jednego z najpiękniejszych na świecie języków. Francja dumna i elegancka. Nie dzisiaj – Francja – kraj bezsilności wobec przemocy, kraj, którego prezydent chwali się zdjęciem, na którym przytula półnagich spoconych wyrostków, a jeden z nich pokazuje palec. To symbol ostatnich dni, przypominający, że nie ma już tamtej Francji. Nie ma też Charlesa Aznavoura. Piosenkarz, kompozytor, aktor, skarb narodowy państwa nad Sekwaną zmarł pierwszego dnia października w wieku 94 lat.

Kochany na całym świecie. Również dlatego, że nie śpiewał wyłącznie po francusku. Aznavour mówił i śpiewał także po włosku, angielsku,



Nie ma tamtej Francji

FOT. RUE DES ARCHIVES/FORUM

hiszpańsku, rosyjsku czy ormiańsku. Nazywany był francuskim Frankiem Sinatrą, najlepiej czuł się w miłosnych balladach. Skomponował ok. tysiąca piosenek. Był również aktorem. Pojawił się w ok. 60 filmach.

Szahnur Waghinak Aznavurian – bo tak się nazywał – przyszedł na świat w ormiań-

skiej rodzinie emigrantów. Jego rodzice byli w drodze do Stanów Zjednoczonych, we Francji czekali na pozwolenie wjechania na teren USA. Przyjście na świat syna zatrzymało ich w Republice. Bardzo szybko zauważyli u Szahnura talent, pchnęli go w stronę teatru. Jako Charles Aznavour przedstawiał się już jako

dziewięcioletek występujący w restauracji ojca.

Gdy miał 22 lata, usłyszała go Édith Piaf i zaprosiła do udziału w swoim tournée po Francji i USA. Występy u boku gwiazdy uchyliły drzwi do kariery, ale blokowali je krytycy muzyczni. Nie odpowiadały im głos i sposób bycia Charles’a na scenie. Nie wspominając o barierze wzrostu – 161 cm. Jednak krytycy swoje, a publika swoje. Ludzie powoli zakochiwali się we francuskim Sinatrze i muzyczni znawcy musieli ustąpić. Od lat 50. ubiegłego wieku Charles był niekwestionowaną gwiazdą.

W „Jakże smutna jest Wenecja” śpiewał: „Żegnajcie wszystkie gołębie / które byłyście nam za towarzystwo / Żegnaj Moście Westchnień / Żegnajcie utracone marzenia”. I jeszcze, co dziś brzmi szczególnie: „Jakże smutna jest Wenecja / gdy pieśni gondolierów / podkreśliły tylko / pustą ciszę”. © © **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ
BRZOWICZ

NA SŁUCH

Całkiem przyjemny produkt

Jest jedną z najbardziej wyrazistych postaci na naszej scenie i ma osobowość. Umiejętnie kreuje swój wizerunek, dzięki czemu jego debiutancki album z miejsca pokrył się platyną. Drugą płytą potwierdza swą dominację na popowej estradzie.

Za Szpakem stoją 61-letni Sławomir Sokołowski, twórca protodisco-polowego Boltera i pierwszego rodzimego boysbandu Just 5, oraz Aldona Dąbrowska specjalizująca się wcześniej w muzyce dance. Ponieważ dziś zarabia się na tantiemach, wspólnie napisali pięć z dziesięciu kompozycji i wyprodukowali album. Płyta jest różnorodna

i brzmi zawodowo. To jest produkt dla miłośników Eurowizji oparty na inteligentnie dobranych kliszach emocjonalno-brzmieniowych.

A sam Szpak? Niewątpliwie jest dobrym wokalistą kochającym mikrofon. Nie rozumiem jedynie, dlaczego wszystkie nagrania są anglojęzyczne, bo są momenty, kiedy Michał nie do końca przekonuje. Czyżby założeniem strategii promocyjnej jest podbicie Europy?

Michał Szpak ma 27 lat. Jest idolem nastolatek i kochanym przez prasę kobietą celebrytą. Osiągnął sławę i dostatek. Kolejny album pokaże, czy stanie się artystą, czy pozostanie produktem. © ©



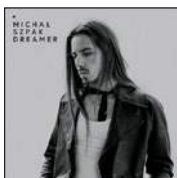
★★★★★
ZBIGNIEW SEIFERT
„POLISH RADIO JAZZ
ARCHIVES 32”
POLSKIE RADIO

W listopadzie 1978 r. Seifert wystąpił ad hoc z jazzmanami z zespołów Laboratorium i Extra Ball. Muzycy nie byli zgrani, więc jest to tylko zacny dokument. Cztery nagrania nie były wcześniej publikowane. Dodatkowo – dwa nagrania skrzypka z początku lat 70.



★★★★★
CHER
„DANCING QUEEN”
WARNER

Cher wystąpiła jako Ruby w drugiej części filmu „Mamma Mia!”. Zainspirowana rolą nagrała album z piosenkami ABB-y. Aranżacje zostały odświeżone przez elektronikę, ale jest na tyle znajomo, że dostajemy wesołą nostalgię na znany nam głos. © ©



★★★★★
MICHAŁ SZPAK
„DREAMER”
SONY



DODATEK SPECJALNY część II

Polska – ojczyzna Żydów

- Co zabory oznaczały dla Żydów • Historia pewnego sztetlu
- Żydzi w powstaniach narodowych • Fenomen sekty frankistów



Berek Joselewicz – grafika według Juliusza Kossaka



Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura – Interwencje 2018”





„Żydzi modlą się
w synagodze podczas
Jom Kippur”, 1878. Obraz
Maurycyego Gottlieba

FOT. WIKIPEDIA

SPIS TREŚCI

IV–VII MACIEJ ROSALAK
POLSCY ŻYDOWSCY PATRIOCI

VIII–X PIOTR WŁOCZYK
KONIEC „RAJU ŻYDOWSKIEGO”

XI–XIII MARCIN BARTNICKI
ŚWIAT ŻYDOWSKICH MIASTECZEK

XIV–XVI RADOŚLAŃ WÓJTAS
MESJASZ Z PODOLA



Rozbiory – wspólna tragedia Żydów i Polaków

Z innych krajów Europy byli wypędzani, natomiast z terenów Królestwa Polskiego, a następnie z terenów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, nikt ich nie wypędzał. [...] Na tle innych krajów Żydzi stali się częścią polskiego krajobrazu, co do zasady żyło im się tu dosyć spokojnie” – uważa prof. Antony Polonsky, wybitny znawca dziejów polskich Żydów. Rozmowę z prof. Polonskim opublikowaliśmy w pierwszej części naszego dodatku specjalnego. Pokazaliśmy w nim, jak Polska stała się „ojczyzną Żydów”. Powiedzenie to wcale nie jest używane na wyrost. W Rzeczypospolitej żyła bowiem największa na świecie społeczność żydowska.

Dzięki kolejnym przywilejom żydowska wspólnota Królestwa Polskiego, a następnie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, mogła swobodnie rozwijać się w ramach swojego małego wszechświata. Kwitły tu centra kulturowe i religijne, które rozślawione zostały na cały świat. Właśnie ta swoboda sprawiła, że na tle innych państw Rzeczpospolita jawiła się jako „raj żydowski”. Nie sposób oczywiście twierdzić, że relacje chrześcijan z żydami na naszych ziemiach zawsze były przyjazne. W porównaniu jednak z resztą państw europejskich Żydzi znaleźli tu wystarczająco dużo tolerancji, by zapaść tutaj na dobre korzenie i niebywale rozwinąć swoją społeczność.

To wszystko skończyło się wraz z rozbiorami, o czym chcemy opowiedzieć państwu w drugiej części naszego dodatku specjalnego. Polscy Żydzi nagle znaleźli się pod panowaniem monarchów, którym w głowie się nie mieściło, że Izraelici mogą cieszyć się tak daleko idącą odrębnością. Kolejne przywileje zdobywane przez polskich Żydów przez setki lat w krótkim czasie zostały przekreślone, a zamiast nich pojawiły się prawa, mające na celu kompletną przemianę tej społeczności. Zaborcy chcieli jak najszybciej wtopić Żydów w resztę ich społeczeństw.

Nie wszyscy polscy Izraelici przyglądali się biernie, jak zaborcy pochłaniają kolejne części Rzeczypospolitej. Część z nich czuła się na tyle związana z zagrożonym państwem, że postanowiła chwycić za broń w jego obronie. Obrońcami Rzeczypospolitej byli m.in. żydowscy żołnierze z organizowanego w 1794 r. przez Berka Joselewicza starozakonnego pułku kawalerii. Na nich jednak nie kończy się udział Żydów w wojnach o Rzeczpospolitą – następcy Berka Joselewicza, który zginął w 1809 r., walczyli też w kolejnych powstaniach narodowych.

Ponadto pokazujemy fascynujący świat sztetli – małych żydowskich miasteczek rozsianych po wschodnich połaciach Rzeczypospolitej. Lokalne społeczności jeszcze długo po rozbiorach przechowywały tam pozostałości klimatu po dawnych czasach, gdy nikt nie zmuszał Żydów do wtapiania się w resztę społeczeństwa.

Na koniec opowiadamy o fenomenie sekty frankistów – przedziwnym ruchu mesjanistycznym, który w XVIII w. zagroził pozycji synagogi. Niektórzy chcieli wręcz widzieć w sekcje Jakuba Franka swego rodzaju pomost między chrześcijaństwem a judaizmem w Rzeczypospolitej. ©©

REDAKCJA:
Redaktor: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPÓŁEM:
Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (grafik prowadzący), **Anna Sobieska-Wójtowicz** (grafik), **Jacek Nadratowski** (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **East News**

Piotr Włoczyk

III

Polscy żydowscy patrioci



Henryk Pillati „Śmierć Berka Joselewicza w Kocku”, obraz z 1867 r. FOT. MNW



Maciej Rosalak

Śladem Berka Joselewicza podążyli jego współwyznawcy. Wiele Żydów walczyło u boku Polaków w powstaniach narodowych i Legionach Dąbrowskiego

IV

Berek Joselewicz był pierwszym Żydem, który przeszedł do narodowej historii jako bitny i ofiarny polski żołnierz. I to nie było takie, bo oficer naszej kawalerii, co w kraju potomków Zawiszy Czarnego, husarzy i szwoleżerów miało swoje znaczenie! Odpowiedź na pytanie, dlaczego dopiero na przełomie XVIII i XIX w. pojawił się taki zuch, jest nader prosta. Przez wieki Żydzi w diasporze przyjmowali z zasady postawę bierną, z wyrzeczeniem

stosowania przemocy i używania broni. Zasada ta w wielu sytuacjach bezpośredniego zagrożenia nie sprawdzała się, ale – jako doktryna narodu bez własnego państwa, który chce ocalić własną tożsamość – okazała się skuteczna. W Polsce Żydzi płacili za to, by nie służyć w wojsku, i stąd rozpowszechnione, ale i powierzchowne mniemanie o ich małej wartości jako żołnierzy.

Aż przyszedł czas, kiedy Berek i jemu podobni chwycili za szablę w obronie

Rzeczypospolitej. Nasz bohater, tak jak wielu innych polskich patriotów, walczył najpierw w insurekcji kościuszkowskiej, potem w Legionach i wojsku Napoleona. Poległ jako pułkownik szaserów Księstwa Warszawskiego. Pod Kockiem, gdzie dokładnie 130 lat później ostatnią bitwę kampanii 1939 r. stoczył gen. Franciszek Kleeberg.

Żydzi walczyli potem w szeregach Polskich Sił Zbrojnych, także u generałów Stanisława Maczka i Władysława Andersa. Daninę krwi zapłacili – obok polskich kolegów – oficerowie żydowskiego pochodzenia, wzięci do niewoli przez Sowietów po 17 września 1939 r. Z obozu w Kozielsku zastrzelono ich w Katyniu 231. Tych ze Starobielska zamordowano w Charkowie 188. Do oficerskich obozów trafiło ich procentowo mniej więcej tyle, ile przywdziało oficerskie mundury we wrześniu 1939 r. – około 5 proc. Należeli do tych, którzy w ciągu 150 lat szli za Berkim, aby z bronią w ręku udowodnić przynależność do polskiej ojczyzny...

STAROZAKONNY PUŁKOWNIK NACZELNIKA

W I Rzeczypospolitej Żydzi nie używali nazwisk. Nasz Berek przyszedł na świat jako syn Josła, i kwita. Nie wystarczało to w oficjalnej korespondencji lat 90. XVIII w. Pojawia się wtedy w listach i dokumentach jako Joselewicz (Josielewicz, Josełowich, Joszelewicz). Z kolei krzyż Virtuti Militari otrzyma w 1808 r. jako... Józef Berkow.

Urodził się zapewne w 1764 r. w litewskiej Kretyndzie, gdzie został faktorem ówczesnego właściciela miasteczka, wileńskiego bp. Ignacego Massalskiego. W jego interesach jeździł na zachód Europy, a już jako samodzielny handlarz końmi ożenił się i zamieszkał na warszawskiej Pradze w 1788 r.

Sześć lat później widzimy go w powstaniu kościuszkowskim. Prawdopodobnie – obok innych Izraelitów – rozpoczął od służby w milicji miejskiej powołanej po wypędzeniu Moskali w kwietniu 1794 r. Natomiast we wrześniu uzyskał zgodę Tadeusza Kościuszki na sformowanie lekkokonnego pułku żydowskiego. Mianowany pułkownikiem Berek zwrócił się z apelem do „dzieci plemienia Izraelitów”, by wstępowali do szeregów pułku. Rychły upadek powstania nie pozwolił na ukończenie tego dzieła, ale umocnił w Berku podziw dla Naczelnika, polski patriotyzm i chęć do

dalszej wojaczki. Jego przyszły kolega z 5. Pułku Strzelców Konnych – Zygmunt Kurnatowski – wspominał: „Kościuszkę czcił jak bóstwo, powiadając, że gdyby Naczelnik był z nami, to i cały świat z nami by o prawdziwą wolność walczył”.

Po klęsce powstania Berek wyjechał z rodziną do Galicji, gdzie zaproponował Austriakom utworzenie kilkutysięcznego legionu żydowskiego. (Podobnie Jan Henryk Dąbrowski w tym samym czasie nosił się z pomysłem sformowania polskich legionów w Prusach).



Z obu projektów nic nie wyszło, natomiast gdy Dąbrowski uzyskał w 1797 r. zgodę Bonapartego na formowanie Legionu Polskiego przy Republice Lombardzkiej, Berek odpowiedział na wezwanie generała i w następnym roku zasilił grupę legionowych oficerów nadliczbowych. Podczas kampanii neapolitańskiej (1799) był rotmistrzem utworzonej właśnie jazdy legionowej. Berek wojował dzielnie, dowodząc nawet przejściowo pułkiem ułanów.

Pułk ten przeszedł wkrótce do Legii Naddunajskiej, dowodzonej przez gen. Karola Kniaziewicza, który 3 grudnia 1800 r. walnie przyczynił się do świetnego zwycięstwa gen. Moreau pod Hohenlinden. Generał bardzo cenił Berka i bronił go przed gromem oficerskim, drwiącym z jego żydostwa. Pisał: „Zazdrość rang, przesady stanu i urodzenia, wszystko tu widzieć się daje. Berek Joselewicz, co w Polsce był pułkownikiem, co dwie

kampanie we Włoszech odprawił, tu przybywszy, tym dobrowolnie starszeństwa odstąpił, którzy tu żadnej kampanii nie odprawili, dlatego jednak prześladować go nie przestają, któremu jednak niczego więcej zarzucić nie można jak to, że się nieszlachcicem urodził”.

KAWALER LEGII HONOROWEJ I VIRTUTI MILITARI

Urażony Berek poprosił wtedy o dymisję. Dzięki protekcji gen. Mortiera został rotmistrzem pułku strzelców konnych (szaserów), włączonego do tworzonego z cudzoziemców na francuskim żołdzie legionu hanowerskiego, i otrzymał Legię Honorową.

Po zwycięstwie Napoleona pod Jeną w 1806 r. Joselewicz odnalazł Dąbrowskiego, wezwanego już przez cesarza do Poznania. I tak Berek powrócił pod polską komendą jako nadliczbowy wprawdzie, ale jednak szef szwadronu w pułku jazdy, wystawionym własnym sumptem przez płk. Kazimierza Turno, który w armii Księstwa Warszawskiego stanął się 5. Pułkiem Strzelców Konnych (z franc.: Szaserów). Wraz z Legią Dąbrowskiego walczył pod Tczewem, Gdańskiem i Frydlandem. Za kampanie lat 1806–1807 otrzymał w 1808 r. zarówno Order Virtuti Militari, jak i rzeczywiste szefostwo szwadronu.

Nadszedł rok 1809. Atak Austriaków na Księstwo Warszawskie rozpoczął pierwszą od czasów odsieczy wiedeńskiej samodzielną kampanię wojsk polskich, która okazała się zwycięską. 5. Pułk Szaserów skutecznie bił się w kwietniu (okres bitwy raszyńskiej) pod Grzybowem, a następnie pod Górą. Gdy z początkiem maja wojsko księcia Józefa Poniatowskiego ruszyło na południe, ppłk Berek Joselewicz szedł na czele swego szwadronu w awangardzie brygady kawalerii gen. Aleksandra Roźnieckiego. W Kocku natknął się na dwa szwadrony huzarów austriackich, którzy mieli zniszczyć środki przeprawy na Wieprzu. 7 maja szarża szaserów z Berkiem Joselewiczem na czele uniemożliwiła to, ale sam podpułkownik zapędził się za daleko w pościgu i w pewnym momencie został otoczony przez wrogów, którzy go rozsiekali – mimo że prosił o pardon...

Pochowano go przy polnej drodze, choć w Kocku były dwa cmentarze: żydowski i polski. Powiadano potem, że nie chciał go nikt, bo dla Żydów był



„Potyczka żuawów” Loeschina, grafika z 1863 r. Wśród żuawów śmierci służyli także Żydzi FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

■ zbyt polski, a dla Polaków pozostał Żydem. Mówiono jednak także, iż za bardzo chcieli go u siebie pochować jedni i drudzy. Zdaje się to potwierdzać pieśń gminna:

*W tem wypadku huncwockiem,
Zginął Berek pod Kockiem.
Był to Berek, sławny Żyd,
Człęk sumienny – Polak prawy.
Nie kwaterką – ni szacherką,
Lecz się krwią dorobił sławy!*

Zauważyć trzeba, że w Księstwie Warszawskim zawieszono prawa i obowiązki ludności żydowskiej i Żydzi nie podlegali m.in. powszechnemu poborowi, co przewidywała napoleońska konstytucja. Stało się tak zresztą na wniosek konserwatywnych gmin żydowskich, które z tego tytułu płaciły podatek wynoszący 700 tys. zł rocznie. Stan ten odpowiadał również wojskowym władzom Księstwa, nisko oceniającym przydatność Żydów do służby wojskowej.

Jednak w polskich oddziałach na żołdzie francuskim (poza szwoleżerami – pułki Legii Nadwiślańskiej) walczyło kilkunastu Żydów. Andrzej Nieuważny (w cyklu „Żydzi polscy”, „Rzeczpospolita”, 2008, na którym się w dużej mierze

opieram) wymienia m.in.: Józefa Kapłana – weterana kampanii lat 1809–1813, który dostał się do niewoli pod Lipskiem, por. Mordkę Rosenfelda, weterana Legionów – Izaka Kempńskiego oraz poległego w Rosji ochotnika z roku 1807 „profesji krawieckiej” Jana Markowskiego, a także dwóch lekarzy wojskowych.

„GWARDIE BRODATE” I SYN BERKA

Podobnie jak w Księstwie władze powstańcze w Królestwie Polskim nie myślały o poborze rekruta żydowskiego do regularnej armii. Zresztą nadal krytycznie wyrażali się o tym żydowscy ortodoksi. Za to już w grudniu 1830 r. władze polskie zezwoliły na dobrowolną służbę Żydów w istniejących pułkach oraz na tworzenie całych żydowskich jednostek ochotniczych. Wśród trzech podań chętnych do stworzenia takich oddziałów znalazło się też nazwisko jedynego syna Berka Joselewicza – Józefa Berkowicza (1789–1846), który wraz z 17-letnim synem Leonem marzył o utworzeniu legii żydowskiej...

W oddziałach żydowskich oficerowie Żydzi musieli mówić po polsku, a stopień mogli otrzymać jedynie po opłacie na rzecz powstania. Ponieważ

jednak warszawski Dozór Bóżniczy nie wywiązał się z finansowych zobowiązań, z piechoty zrezygnowano. Organizacja jazdy zaś, mimo energii Berkowicza, wlokła się niemal po kres powstania. Oddział formowany kolejno w Łęczycy i Ozorkowie jako szwadron żydowski (120 koni) 1. Pułku Mazurów poszedł na południowe skrzydło frontu z początkiem sierpnia 1831 r. Trafił do zgrupowania gen. Samuela Różyckiego i walczył aż do przekroczenia kordonu austriackiego i złożenia broni.

Od 20 grudnia 1830 r. Żydzi służyli w milicjach, w tym w warszawskiej Gwardii Narodowej. Ci z nich, którzy nie chcieli skracać zarostu (jak tłumaczyli: „Golenie bród – ani życzliwości dla kraju, ani waleczności nie dodaje”), zostali skierowani do służby w utworzonych 28 lutego 1831 r. w każdym mieście wojewódzkim gwardiach miejskich starozakonnych. Taka „gwardia brodata” liczyła w Warszawie w sierpniu 1831 r. 1098 ludzi. Kompaniami dowodzili m.in. Moszek Pozner, Chaim Rozental, Icchak Cohn, Izrael Spira i Lewko Zagła.

Żydzi służyli też w utworzonej 2 grudnia 1830 r. w miastach Straży Bezpieczeństwa – rodzaju przysposobienia wojskowego, obejmującego mężczyzn w wieku od 18 do 45 lat. Jak pisał Andrzej Nieuważny, „wedle świadectwa oficera obserwującego walkę Straży podczas szturmów Warszawy (6 i 7 września 1831) walczyła ona »z męstwem prawdziwym, a między tymi i biedota żydowska«”.

„POLSKĄ ZIEMIĘ KOCHAMY...”

Na jednym ze wspaniałych rysunków Artura Grottera poświęconych powstaniu styczniowemu rabin Dob Beer Meisels uroczyście kroczy w patriotycznym kondukcie podczas pogrzebu pięciu poległych 2 marca 1861 r. Wcześniej deklarował publicznie: „Polską ziemię kochamy...”, a w październiku 1861 r., kiedy w proteście przeciw carskim represjom zamykano w Warszawie kościoły katolickie, nakazał zamknięcie dwóch głównych synagog. Natomiast miesiąc po wspomnianym pogrzebie doszło do kolejnej masakry dokonanej przez żołdatów i kozaków. Zginął wtedy 17-letni gimnazjalista, były uczeń Szkoły Rabinów – Michał Landy – trafiony śmiertelnie, gdy niósł upuszczony przez rannego duchownego krzyż. O nim to

Norwid napisał słynny wiersz „Żydowie polscy”:

**Wieńc znowu Machabej na bruku w Warszawie
Nie stanął w dwuznacznej z Polakiem obawie
– I kiedy mu ludy bogatsze na świecie
Dawały nie krzyże, za które się kona,
Lecz z których się błyszczy – cóż? przeniósł
on przecie –
Bezbronnie jak Dawid wyciągnąć ramiona!**

Warszawska Szkoła Rabinów była dla elity młodzieży żydowskiej tym, czym niespełna wiek wcześniej okazała się dla polskiej młodzieży szlacheckiej Szkoła Rycerska. Obie kształciły w duchu poświęcenia dla Polski i obie rzeczywiście wykształciły całe pokolenie młodzieńców, którzy dobrze przysłużyli się ojczyźnie. Łączą je więc nie tylko inicjały nazwy (SR) oraz około 30-letni okres działania (Szkoła Rycerska 1765–1794, Szkoła Rabinów 1826–1861). Wyrazicielem ówczesnych żydowskich dążeń asymilacyjnych był genialny samouk Abraham Jakub Stern, teść innego genialnego samouka Chaima Zeliga Słonimskiego – w prostej linii dziadka polskiego poety i publicysty Antoniego Słonimskiego. Dyrektorem szkoły był przez długi czas Antoni Eisenbaum (1791–1852), pradziadek poety Bolesława Leśmiana. Absolwentami byli m.in. Samuel Orgelbrand – wydawca polskiej „Encyklopedii powszechnej”, oraz Franciszek Salezy Lewental, który wydawał książki Elizy Orzeszkowej i Józefa Ignacego Kraszewskiego, a także założył tygodnik „Kłosy”.

Gdy w styczniu 1863 r. wybuchło powstanie, „wychowana w polskiej kulturze inteligencja żydowska od razu je poparła. Bogatemu żydowskiemu mieszczaństwu przyłączenie się do walki zajęło kilka tygodni. Czynnici po stronie insurekcji opowiedzieli się część rzemieślników i drobnomieszczaństwa oraz ta żydowska ludność wiejska czy małomiejska, na której poglądy wpływał dobry kontakt z pobliskim dworem. Stosunkowo spory udział Żydów w walkach powstańczych zaznaczył się szczególnie w Królestwie, mniejszy na Litwie, na zachodnich terenach Białorusi, nikły natomiast w Białorusi Wschodniej i Ukrainie” – stwierdził Nieuważny. Normą była też, niestety, „dobrowolna lub przymusowa współpraca przeciwnych asymilacji Żydów z administracją i wojskiem rosyjskim, zwłaszcza poza Warszawą”.

Powstańczy Rząd Narodowy już w pierwszej odezwie z 22 stycznia

Żydowska Straż Bezpieczeństwa z czasów powstania listopadowego, obraz Jana Nepomucena Głowackiego
FOT. WIKIPEDIA

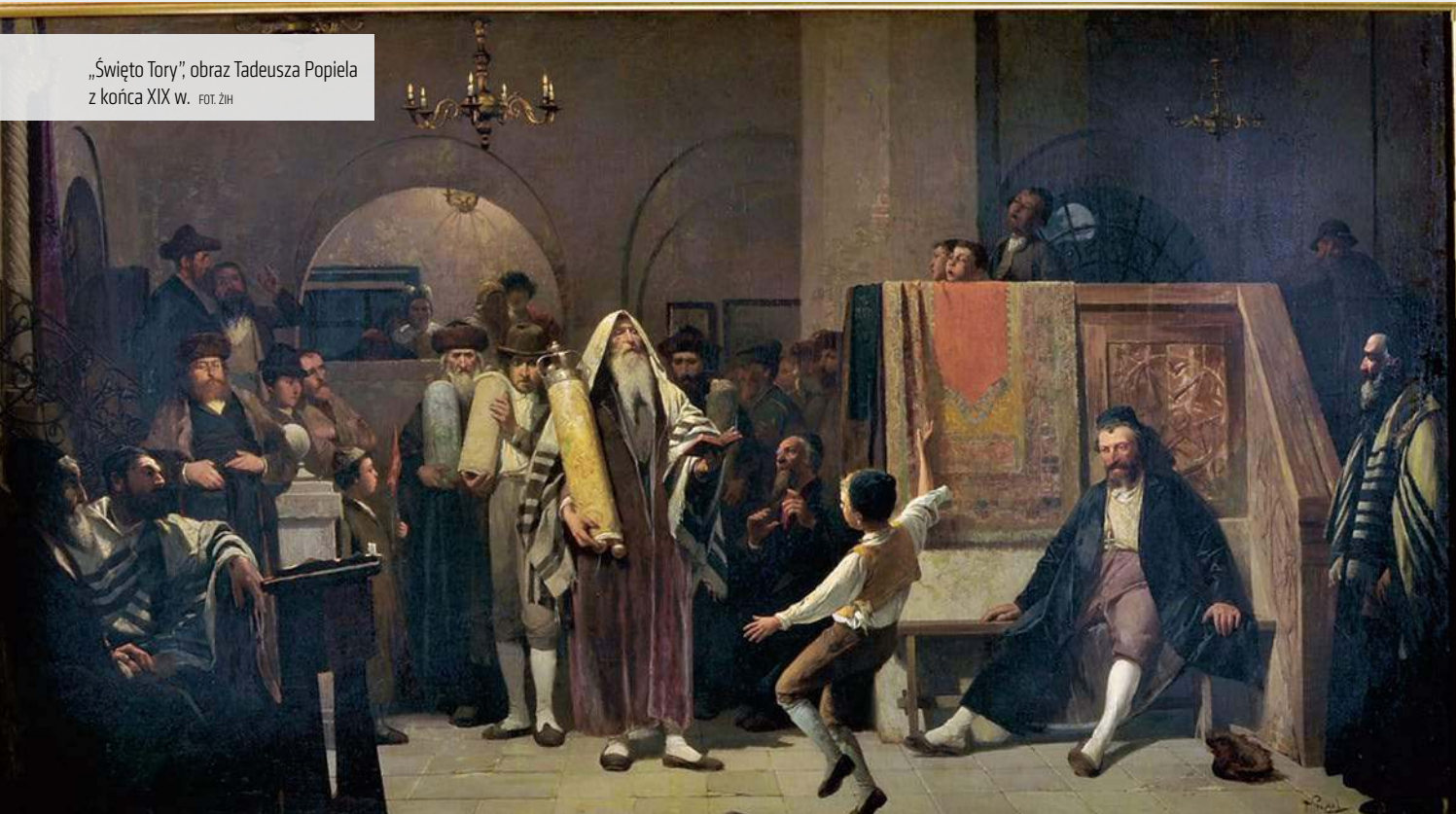


1863 r. uznawał „wszystkich za synów Polski bez różnicy wiary, rodu i pochodzenia”, co zapowiadało równouprawnienie. Najdobitniej wobec „Braci Polaków mojżeszowego wyznania” wypowiedział się rząd w wydrukowanym po polsku i hebrajsku manifestie z 22 czerwca 1863 r.: „Wy i dzieci wasze używać będziecie wszelkich praw obywatelskich, bez żadnych wyłączeń i ograniczeń, gdyż Rząd narodowy nie będzie pytał o wyznanie i pochodzenie, ale o miejsce urodzenia, czy Polak? I o Polsce mówić będą: Ten się tu urodził”.

Nieuważny oceniał: „Tragiczne dzieje powstania to setki żydowskich poległych i zesłańców oraz ze trzydziestu straconych”. Ojciec Aleksandra Hertza jako 16-letni chłopiec za udział w powstaniu zapłacił siedmioletnim pobylem w Kraju Orenburskim i w Azji Środkowej. Jego starszy brat, Józef, za to samo na 10 lat zawędrował do ziemi jakuckiej. Brat najstarszy, Adolf, który służył pod Langiewiczem, resztę życia spędził na emigracji. Dwóch braci jego babki po kądzieli, Stanisława i Edwarda Neudingów, za udział w powstaniu zesłano na Syberię...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Święto Tory”, obraz Tadeusza Popiela
z końca XIX w. FOT. ZIH



Koniec „raju żydowskiego”



Piotr Włoczyk

W Rzeczypospolitej Obojga Narodów Izraelici cieszyli się szerokim samorządem, dzięki któremu zachowywali swoją odrębność kulturową i religijną. Zaborcy wyrócili ich tradycyjny świat do góry nogami

Część badaczy nazywa ich wręcz piątym stanem Rzeczypospolitej Obojga Narodów, obok szlachty, duchowieństwa, mieszczaństwa i chłopstwa. Żydzi cieszyli się bowiem w Rzeczypospolitej wywalczoną na przestrzeni stuleci, usankcjonowaną prawnie pozycją, która dawała im względ-

ne bezpieczeństwo fizyczne i ekonomiczne. Za pomocą kahałów sami zarządzali swoje społeczności. Zdecentralizowana Rzeczpospolita nie ingerowała w ich życie religijne, system szkolnictwa, Żydzi sami nawet zbierali podatki należne państwu. Stosunki z chrześcijanami były napięte, nierzadko wręcz nieprzyjazne, Izraelici nie mogli wykonywać wszystkich zajęć ani osiedlać się tam, gdzie chcieli, ale w porównaniu z resztą Europy polscy Żydzi mieli do XVIII w. najwięcej swobody i poczucia bezpieczeństwa. Ta niezwykła żydowska autonomia była kompletnie niezrozumiała przez zaborców, którzy postanowili ją zniszczyć.

„Pomimo wrogości Żydzi byli jedyną znaczącą grupą niechrześcijańską tolerowaną w chrześcijaństwie zachodnim, a w Rzeczypospolitej Obojga Narodów ich społeczność przeżywała prawdziwy rozkwit” – pisze prof. Antony Polonsky w swoich „Dziejach Żydów w Polsce i Rosji”.

Rzeczpospolita była dla wielu z nich miejscem, gdzie „wygnanie jest najłżejsze” – jak opisywał to żyjący w XVIII w. cadyk Szapiro Pinchas z Korca.

„UŻYTECZNI I PRODUKTYWNI”

Istotną rolę odgrywało tu „małżeństwo z rozsądku”, jakie zawarli ze sobą Żydzi oraz szlachta w XVI w. Dzięki ochronie ze strony szlachty Żydzi stworzyli dla siebie w miarę bezpieczną niszę w społeczeństwie. Wobec bardzo ostrej konkurencji ze strony mieszczan zamieszkujących największe ośrodki miejskie należące do szlachty małe miasteczka, szczególnie we wschodniej części państwa, zapełniły się Izraelitami.

Profesor Polonsky twierdzi nawet, że to właśnie wypracowanemu w Rzeczypospolitej szerokiemu samorządowi żydowskiemu Izrael zawdzięcza bardzo sprawną budowę demokracji już w pierwszych latach swojego istnienia.

Wprawdzie u kresu Rzeczypospolitej pojawiły się ze strony reformatorów próby wyciągnięcia Żydów z ich niszy społecznej, jednak w znacznej mierze były one nieudane. Modernizacji życia tej społeczności sprzeciwiało się mieszczaństwo Rzeczypospolitej, a także byli jej przeciwni sami Żydzi, przynajmniej zaś ich bardziej tradycjonalistycznie nastawiona większość.

W 1764 r. rozwiązany został wprawdzie Sejm Czterech Ziem, centralny organ samorządu żydowskiego, w związku z nieskutecznością ściągania podatków, jednak na niższym poziomie autonomia tej mniejszości pozostawała pod koniec istnienia Rzeczypospolitej niezagrożona.

Rozbiory oznaczały dla polskich Żydów prawdziwą rewolucję. Zamiast zdecentralizowanej Rzeczypospolitej, w której słaba władza państwowa miała na ich życie minimalny wpływ, pojawiły się rządy silnej ręki. Władcy Austrii, Prus i Rosji mieli własne pomysły na szybkie przerobienie tak bardzo odrębnych Żydów na obywateli/poddanych „użytecznych i produktywnych”, jak ujął to austriacki cesarz Józef II.

„Warto zauważyć, że do 1772 r. w monarchiach austriackiej i pruskiej Żydzi stanowili jedynie nieliczną grupę poddanych, zaś w Rosji, ze względu na ukazy zabraniające im osiedlania się w granicach imperium, byli niemal nieznani – zauważył prof. Jarosław Czubaty w swoim eseju »Żydzi niepokoją zaborczych cesarzy«, który ukazał się na łamach »Rzeczypospolitej«. – Dla pozostających pod wpływem wzorców oświeconego absolutyzmu elit władzy w Berlinie, Petersburgu i Wiedniu ideał ustrojowy stanowiło scentralizowane, sprawnie zarządzane i jednolite kulturowo państwo. Odrębności lokalnych, przywilejów prowincji czy odrębnego statusu grup narodowych lub religijnych nie uważano za szczególnie wartości – raczej za przeszkodę dla administracji”.

Rozbiornicy Rzeczypospolitej od razu przystąpili do znoszenia żydowskiej autonomii i pozbawiania Izraelitów ich odrębności.

AUSTRIA: ŻYDZI DO WOJSKA!

„Miasto jest zbudowane z drewna [...]. Mieszka w nim 44 tys. Żydów. Przypnaje, że to coś okropnego, przerażającego. I to miasto będzie odtąd należało do nas” – napisała do Ferdynanda Habsburga cesarzowa Maria Teresa po wysłuchaniu relacji swojego syna Józefa II z odwiedzin Brodów.

Austria przejęła w wyniku rozbiorów ponad 200 tys. Żydów. Nowi – tak bardzo odróżniający się od reszty społeczeństwa – poddani stanowili nie lada wyzwanie dla cesarza Józefa II. Władca ten zapamiętany został przez historię jako radykalny reformator, budujący „dobrze urządzone państwo policyjne”. Chciał on kompletnie odmienić społeczeństwo. Ograniczał poddaństwo chłopów, zmniejszał pańszczyznę, odebrał szlachcie sporą część przywilejów (np. immunitety fiskalne), wprowadził wreszcie edykt tolerancyjny dla innych wyznań chrześcijańskich.

Ujednolicanie Żydów z resztą poddanych zaczęło się na dobre w Austrii od wydania przez cesarza Józefa II w 1789 r. Toleranzpatent – patentu tolerancyjnego – który obiecywał wprawdzie galicyjskim Żydom „wszelkie wolności i prawa obywatelskie”, ale stanowił początek końca autonomii żydowskich gmin. Zaczęła się walka z tradycyjnymi strojami, a także nadawanie Żydom nazwisk. Izraelici mieli być od tej pory kształceni w świeckich szkołach. Józef II ogłosił też coś, czego w Polsce dotąd nie widziano: Żydzi mieli podlegać poborowi do wojska. Równocześnie jednak do pewnego stopnia otwarto przed nimi możliwość osiedlania się w miastach, a także zyskali oni nowe swobody ekonomiczne – np. zniesione zostały obowiązujące ich restrykcje dotyczące podejmowania pracy w zawodach rzemieślniczych.

Jak wyjaśnia prof. Jarosław Czubaty: „[...] na mocy kolejnych rozporządzeń cesarskich kahały podporządkowano wła-

dzom administracyjnym w poszczególnych cyrkulach, a ich kompetencje ograniczono do kwestii związanych z religią, dobroczynnością, rozkładem podatków. Ludność żydowska miała odtąd podlegać sądom państwowym. Żydom zagwarantowano swobodę wyznania, jednocześnie jednak utrzymano obciążające ich specjalne podatki od uboju koszerne czy zawierania małżeństw. Zgodę na osiedlanie się we wsiach uzyskiwać miały jedynie osoby utrzymujące się z pracy na roli lub z rzemiosła. Przyspieszenie asymilacji do kultury niemieckiej zamierzano osiągnąć poprzez przymus posyłania dzieci do szkół publicznych lub zakładania szkół żydowskich z obowiązkowym językiem niemieckim”.

Rabini nie mogli już nakładać klątw na sprawiających największe problemy w ich społecznościach członków. Tymczasem wielowiekowe doświadczenie pokazywało, że było to bardzo skuteczne narzędzie wymuszania porządku. Obłożony klątwą człowiek stawał się pariasem i m.in. nie wolno było zbliżać się do niego.

Nastawieni tradycjonalistycznie galicyjscy Izraelici, wśród których bardzo silny był chasydyzm, ostro sprzeciwiali się tak daleko posuniętej ingerencji władz. Z kolei zasymilowani Żydzi wiedeńscy czy prascy, od pokoleń żyjący pod Habsburgami, tylko przyklaskiwali tej polityce.

PRUSY: JAK NAJPOŹNIEJSZE OŻENKI

„[...] Uważam, że ten naród zdolny jest do poprawy, a jego członkowie mogą stać się przydatnymi obywatelami państwa”. Słowa te wypowiedział w 1795 r. Otto Karl Friedrich von Voss, minister Prus Południowych. Prusy wchłonęły w wyniku rozbiorów liczącą ok. 150 tys. osób polską społeczność izraelską. W ramach „poprawy” Żydom pruskie władze również przystąpiły do zwijania żydowskiej autonomii.

W 1797 r. wydany został „Statut generalny dla Żydów w prowincjach Prus Południowych i Nowo-Wschodnich”. Kasował on znaczną część swobód samorządowych. Prawo to pozostawiało Żydom pewną odrębność, dzieląc ich na dwie główne grupy: protegowanych i tolerowanych. Ci pierwsi – uznani za gotowych do asymilacji – mieli oczywiście większe prawa od tych drugich, którzy nie mieli tendencji do porzucenia swojej tożsamości.

„Dekret ten odzwierciedlał oświeceniowe dążenia do przeobrażenia Żydów



Grafika Artura Grottgera z 1861 r.
na pocztówce z 1905 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA
Artur Grottger.
Żydzi.

■ w »użytecznych« obywateli poprzez głęboką ingerencję państwa w ich sprawę – pisze prof. Polonsky. – Stanowił on, że Żydzi mieli być traktowani jako odrębny stan, korporację nieprzygotowaną jeszcze do tego, by korzystać z praw przysługujących mieszkańcom czy obywatelom państwa. Żydowska autonomia została ograniczona do spraw religijnych. Zniesiono sądownictwo rabinackie [...]. Przepisy te miały na celu położyć kres roli Żydów jako pośredników na wsi i skoncentrować ich w miastach, gdyż uważano, że mieli oni szkodliwy wpływ na chłopów».

Również w Prusach uszczuplona została władza rabinów, którym także zakazano rzucania tak pomocnych w utrzymywaniu porządku społecznego kłatów.

Niezwykle bolesne były dla Żydów zamieszkujących Prusy przepisy godzące bezpośrednio w najbardziej prywatną sferę ich życia. Prusacy zabronili bowiem Żydom zawierania małżeństw przed 25. rokiem życia. Społeczność żydowska w Rzeczypospolitej przeżywała potężny boom demograficzny głównie z powodu bardzo wczesnego wydawania dziewczynek za mąż. Statystyki pokazują, że im młodsza jest matka, tym więcej ma potem dzieci. Prusacy chcieli w ten sposób zamrozić wysoki przyrost naturalny wśród swoich nowych żydowskich poddanych.

Równocześnie jednak to Prusacy zniesili zakaz osiedlania się Żydów w Warszawie.

ROSJA: STREFA OSIEDLENIA

W 1820 r. w Imperium Rosyjskim żyło ok. 1,2 mln Żydów, choć jeszcze sto lat wcześniej państwo carów zamieszkiwała słabodowa społeczność izraelska. Gdy doradcy Elżbiety I – panującej w latach 1741–1762 – przyszli do niej z pomysłem wpuszczenia niewielkiej liczby Żydów, co mogłoby się opłacić państwu, caryca stanowczo odmówiła, argumentując, że nie chce »żadnych zysków od wrogów Jezusa Chrystusa«. Ukazy zabraniały Żydom osiedlania się w jej państwie, więc sztetle, chedery, synagogi i szabasy były pojęciami niemal kompletnie nieznanymi dla ówczesnych mieszkańców Imperium Rosyjskiego.

W państwie carów Żydzi mieli początkowo stosunkowo najwięcej swobody. Tamtejsze władze nie miały po prostu tak ambitnych planów wobec społeczeństwa jak Prusy i Austria. Słaba wydolność aparatu urzędniczego w połączeniu z gigantycznymi przestrzeniami powodowały, że nie tak łatwo było chwycić nowych żydowskich poddanych w żelazną pięść.



Wnętrze XVII-wiecznej synagogi w Tykocinie. FOT. WIKIPEDIA

Początkowo Izraelici zamieszkujący zabór rosyjski byli zwolnieni z poboru do wojska, ale musieli w związku z tym płacić specjalny podatek. O ile pod względem swobód religijnych i – w mniejszym stopniu – ekonomicznych tamtejsi Żydzi mogli początkowo czuć się w uprzywilejowanej sytuacji w stosunku do swoich braci z pozostałych zaborów, o tyle już »strefa osiedlenia« mocno komplikowała im życie. Ukaz w tej sprawie wydała Katarzyna I w 1791 r. Strefa – w różnym kształcie – przetrwała aż do 1917 r. i miała chronić ziemie »czysto rosyjskie« przed Żydami.

Strefa ta wytyczona oczywiście została w części ziem wschodniej byłej Rzeczypospolitej. Poza nią pozwalano się osiedlać jedynie tym, którzy mieli bardzo poszukiwane umiejętności, kapitał lub wykształcenie.

„U podstaw działań władzy wobec Żydów leżały dwie główne zasady – pisze prof. Polonsky. – Po pierwsze, panowało przekonanie, że Żydzi stanowią element szkodliwy. Przez swoje opresyjne zachowania zaburzają relacje między panami i chłopami w zapalnych zachodnich guberniach Imperium, należy więc ograniczać ich zgubny wpływ, będący owocem »fanatycznych« przekonań religijnych. [...] Po drugie, wyżsi carscy urzędnicy, w większości będący ludźmi oświecenia, podzielali europejski pogląd, że przywary Żydów nie są wrodzone, lecz stanowią konsekwencję ich nieszczęsnych dziejów. Chociaż ich negatywne zachowania należy ograniczyć, mogą się oni zmienić dzięki »racjonalnym« reformom, które w autokratycznym Imperium przeobrażą ich nie w obywateli, ale w użytecznych poddanych».

Ta polityka swoistej »inżynierii społecznej«, prowadzona od samego początku przez zaborców, sprawiła, że jedyny w swoim rodzaju świat żydowskich społeczności Rzeczypospolitej Obojga Narodów w ciągu kilku zaledwie dekad w znacznej mierze zatracił swój dawny charakter. Częściowo tylko udało się go zachować w sztetlach – małych żydowskich miasteczkach rozsianych na wschodnich ziemiach byłej Rzeczypospolitej.



Grafika „Żyd” Kajetana Wincentego Kielisińskiego z 1841 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Grafika na podstawie obrazu „Wesele żydowskie” Strykowskiemu zamieszczona w tygodniku „Kłosy” z 1883 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Świat żydowskich miasteczek



Marcin Bartnicki

Na terenie Rzeczypospolitej, a później w zaborze rosyjskim, mieszkała największa część światowej populacji Żydów. Większość z nich żyła w sztetlach

Cheder [szkoła – przyp. M.B.]. Mała chatka na kurzych nóżkach, kryta słomą. Często przechylona lekko na bok. Czasem bez dachu. Jakby bez czapki. Tylko jedno okno. A jeśli więcej, to najwyżej dwa. Okna bez szyb. Zamiast szyb przyklejano do ram kawałki papieru. Gliniana podłoga. W soboty i dni świą-

teczne przysypywano ją żółtym piaskiem. Znaczną część chederu zajmował piec z miejscem do spania. Stała tam także prycza. Na tej pryczy śpi rebe. Na piecu śpią jego dzieci. Pod ścianą stoi łóżko. Na łóżku śpi żona rebego... Na tym łóżku, na białym prześcieradle, pojawia się niekiedy deska do krojenia makaronu

albo ciasta na obwarzanki... Jeśli któreś z dzieci jest bardzo chore, kładą je czasem do tego łóżka. Pod piecem jest wnęka, w której chowają drób na sprzedaż. Na środku pokoju stoi długi stół, a obok niego dwie długie ławy. Ten pokój to cheder. Tu odbywa się nauka, tu rebe prowadzi lekcje. Wszyscy ciągle wrzeszczą. Rebe wrzeszczy i wrzeszczą jego uczniowie. Słychać też wrzask żony rebego, która strofuje swoje dzieci. Strofuje je, żeby przestały wrzeszczeć. Ptactwo ukryte pod piecem gdacze ze strachu... Niech to diabli wezmą!” – pisał Szolem Alejhem, pisarz urodzony w Perejesławiu, który swoje dzieciństwo spędził w mieście Woronka.

Takie pierwsze wspomnienia z dzieciństwa mieli młodzi chłopcy urodzeni w sztetlach rozsianych po całej Rzeczypospolitej, a później w zaborze rosyjskim. Żydowskie miasteczka rozrastały się i mnożyły na przestrzeni stuleci, ale życie w nich zmieniało się w niewielkim stopniu aż do początku XX w. Kolejne pokolenia żyły w nich według tych samych nakazów religijnych, regulujących niemal każdy aspekt codzienności, od urodzenia do śmierci. Ich mieszkańcy byli tradycjonalistami, a nowe nurty filozoficzne wywierały tu zdecydowanie mniejszy wpływ niż w żydowskich społecznościach dużych miast.

■ Młodzi chłopcy zaczynali naukę w chederach już w wieku trzech–pięciu lat. Pod opieką nauczyciela – mełameda – spędzali 10–12 godzin, ucząc się czytania po hebrajsku i podstaw wiedzy o swojej religii. Cheder był jedną z instytucji działających przy synagodze (niekoniecznie musiało to oznaczać bliskie położenie budynków) utrzymywanych przez wspólnotę religijną. Była to religijna szkoła podstawowa, trafiali do niej chłopcy z rodzin, które nie mogły opłacić prywatnego nauczyciela. Mimo marnych warunków spełniała wiele ważnych funkcji. Każde dziecko mogło liczyć na podstawową edukację. Nawet jeśli pozostawiała wiele do życzenia, to ćwiczyła młode umysły, przygotowując dzieci do życia we wspólnocie. Dzieci polskich, ruskich czy litewskich chłopów i ubogich mieszczan zwykle nie miały szansy nawet na tak skromną naukę. Był to też sposób na włączenie do wspólnoty najbiedniejszych, którzy w sztetlach z zasady otrzymywali podstawową pomoc i wsparcie. Wszyscy Żydzi w sztetlu mieli tworzyć jedną wspólnotę.

Nauka trwała aż do bar micwy, czyli do 13. roku życia. Chłopcy, którzy wykazywali się dużymi zdolnościami i mieli zapewnione finansowanie nauki, mogli kontynuować edukację w jesziwie, gdzie zajmowali się studiowaniem Talmudu. Najlepsi z nich mieli szansę zostać rabinami.

Studiowanie Talmudu oprócz prestiżu rozwijało zdolności analityczne i uczyło krytycznego myślenia. „W jesziwach młodzi ludzie siedzieli parami, codziennie skupiali uwagę na innym fragmencie Talmudu i zadawali sobie wzajemnie pytania dotyczące znaczenia i sensu danego ustępu” – pisze Eva Hoffman w książce „Sztetl. Świat Żydów polskich”. Metoda ta została rozwinięta w Polsce i rozpowszechniła się w świecie europejskich Żydów.

POZNAJ SWOJĄ ŻONĘ

Biegła znajomość Talmudu i wiedza były wyznacznikami pozycji społecznej, często ważniejszymi niż posiadany majątek. Inteligentni chłopcy z sukcesami w nauce byli najlepszymi kandydatami na przyszłych mężów, dlatego rodziny szukające życiowych partnerów dla swoich córek zabiegały o nich wszelkimi sposobami. Wszystkie małżeństwa w sztetlach były aranżowane przez rodziny nastoletnich jeszcze, przyszłych małżonków. Zawieranie związków z mi-



Szkoła żydowska w Kamieńcu Podolskim, lata 70.–80. XIX w., fotografia Michała Greima

FOT. MUZEUM ETNOGRAFICZNE W KRAKOWIE

łości należało do zupełnych wyjątków. Młodych o zdanie nie pytano, przynajmniej do początku XIX w. Pod koniec tego stulecia małżeństwa były jeszcze aranżowane, ale coraz rzadziej przymusowe. Zdeterminowana panna młoda mogła skutecznie odmówić poślubienia kandydata wskazanego przez rodziców.

W książce „Life is With People. The Culture of the Shtetl” Mark Zborowski i Elizabeth Herzog przytaczają relację kobiety urodzonej w sztetlu, której rodzice oznajmili, że ma narzeczonego, gdy była zaledwie 11-letnią dziewczynką. Pewnego dnia, gdy była w ogrodzie, matka pokazała jej przyszłego męża. „Był chudym chłopcem w długim kaftanie z długimi pejsami” – wspomina kobieta. Gdy przed narzeczoną nagle wyskoczył kurczak, ten zaskoczony i zmieszany potknął się i upadł, brudząc się ziemią. „Zamiast wyczyścić się, złapał patyk i poszedł za kurczakiem. Był tak absurdalny, goniąc tego kurczaka w długim kaftanie, że powiedziałam do siebie: on nigdy nie będzie moim mężem” – wspominała niedoszła panna młoda. Rodzice żadnym sposobem nie mogli przekonać jej, by zmieniła zdanie.

Swatanie było jednym z najważniejszych elementów życia społecznego sztetlu i przetrwało do XX w. Zadanie zaaranżowania małżeństwa było dla rodziny niezwykle ważne, ale też sprawiało niemało kłopotów. Był to sposób na podniesienie prestiżu rodziny. Długie oczekiwanie na znalezienie partnera czy – co gorsza – staropanieństwo lub starokawalerstwo było nie tylko dyshonorem, lecz także otwartym

sprzeciwianiem się woli Boga. Małżeństwo i posiadanie dzieci były bowiem nakazem religijnym. Za starego kawalera lub starą pannę byli uznawani już starsi nastolatki. Sam proces dobierania w pary opierał się na chłodnych kalkulacjach, w których brano pod uwagę zarówno majątek, pozycję społeczną, jak i intelekt przyszłych małżonków. Niekiedy doprowadzało to do absurdalnych sytuacji.

Żyjący w drugiej połowie XVIII w. żydowski filozof Salomon Majmon, urodzony w Nieświeżu na terenie obecnej Białorusi, już w wieku 11 lat wykazywał niezwykle zdolności intelektualne. Stał się więc bardzo pożądanym kandydatem na męża.

„Rytuał swatów opierał się na założeniu, że chłopiec jest cenną zdobyczą – bywał on w istocie kupowany przez rodziców narzeczonej – pisze Eva Hoffman. – Ojciec Salomona usiłował wykorzystać jego wysoką wartość rynkową, nakładając wiele rodzin do składania ofert i przyjmując prezenty od wszystkich zainteresowanych. Po serii nieporozumień Salomon w wieku 11 lat został mężem dziewczyny starszej od niego o trzy lata. Był tak nieszczęśliwy i przerażony, że odmówił udziału w uroczystościach weselnych. Noc poślubna nie okazała się sukcesem. Ale w wieku 14 lat Salomon spłodził dziecko, do czego gorąco go zachęcali obserwujący sytuację dorośli”.

Dokładną instrukcję postępowania z przyszłą żoną – również w sferze seksualnej – młodzi chłopcy otrzymywali w czasie religijnej edukacji. Precyzyjne zasady określały, kiedy może odbyć się ślub (i noc poślubna) oraz kiedy może

dojść do zbliżenia małżonków. Seks miał służyć oczywiście wyłącznie prokreacji. Panna młoda w czasie nocy poślubnej nie powinna mieć na ten temat żadnej wiedzy. Mogłoby to świadczyć o tym, że ma już w tej kwestii jakieś doświadczenia, co w sztetlu było niedopuszczalne.

Akt prokreacji mógł odbywać się w ściśle określonych warunkach, a obowiązkiem małżonków było dopilnowanie, by nikt nie był jego świadkiem. W przypadku biedniejszych rodzin, w których dzieci spały w jednym pomieszczeniu z rodzicami, małżonkowie musieli upewnić się, że wszystkie dzieci zasnęły. Do zbliżenia mogło dojść dopiero po trwającej odpowiednio długo ciszy.

BOGACI I BIEDNI

Bardzo młode pary mieszkaly zwykle początkowo w domu panny młodej wraz z jej rodziną. Warunki życia zależały od zamożności rodziny. Trzeba jednak pamiętać, że w XVIII w. sztetle były zabudowane niemal wyłącznie domami z drewna, a przytłaczająca część ich mieszkańców żyła w biedzie. Dotyczyło to również ludzi sprawujących tak ważne funkcje jak rabin.

W „Księdze pamięci” opisującej dzieje żydowskiej społeczności z Brańska na Podlasiu zachowała się relacja na temat warunków życia miejscowych rabinów. Pierwszy z nich – Meir Nechis – mianowany w 1822 r., „bardzo wykształcony człowiek, zasługujący na miano duchowego przywódcy pokolenia” (cytat z „Księgi pamięci” za Ewą Hoffman), nie był najwyraźniej zachwycony niską pensją ani mieszkaniem – ciemnym i wilgotnym – jakie przydzieliły mu władze kahału (gminy żydowskiej). Zmarł młodo, podobnie jak jego następca, prawdopodobnie wskutek chorób spowodowanych marnymi warunkami życia. Trzeci rabin po zobaczeniu mieszkania uznał je za obrazę i opuścił miasto, bezskutecznie zatrzymywany przez rozpaczających mieszkańców, błagających, by z nimi został. Czwarty rabin, ulokowany w tym samym mieszkaniu, szybko zachorował i zmarł w wieku 43 lat. Dopiero to skłoniło starszyznę kahału do zapewnienia kolejnemu rabinowi lepszych warunków.

Nie wszyscy mieszkańcy sztetli żyli w biedzie, jak opisani w „Księdze pamięci” nieszczęśliwi rabini. Ojciec wspomnianego wcześniej Salomona Majmona dzierżawił kilka wsi w dobrach należących do Radziwiłłów. Majątek stracił

– według relacji Majmona – na skutek intrygi miejscowej szlachty. Z kolei żyjący w latach 1723–1805 Ber z Bolechowa, zajmujący się handlem winem sprowadzanym z Węgier, był personą na tyle znaczącą w swojej społeczności, że pewien rodzaj spółki zawiązali z nim nie tylko szlachcice, lecz także księża. Ber słynął z dobrego wykształcenia i ze znajomości literatury, zgromadził też pokazną bibliotekę i cieszył się powszechnym szacunkiem.

Domy najbogatszych członków społeczności znajdowały się zwykle przy rynku lub – jeśli miasto ciągnęło się wzdłuż jednej głównej ulicy, tak jak Suwałki – zaraz przy głównej drodze, w najważniejszym miejscu, np. blisko synagogi. Najlepiej prosperujący kupcy zajmowali się handlem z odległymi regionami i krajami lub prowadzili lokalnie działalność na dużą skalę. Do grupy, którą dziś nazwalibyśmy klasą średnią, należeli rzemieślnicy i właściciele pojedynczych straganów, prowadzonych nierzadko przez kobiety, których mężowie oddawali się studiom religijnym. Najniżej w hierarchii społecznej znajdowali się nieznający ani nieprzestrzegający dobrze zasad religijnych ludzie uznawani za ignorantów i społeczny margines, a także najbiedniejsi rzemieślnicy i kupcy. Byli wśród nich handlarze sprzedający proste przedmioty codziennego użytku lub żywność prosto z ręcznego wózka albo objeżdżający okoliczne wsie z pustymi wózkami, kupujący tani towar, aby sprzedać go następnie w innych miejscach.

Niezależnie od zamożności i wykształcenia niemal wszyscy mieszkańcy sztetlu należeli do jakiegoś bractwa lub stowarzyszenia. Najbardziej znaczące z nich miały nawet własne synagogi. Gęsta sieć organizacji, które dziś określilibyśmy jako pozarządowe, pomagała w rozwijaniu działalności, samokształceniu i organizowaniu życia codziennego. Rytm tego życia wyznaczały święta religijne. Tydzień dzielił się na dni po szabasie i oczekiwanie na szabas, do którego

należało się odpowiednio przygotować, aby nie wykonywać tego dnia żadnych prac, a jednocześnie móc spożyć przygotowane odpowiednio wcześniej koszerne posiłki.

Na początku XVII w. w granicach Rzeczypospolitej mieszkało ok. 600 tys. Żydów, z czego trzy czwarte w Koronie. Pół wieku później było ich już blisko 800 tys. i stanowili niemal 10 proc. mieszkańców państwa. Znaczenie sztetli pokazuje rozkład populacji Żydów. Przykładowo na Lubelszczyźnie w 1787 r. ponad połowa z nich żyła w małych miasteczkach, co czwarty mieszkał na wsi, a sam Lublin był miejscem zamieszkania ok. 18 proc. Żydów z regionu.



Przenoszenie się do sztetli (były to nie tylko małe miasteczka, lecz także większe wsie) było wymuszone w dużym stopniu przez sytuację prawną. Żydzi dopiero pod koniec istnienia Rzeczypospolitej uzyskali ograniczone możliwości nabywania ziemi, zamieszkiwanie w miastach było więc w pewien sposób wymuszone. Największe miasta nakładały na nich wiele ograniczeń, Żydzi spotykali się też z niechęcią najbiedniejszych mieszkańców. Sztetle, w których Żydzi stanowili często ponad połowę, a z czasem niekiedy nawet większość mieszkańców, były więc w XVIII w. optymalnym miejscem do życia. W państwie, w którym chłopci pańszczyźniani byli przywiązani do ziemi i nie mogli swobodnie osiedlać się w miastach, rozwój tych miejscowości byłby bez Żydów niemożliwy. Dziś wiele takich polskich miast byłoby więc większymi wsiami.



Radosław Wojtas

Jakub Frank stworzył na terenach Rzeczypospolitej przedziwną sektę, która wstrząsnęła światem ortodoksyjnych Żydów

Wypowiedział wojnę synagodze, nie brzydząc się żadnymi metod. Również oskarżania ortodoksów o dokonywanie rytualnych mordów i używanie chrześcijańskiej krwi do wyrobu mac.

Wyznawcy Jakuba Franka i on sam ceremonialnie łamali przykazania Prawa Mojżeszowego. Także poprzez rytualne praktyki seksualne. Frank przekonał swą sektę, że jego akty z wybranymi przez siebie kobietami symbolizować miały połączenie mesjasza z szechiną. Frankiści w sprawach seksualności byli bardzo liberalni. Dopuszczali nawet kazirodztwo.

Co zaskakujące, za Jakubem Frankiem poszli wpływowi Żydzi z inteligentnych rodzin. Coś na kształt własnej religii, którą Frank stworzył na podstawie mesjańskiego ruchu judaistycznego, przysporzyło mu zwolenników, którzy do ostatnich dni łożyli na jego wygodne życie. A gdy „Mesjasz” Jakub Frank jednak zmarł, zagnały go tłumy wciąż wiernych mu członków sekty.

„Wnet wystawione na katafalku zwłoki jego dozwolono każdemu oglądać. Tłumy odwiedzających cisnęły się bez końca. Wkrótce ta mnogość przybrała większe jeszcze rozmiary, gdyż na kilka godzin przed pogrzebem masa osób zagranicznych wszelkich stanów nadjechała” (cyt. za „Żywot, skon i nauka Jakóba Józefa Franka ze współczesnych i dawnych źródeł oraz z 2 rękopismów”, wyd. 1866 r.).

HERETYCKIE GENY

Jakub Frank przyszedł na świat w 1726 r. na Podolu (dziś terytorium Ukrainy). Jego rodzina, krótko po powiększeniu się o nowego członka w osobie Jakuba, wyjechała z Rzeczypospolitej na Wołoszczyznę leżącą wtedy na terenie imperium osmańskiego. Nie był to bynajmniej wyjazd dobrowolny, ale efekt piętna heretyka, jakie nosił jego ojciec. Sabataiści, do których zaliczała się rodzina, nie chcieli podporządkować się samorządowi żydowskiemu działające-



Jakub Józef Frank, ilustracja z monografii historycznej „Frank i frankiści polscy” wydanej w 1895 r. fot.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Mesjasz z Podola

mu na terenie Rzeczypospolitej, odmawiali płacenia podatków. Na Podolu, które w czasach rozkwitu sabataizmu było w rękach imperium osmańskiego, wyznawcy Szabetaja Cewiego nie byli rzadkością. Z powodu konfliktu nie tylko na tle finansowo-fiskalnym, lecz także wyznaniowym bezpieczniejszy dla rodziny Jakuba był powrót do imperium osmańskiego.

Przyszły twórca sekty dorastał w rodzinie, która uwierzyła, że Szabetaj Cewi jest wyczekiwany przez Żydów mesjaszem. Ogłosił to rzecz jasna sam Cewi, a że był niezwykle charyzmatyczną postacią, potrafił do tego przekonać sporą część Żydów. Podobnie jak do tego, że skoro on – mesjasz – nadszedł, na nic już tradycyjne praktyki i asceza. Dotychczasowe reguły odwiecza się na kołek, teraz prawem są słowa mesjasza.

A te musiały ortodoksów przyprawić o zawrót głowy. Z woli mesjasza posty i święta przestały obowiązywać, a niektóre zwyczaje dopuszczane dla jego wyznawców mogłyby zostać uznane za niemoralne i gorszące nawet dziś, i to nie tylko przez ortodoksów.

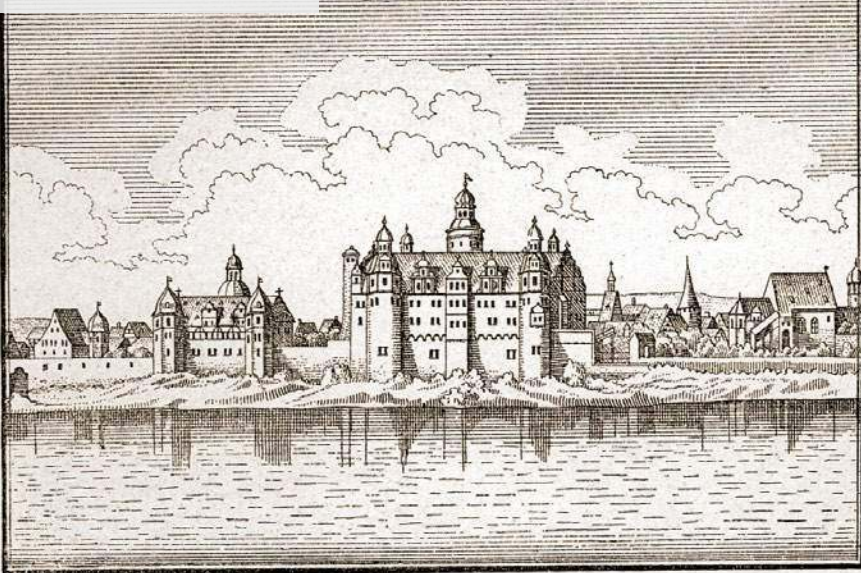
W takim więc domu dorastał Frank i szybko poszedł w ślady ojca, gdy za sabataizm został wykluczony z gminy żydowskiej. Oddał się wtedy studiowaniu kabały, odbywał podróże i pielgrzymki do miejsc istotnych dla ruchu sabataistycznego. W 1752 r. wziął ślub z córką sabataistycznego rabinu Chaną i został pełnoprawnym członkiem sekty, poznając doktrynę o Baruchji, który miał być reinkarnacją Szabetaja Cewiego.

JAKUBOWE WCIENIA

A już niedługo później pretendował do przewodniczenia całej sekcji. Kilka miesięcy po zawarciu małżeństwa wyjechał do Salonik, w których starał się manifestować nieważność Tory, stworzył własną doktrynę i zaczął jej nauczać. Wtedy miał publicznie wpadać w trans. Frank starał się przekonać jak największe grono osób, że jest on mistycznie związany z Baruchją. I choć w gronie uczniów Jakuba Franka znalazł się nawet jego dotychczasowy nauczyciel Mardochoj, to w Salonikach nie zrobił wielkiej kariery i musiał je opuścić. Za cel obrał Polskę.

Już wtedy zorientowany był na chrześcijaństwo, m.in. przejął naukę o Bogu w trzech osobach, a swoją misję w Rzeczypospolitej i zmianę w doktry-

Zamek w Offenbach, w którym mieszkał Jakub Frank FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



nie wyjaśniał wizjami. „Ukazał mi się piękny człowiek z brodą, a kiedyś oczy otworzył, to mi się w nich rozświeciło. Rzekł do mnie ów człowiek: »Pójdiesz ty do Polski!«, obaczywszy go, porwałem się z łóżka i padłem na kolana przed nim, a on tak mi mówił: »Posłałem dwa razy do ciebie Eliasza, a tyś nie chciał go słuchać. Otóż teraz sam do ciebie przyszedłem. Nie bój się. Pójdiesz do Polski«. To powiedziawszy, Pan Jezus zniknął” – tak wizję Franka opisał Aleksander Kraushar w pracy „Frank i frankiści polscy 1726–1816”.

Po przyjeździe do Polski Frank zaczął objazd po sabataistycznych gminach żydowskich. I wtedy wydarzyło się coś, co w działalności jego sekty doprowadziło do przełomu. W styczniu 1756 r. w domu jednego ze zwolenników Jakuba Franka – Lejbusza ben Sabbataja – zorganizowano spotkanie frankistów. Grupa miejscowych ortodoksyjnych Żydów postanowiła je przerwać. Gdy wtargnęli do domu ben Sabbataja, zastali frankistów podczas rytuału, w którego trakcie tańczyli wokół nagiej kobiety, całowali jej piersi, a według jednej z relacji miało tam również dochodzić do „rozpustnych obcować z cudzemi żonami, krewnemi i powinowatymi”. Uczestników orgii aresztowano. Jakubowi Frankowi wolność pozwoliło zachować to, że był obywatelem tureckim.

Ruszył proces przeciwko zatrzymanym. W trakcie przesłuchań wyznali oni m.in., że cudzołóstwo w ich pojmowaniu wiary nie jest żadnym grzechem, dopuszczali nawet kazirodztwo. Rabin nałożyli na sabataistów klątwę, zakazali pobożnym Żydom kontaktów z przedstawicielami sekty, unieważnili mieszane małżeństwa, a dzieci narodzone z takowych uznano za nieślubne. Jednocześnie rabin w swoją walkę z sektą próbowali włączyć polskich hierarchów Kościoła katolickiego. Jednak to frankiści wykazali się większym sprytem i to oni znaleźli w Kościele wpływowych sojuszników, z których największym był bp Mikołaj Dembowski.

Kościół w sporze frankistów z rabinami (którzy sami do udziału w owym sporze Kościół zaprosili) stanął po stronie tych pierwszych. Dlaczego wolał sektę, której członkowie dopuszczali się kazirodztwa, od pobożnych rabinów? W myśl zasady „wrogowie moich wrogów są moimi przyjaciółmi”. Kościelni hierarchowie liczyli na rozłam wśród polskich wyznawców judaizmu, zbliżenie frankistów z chrześcijaństwem, a z czasem pewnie na porzucenie przez tysiące ludzi sekty i przejście na chrześcijaństwo.

Plan ten realizowano, ale po śmierci bp. Dembowskiego sytuacja frankistów w Rzeczypospolitej zmieniła się diametralnie. Zaczęli być prześladowani i atakowani przez ortodoksów. Kilkadziesiąt osób

zginęło. Jakub Frank przebywał w tym czasie na Wołoszczyźnie, gdzie razem z kilkoma innymi sabataistami przeszedł na islam. Stał na czele wspólnoty, która już oficjalnie uznawała go za kolejne wcielenie Boga na ziemi. W Rzeczypospolitej sekta znów szukała pomocy u króla oraz u kościelnych hierarchów, co ostatecznie się udało i skłoniło Jakuba Franka do powrotu. Idąc z synagogą na wojnę, Frank zbliżał się do Kościoła katolickiego. Uznał, że chrzest jest niezbędnym warunkiem zbawienia, sam więc planował chrzest swój i swoich wyznawców.

Przystąpiło do niego ok. 2 tys. frankistów. Była to rzecz bez precedensu. Dotychczas wyznawcy judaizmu wierzyli, że lepiej jest umrzeć, niż przejść na chrześcijaństwo, a więc masowa konwersja cieszyła duchownych polskiego Kościoła. Część frankistów została uszlachcona (na masowe nobilitacje nie zgodził się sejm), a ojcem chrzestnym Jakuba Franka miał zostać sam król August III.

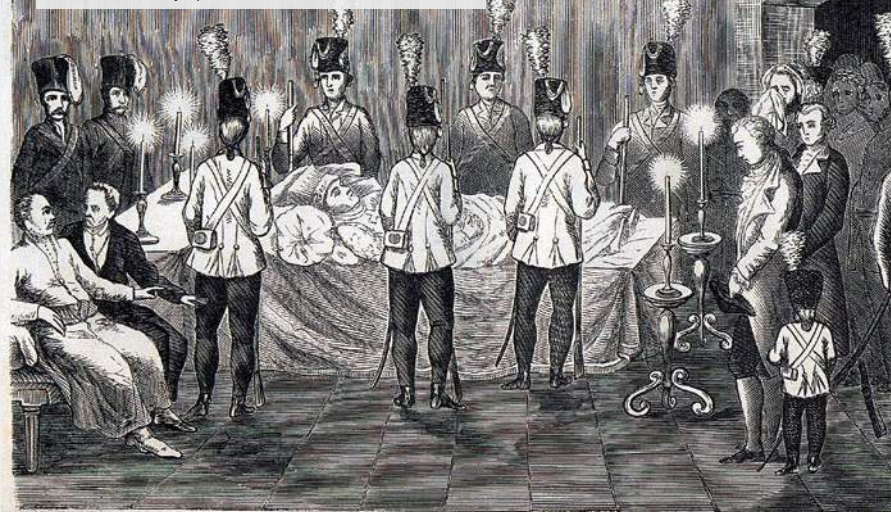
Jednak transformacja Jakuba Franka była pozorna. Wciąż podawał się on bowiem za mesjasza, co doprowadziło do osądzenia go i osadzenia w jasnogórskim klasztorze. Nie był tam jednak odizolowany od świata. Spotykał się ze swoimi wyznawcami, wysyłał poselstwa, do Częstochowy przeprowadziła się jego rodzina, a pod jasnogórkimi murami nawet osiedli członkowie sekty z Wojsławic, którzy prosili swego przywódcę o uzdrowienie. Na Jasnej Górze Jakub Frank przebywał do początku 1773 r., kiedy to został puszczony na wolność przez Rosjan, którzy zdobyli Częstochowę. Zdecydował się wyjechać na Morawy.

Za granicą wygodnie się urządził. Najpierw zyskał względy cesarzowej Marii Teresy, od której otrzymał pałac w Brnie, później przeniósł się do zamku w Offenbach. Tam wiódł wystawne życie, kontynuując dziwne praktyki religijne. Offenbach stało się miejscem pielgrzymek frankistów i celem transferów majątków wyznawców Jakuba Franka, którzy go utrzymywali aż do śmierci w 1791 r.

TRZY POKOLENIA

W czasie, gdy Jakub Frank przebywał już w majątku w Offenbach, na jednej z krążących po Rzeczypospolitej antyfrankistowskich ulotek napisano: „Na każdej ulicy i w każdym prawie domu nie można było przejść, aby się o neofitę nie potrafić”. Jak doszło do tego, że człowiek

Pogrzeb Jakuba Franka, ilustracja z książki „Żywot, skon i nauka Jakóba Józefa Franka ze współczesnych i dawnych źródeł oraz z 2 rękopismów” FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



podający się za mesjasza, który jednak swych słów nie mógł poprzeć żadnym cudem, zamącił w głowach tysiącom Żydów i zdołał stworzyć silną sektę, która przetrwała po jego śmierci?

Bez wątpienia Jakub Frank był sprawnym manipulatorem. Nawet gdy osadzony na Jasnej Górze zaczął tracić zwolenników, a po śmierci jego najbliższych wyznawcy Franka zaczęli wątpić w jego boskość, potrafił odzyskać posłuch. W 1771 r. rozkazał warszawskim frankistom, którzy na jakiś czas odwrócili się od niego, wymierzenie sobie samym kary biczowania.

Przekonując do swojej doktryny, umiejętnie łączył obietnice zbawienia z groźbami dla tych, którzy nie przyłączą się do sekty. W odezwie do sabataistów z Podola pisał: „Każdy pochodzący z pokolenia Abrahama, Izaaka i Jakuba musi przejść na wiarę Edomu. Kto wiarę tę z miłości przyjmie, ten będzie wyzwolony z niedoli i dozna łaski przepowiedzianej przez Izajasza. Wiedźcie o tem, że niezadługo we wszystkich krajach, przeważnie zaś w Wielko i Małopolsce, na Litwie, na Rusi, na Węgrzech, Wołoszczy, Mołdawii, w Prusiech i wszędzie, gdzie Żydzi mieszkają, spotka was nieszczęście! Kto pozostanie w domu, zginie w domu i nie będzie komu ich grzebać. Ci, którzy będą na polu – zginą w polu, a psy będą gryźć ich kości! Papieru zbraknie na opisanie waszej niedoli. Lecz kto spełni nakaz Mesjasza i przyjmie wiarę Edomu – ocaleje”.

Jakub Frank potrafił przekonać do siebie wpływowe osoby i rody. Czy także oni dali się zwieść, czy może w przystąpieniu do frankistów dostrzegli szansę na poprawę doczesności, zdobycie przywilejów, możliwości szybkiej polonizacji? W dobrych dla frankistów czasach finansowo powodziło im się dobrze.

Po śmierci Jakuba Franka schedę po nim próbowała przejąć m.in. jego córka, ale ruch bez swojego dotychczasowego charyzmatycznego lidera słabł. Ocenia się, że frankiści w trzecim, czwartym pokoleniu spolonizowali się zupełnie. Chociaż według niektórych znawców tematu tajemnicza sekta przetrwała dłużej. Według Heinricha Graetza działała ona aż do lat 70. XIX w.

To nie znaczy, że frankiści wyrzekli się swoich korzeni. Wśród osób powiązanych z frankizmem nie brakuje znaczących nazwisk, takich jak pisarz Tadeusz Boy-Żeleński, malarz Leon Kapliński, poseł na sejm Antoni Łabęcki, gen. Jakub Walenty Lewiński (uczestnik powstania listopadowego) czy Adam Mickiewicz. Akurat ten ostatni tylko pośrednio związany był z sektą. Chociaż nie jest prawdą, że w żyłach polskiego wieszczki płynęła krew ludzi należących do sekty Jakuba Franka, to poeta pośluł przecież Celinę Szymanowską, której rodzice pochodzili z frankistowskich rodzin. Małżeństwo z nawróconą na katolicyzm Żydówką nie mogło pozostać bez wpływu na poglądy i twórczość Mickiewicza.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Mieszkanie Plus w Kępnie oddane do użytkowania na początku października. W parterze jednego z budynków od września działa przedszkole.

Własne M Plus

Rządowy program „Mieszkanie Plus” to rozwiązanie dla osób o dochodach zbyt niskich na zaciągnięcie kredytu, ale zbyt wysokich, aby mogły zakwalifikować się do najmu socjalnego lub komunalnego. To jednocześnie szansa na własne M.

Prawie 115 tys. mieszkań oddano w Polsce do użytku w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy 2018 r. – wynika z najnowszych danych GUS. To o 4,3 proc. więcej niż przed rokiem. Wzrosła też liczba mieszkań, na których budowę wydano pozwolenie lub dokonano zgłoszenia projektu budowlanego, a także liczba mieszkań, których budowę rozpoczęto. Zdaniem Grzegorza Muszyńskiego, członka zarządu BGK Nieruchomości, trendy te wyraźnie świadczą o tym, że polski rynek mieszkaniowy jest wciąż nienasycony.

– Deweloperzy, mimo rosnących cen gruntów, nadal budują i trudno im się dziwić, bo popyt na mieszkania jest bardzo duży. Trudno jednak przewidzieć, co w dłuższej perspektywie wydarzy się w kontekście cen transakcyjnych. Brak wykwalifikowanych pracowników, rosnące

ceny materiałów budowlanych, coraz trudniej dostępne grunty mogą spowodować duży skok cen – mówi.

Muszyński bierze przy tym pod uwagę, że skoro mieszkań przybywa, to i konkurencja między deweloperami na rynku jest duża, co może się przełożyć na obniżanie cen. Bez względu jednak na prognozy dotyczące kształtowania się ceny za metr kwadratowy za nowe mieszkanie dla wielu Polaków problemem wciąż pozostaje jego finansowanie. Tym bardziej że czasy, gdy banki przyznawały kredyty z wkładem 0 proc., dawno odeszły w niepamięć – dziś minimalny wkład to 20 proc. wartości nieruchomości. Kolejny problem to zdolność kredytowa, która tradycyjnie kojarzona jest z posiadaniem etatu – formą zatrudnienia, od której coraz więcej Polaków odchodzi. Niestety, w przypadku jednoosobowej działalności gospodarczej czy tzw. umów

śmieciowych o wiele trudniej przekonać bank, że będziemy w stanie taki kredyt spłacać.

Wsparcie dla budownictwa

Co ma więc zrobić Polak, który nie posiada zdolności kredytowej lub nie chce się wiązać na długie lata z bankiem, a który jednocześnie zarabia zbyt dużo, aby wynajmować mieszkanie od swojej gminy czy miasta w ramach jej socjalnych lub komunalnych zasobów? Może zgłosić się do rządowego programu „Mieszkanie Plus” umożliwiającego osobom, których do tej pory nie było na to stać, wynajmowanie mieszkania w nowoczesnym budownictwie za cenę średnio o 20 proc. niższą od cen na lokalnym rynku. Daje przy tym opcję dochodzenia do własności, której nie ma przy tradycyjnym wynajmie. Dużym wsparciem dla najemców w tym programie będzie także uruchomiony od stycznia 2019 r. program dopłat do czynszów tzw. Mieszkanie na Start.

– To jedna z lepszych możliwości zdobycia czterech kątów, bo możemy spłacić mieszkanie, nie zadłużając się – mówi pani Katarzyna, przyszła najemczyni „Mieszkania Plus” w wielkopolskim Kępnie.

Trzonem programu są inwestycje realizowane przez spółkę BGK Nieruchomości. W tym celu został utworzony Fundusz Sektora Mieszkań dla Rozwoju, który inwestuje w nowe projekty mieszkaniowe i prowadzi analizy lokalizacji zgłoszonych przez samorządy, spółki Skarbu Państwa i podmioty prywatne.

– Nasza oferta uzupełni rynek o brakujące mieszkania, w których czynsz będzie stabilny, niższy niż na rynku komercyjnym, a powstające osiedla będą spełniały wysokie standardy urbanistyczne i architektoniczne – zapewnia Muszyński z BGK Nieruchomości.

Aby zakwalifikować się do najmu w programie „Mieszkanie Plus”, należy spełniać określone przez lokalny samorząd kryteria społeczne (np. w Białej Podlaskiej preferowane są rodziny z dziećmi) oraz posiadać zdolność czynszową określoną przez BGK Nieruchomości. Zdolność ta liczona jest w oparciu o dochody netto pomniejszone o wydatki rodziny, z uwzględnieniem przyszłej umowy najmu. Pod uwagę brane są także świadczenia wynikające m.in. z liczby dzieci w gospodarstwie domowym, np. program „Rodzina 500+”. Z kolei o standardzie wykończenia mieszkań w programie decyduje samorząd, który ocenia preferencje przyszłych mieszkańców, korzystając z ankiet.

Aby stworzyć ubezpieczenie, dzięki któremu rodzice i dziecko będą mogli się czuć bezpiecznie, w LINK4 przeanalizowano tysiące internetowych wpisów z ostatnich 10 lat. Efekt? Wyjątkowy produkt ubezpieczeniowy – LINK4 Mama.



FOT. FOTOLIA

Mamy nie boją się bać

W firmie ubezpieczeniowej LINK4 śmieją się, że wyzwanie przeanalizowania dziesiątek tysięcy internetowych wpisów to zadanie tylko dla najbardziej wytrwałych. I takich właśnie znaleźli w swoich szeregach, stawiając sobie za punkt honoru przeczytanie internetowych forów z ostatnich 10 lat, na których głos zabierają matki. Jednocześnie ubezpieczyciel rozmawiał z rodzicami, aby dowiedzieć się, czego konkretnie w związku z rodzicielstwem się obawiają. W efekcie tych intensywnych, półtorarocznych prac firmy zarządzanej także przez kobiety, powstał produkt LINK4 Mama, a w nim dwa pakiety: pakiet dla rodzica i pakiet dla dziecka.

– Każda kobieta, która ma dzieci, wie, że oczekiwanie na malucha to wielka radość, ale też wiele obaw. Nie mamy recepty na rozwiązanie wszystkich strachów mam, ale pakiet LINK4 Mama to zestaw produktów, które powstały na podstawie długich godzin rozmów i liczy-

nych doświadczeń matek pracujących w LINK4 oraz setek tysięcy mam piszących o swoich troskach w Internecie. To produkt płynący z serca, przygotowany przez kobiety dla kobiet – tłumaczy Pa-

60 tys.

DO TYLU WYPADKÓW ROCZNIE DOCHODZI W POLSKICH SZKOŁACH I PLACÓWKACH OŚWIATOWYCH (ŹRÓDŁO: MINISTERSTWO EDUKACJI NARODOWEJ)

trycja Kotecka, dyrektor Pionu Marketingu LINK4. A Joanna Talaśka, dyrektor Departamentu Komunikacji Marketingowej w LINK4, dodaje:

– Na forach internetowych matki są szczere, a strach o dziecko towarzyszy im od momentu, gdy na teście ciążowym

pojawiają się dwie kreski. Lęk o dziecko pozostaje już do końca życia. Najpierw dotyczy ciąży i porodu, potem zdrowia dziecka. Z czasem pojawia się też strach o powrót do pracy, bo pracodawcy nie zawsze grają fair – mówi Talaśka. Ona sama należy do mam, które przeżyły duży stres związany ze zdrowiem swojego dziecka. Jakiś czas temu jej pięcioletnia wtedy córka przewróciła się na basenie i uderzyła głową o posadzkę. Po powrocie do domu zaczęły się problemy – okazało się, że dostała wstrząśnienia mózgu. Dziewczynka trafiła do szpitala, a jej mama spędziła tydzień na szpitalnej podłodze, bo nie było tam łóżek dla mam. Dlatego w ubezpieczeniu LINK4 Mama znalazł się zarówno telefon do lekarza o każdej porze dnia i nocy, jak i pakiet „Szybka pomoc dla dziecka”, w ramach którego ubezpieczyciel organizuje łóżko szpitalne dla rodzica i pokrywa jego koszty.

Ambasadorką i twarzą produktu LINK4 Mama została Paulina Krupińska, Miss Polonia 2012 i prezenterka tele-

wizyjna, a także matka dwojga małych dzieci. Krupińska zdecydowała się na udział w kampanii, ponieważ – jak sama mówi – strach związany z macierzyństwem towarzyszył jej od początku, a ubezpieczenie LINK4 Mama daje poczucie bezpieczeństwa. Tym bardziej, że sama zdążyła przeżyć wiele nieprzyjemnych, związanych z zagrożeniem zdrowia dziecka, sytuacji.

– Przed skończeniem drugiego tygodnia życia konieczna była hospitalizacja mojego syna. Na szczęście trafiłam do placówki, która stwarzała rodzicowi komfort, ale gdyby tak nie było, spałabym na krześle czy na podłodze. Wtedy ratunkiem byłoby ubezpieczenie w ramach LINK4 Mama – mówi Krupińska.

POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA

W linii produktowej LINK4 Mama klienci mają do wyboru dwa pakiety, które mogą modularnie układać, w zależności od swoich potrzeb. Pierwszy pakiet skierowany jest do rodziców i obejmuje ubezpieczenie NNW Mama z sumą ubezpieczenia do 50 tys. zł oraz OC w życiu prywatnym (z sumą gwarancyjną do 150 tys. zł), z możliwością rozszerzenia o pakiet medyczny, ubezpieczenie pomocy prawnej i pakiet Assistance. Drugi – LINK4 Dziecko – dedykowany jest dzieciom i zawiera polisę NNW z sumą ubezpieczenia do 100 tys. zł, obejmującą ochroną nie tylko następstwa nieszczęśliwych wypadków, lecz także przypadki wstrząśnienia mózgu, pneumokoków i sepsy. Warto wiedzieć, że ubezpieczenie dziecka można powiększyć o pakiet medyczny i Assistance. Ta możliwość wyboru przez klientów zakresu ubezpieczenia dopasowanego do ich potrzeb i możliwości finansowych została doceniona przez komisję konkursową projektu Laur Konsumenta, co zaowocowało przyznaniem ofercie ubezpieczeniowej LINK4 Mama tytułu „Odkrycia Roku 2018”. Bo w LINK4 Mama rodzice sami decydują, z których elementów pakietu chcą skorzystać. Pomagają im w tym intuicyjne kalkulatory na stronie Link4mama.pl, które prowadzą klienta przez cały proces wyboru oferty i na bieżąco pokazują cenę uzależnioną od poszczególnych wariantów pakietu.

Pakiet dla dzieci w ofercie produktowej LINK4 Dziecko dedykowany jest także rodzicom poszukującym szkolnego NNW dla swoich pociech. O tym, jak ważne jest ubezpieczenie dzieci i młodzieży w wieku szkolnym, przekonują staty-

1,5 tys. zł

CO NAJMNIEJ TYLKO OTRZYMA TWOJE DZIECKO ZA ZŁAMANĄ RĘKĘ W RAMACH UBEZPIECZENIA LINK4 DZIECKO Z SUMĄ UBEZPIECZENIA W WYSOKOŚCI 50 TYS. ZŁ

styki Ministerstwa Edukacji Narodowej. W ostatnich latach w polskich szkołach i placówkach oświatowych dochodzi rocznie do ok. 60 tys. wypadków. Najczęściej są to różnego rodzaju złamania, stłuczenia i zwichnięcia, ale nie brakuje też ran zewnętrznych.

– Za marką LINK4 Mama stoi nowoczesny produkt, który reprezentuje ważne dla LINK4 wartości, takie jak otwartość, wzajemne wsparcie, poczucie wspólnoty czy dbałość o wartości rodzinne. W naszej firmie mamy cały pakiet wspierający rodziców i rodziny, a teraz wspieramy także naszych klientów – podsumowuje Agnieszka Wrońska, prezes zarządu LINK4.

Więcej informacji o produktach dla rodziców i dzieci znaleźć można na stronie: Link4mama.pl.

Ubezpieczenie dziecka

NNW Dziecko

Suma ubezpieczenia do 100 tys. zł. Ubezpieczyciel odpowiada za nieszczęśliwe wypadki, a także wstrząśnienia mózgu, pneumokoki i sepsę.

Pakiet medyczny dla dziecka

- konsultacje telefoniczne z pediatrą (w przypadku zachorowania lub nieszczęśliwego wypadku dostępne 24/7)
- wizyta u lekarza specjalisty po zachorowaniu lub nieszczęśliwym wypadku (organizacja i pokrycie kosztów dwóch wizyt)
- wizyta u rehabilitanta po nieszczęśliwym wypadku (organizacja i pokrycie kosztów dwóch wizyt).

Pakiet Assistance

- dostarczenie i pokrycie kosztów leków i sprzętu rehabilitacyjnego po nieszczęśliwym wypadku
- korepetycje dziecka (organizacja i pokrycie kosztów korepetycji, jeśli z powodu choroby lub nieszczęśliwego wypadku dziecko jest nieobecne w szkole dłużej niż siedem dni)
- łóżko szpitalne dla prawnego opiekuna dziecka, np. rodzica lub dziadka, które w wyniku choroby lub nieszczęśliwego wypadku musi przebywać w szpitalu.

Ubezpieczenie mamy

NNW Mama

Suma ubezpieczenia do 50 tys. zł.

OC w życiu prywatnym

Obejmuje szkody wyrządzone przez mamę i dzieci.

Pakiet medyczny dla mamy

- konsultacje telefoniczne z lekarzem internistą (dla mamy) oraz z pediatrą (w sytuacji zachorowania dziecka)
- recepta wystawiona przez lekarza wysyłana kurierem
- wizyta u lekarza specjalisty (organizacja i pokrycie 50 proc. kosztów wizyty), pomoc psychologa i dietetyka (organizacja i pokrycie kosztów dwóch wizyt), wizyta u rehabilitanta (organizacja i pokrycie kosztów pierwszej wizyty).

Pomoc prawna

Szeroki zakres porad prawnych związanych m.in. z życiem codziennym, pracą i prawami dziecka.

Pakiet Assistance

- dostarczenie i pokrycie kosztów leków i sprzętu rehabilitacyjnego po nieszczęśliwym wypadku
- pomoc domowa po nieszczęśliwym wypadku lub pobycie w szpitalu mamy
- opieka nad dziadkami (jeżeli rodzice mamy ulegną nieszczęśliwemu wypadkowi to zorganizujemy i pokryjemy koszty opieki nad nimi)
- łóżko szpitalne (organizacja i koszt łóżka szpitalnego dla mamy na czas pobytu dziecka w szpitalu).

Concierge 27/7 bez limitu

- m.in. informacja o przedszkolach i szkołach, procedurach przyjęć do nich, przygotowanie ofert kolonii i obozów, znalezienie korepetytorów i wiele innych.



Piotr Semka

Liderzy partii politycznych Szwecji wykluczyli z prezydium parlamentu demokratów. To kolejny kraj, w którym liberalno-lewicowy mainstream postanowił objąć nową prawicę kordonem sanitarnym

Sverigedemokraterna we wrześniowych wyborach uzyskała 62 mandaty i stała się trzecią siłą w liczącym 349 miejsc parlamencie. Mimo to nie będzie miała reprezentanta w prezydium izby. Dla kontrastu na jedną z wiceszefowych Riksdagu (szwedzkiego parlamentu) wybrano kandydatkę Partii Centrum z ledwie 31 miejscami w izbie. To dobry przykład stosowania w praktyce niepisanej doktryny utrzymywania nowej prawicy w politycznej izolacji.

W Polsce były podobne precedensy. W ten sposób w Sejmie IV kadencji w latach 2001–2005 wykluczono z prezydium parlamentu PiS – wówczas jeden z największych klubów. Jednak w Szwecji to mimo wszystko nowość i symbol szerszej tendencji. Ugrupowania nowej prawicy, same używające niekiedy nazwy „partii tożsamościowych”, a przez krytyków nazywane „populistami”, są niemiłym problemem dla lewicy i obozu liberalnego. Czy plany utrzymania ich w politycznym odosobnieniu mają szanse powodzenia? Na ile zmienią kształt Unii Europejskiej?

EUROPA KARZĄCA

Czołowi politycy unijni zajęci są ostatnio głównie karaniem i upominaniem. W przypadku Polski Komisja Europejska skierowała do Trybunału Sprawiedliwości UE skargę w związku z ustawą o Sądzie Najwyższym. Dodatkowo wskutek starań Jeana-Claude’a Junckera i Fransa Timmermansa Komisja wnosi do TSUE o zastosowanie środków tymczasowych oraz trybu przyspieszonego. W przypadku Węgier Parlament Europejski po rekomendacji posłanki Zielonych – Judith Sargentini – przyjął rezolucję dotyczącą uruchomienia wobec tego kraju art. 7 traktatu unijnego.

W Paryżu na spotkaniu Emmanuela Macrona z ambasadorami Francji prezydent Republiki ostro zaatakował Włochy, gdzie od paru miesięcy rządzi koalicja Ligi

Nękanie husytów, czyli Europa 2018



i Ruchu Pięciu Gwiazd. „Populizm szerzy się jak trąd” – grzmiał Macron. I zarzucił Włochom w kontekście polityki migracyjnej „cynizm i nieodpowiedzialność”. Wytknął, że Włosi chcą europejskich funduszy, ale nie zamierzają wyznawać europejskich wartości.

Jeszcze inaczej upokorzył Włochy Jean Asselborn, szef dyplomacji Luksemburga w czasie niedawnego szczytu UE w Wiedniu na temat migracji. Wystąpienie szefa włoskiego MSW Matteo Salviniiego na temat powodów nieprzyjmowania uchodźców w portach Italii, luksemburski dyplomata przerwał w wulgarny sposób, wykrzykując przekleństwo „g...wno” i wypominając, że wielu Włochów także było imigrantami. Nigdy wcześniej podobny incydent na takim szczycie unijnym nie miał miejsca.

Motyw karania pojawił się też w wypowiedzi Emmanuela Macrona, że „brexit musi być twardy dla władz w Londynie, bo jeśli nie, to grozi to rozpadem Unii”. Sens był jasny: trzeba przeczołgać Londyn, aby był to środek dyscyplinujący inne kraje unijne.

Tym wszystkim politycznym demonstrowaniem niezadowolenia z euroodszczępieńców towarzyszy zalew tekstów w najważniejszych dziennikach i tygodnikach o konieczności „zatrzymania populizmu w Europie za wszelką cenę”.

Tak naprawdę nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy partie konserwatywne spełniające wszelkie cechy partii typowych dla demokracji w Europie jeszcze z lat 80. zostały uznane za wroga wewnętrznego Unii. Nie za partnera rozmów, nie za siły, z którymi można wypracować kompromis (taki status mają np. zachodni komuniści), ale za obce ciało, z którym trzeba walczyć za wszelką cenę. Tej niewypowiedzianej wprost wojny z „populistami” nie byłoby bez unifikacji opinii w krajach unijnych.

Mało kto zadaje sobie pytanie, jak polska reforma sądów ma się do praktyk w zachodnich demokracjach. Wystarczająco emocjonalne opinie w mediach. Nikt nie podejmuje postawionej przez Węgry kwestii, czy głosowanie w europarlamencie jest ważne, skoro nie wliczono do wymaganych dwóch trzecich głosów posłów wstrzymujących się. Nikt nie oburza się, że wicepremier Luksemburga przerywa włoskiemu politykowi, wykrzykując wulgarnie słowo.

Dla „populistów” zarezerwowane są specjalne standardy. W bardzo podobny sposób opisuje się ich w mediach. Rzadko publikuje się wywiady z ich przywódcami,

za to często karykaturuje się ich z atrybutami komunistycznej lub brunatnej przeszłości. Salvini z portretem Mussoliniego czy Kaczyński z sierpem i młotem – to wygodna, bo „artystyczna”, insynuacja.

A niekiedy szykany, jakie ich spotykają, budzą bardzo ponure skojarzenia – tak jest z Marine Le Pen, szefową francuskiego Frontu Narodowego, którą za publikacje w sieci drastycznych zdjęć ofiar islamiistów sąd skierował niedawno na badania psychiczne.

To też nikogo nie dziwi, nie jest to tematem debat ani niepokoju obrońców praw człowieka. Krótko mówiąc, liberalne elity UE wyjęły tożsamościowców spod działania normalnych reguł w europejskiej polityce.

UPÓR I PRZEKORA

A jednak mimo tych wszystkich zakłęt tożsamościowa rewolucja nie tylko nie słabnie w Europie, lecz także się rozszerza. Jest spontaniczna, nieokrzesa, daje się uwodzić Putinowi, niekiedy nie potrafi odepchnąć od siebie prawego marginesu, ale jest i zdobywa nowe kraje.

W Polsce, na Węgrzech i we Włoszech rządy mają się na razie nieźle i bazują na solidnym poparciu wyborców. W Niemczech Alternative für Deutschland z wynikiem 18 proc. jest już ugrupowaniem numer dwa w sondażach, choć trzymana jest w politycznym kordonie sanitarnym i faktycznie jest odcięta od mediów. W Szwecji wspomniani już Sverigedemokraterna są trzecią siłą polityczną w kraju.

Na dodatek świeża polityczna konkurencja, którą stworzyła nowa prawica, najbardziej uderza w tradycyjne partie konserwatywne. W Austrii tylko zmiana lidera tamtejszej partii ludowej ÖVP na młodego Sebastiana Kurza i sojusz z wolnościowcami z FPÖ przyniósł polityczny sukces pod hasłami ukrócenia nielegalnej migracji.

W Niemczech konkurencja ze strony AfD zjada stan posiadania CDU i bawarskiej CSU. To pcha obie chadecje do waśni.

To właśnie między kanclerz Angelą Merkel a Horstem Seehoferem, szefem MSW, wybuchły dwa kryzysy – o metody uszczelniania granic i o osobę Hansa-Georga Maassena – szefa Urzędu Ochrony Konstytucji. Gdy w czasie zajść w Chemnitz Maassen – wbrew dramatycznym komunikatom rzecznika Merkel – ogłosił, że nic mu nie wiadomo o polowaniu na cudzoziemców w saksońskim mieście, lewica zażądała jego głowy



Dzięki atakowaniu Polski
Frans Timmermans zbudował kapitał
popularności po lewej stronie

FOT. FREDERICK FLORIN/AFP/EAST NEWS

■ jako polityka, który schlebia ksenofobom. Seehofer bronił go, przenosząc na stanowisko doradcy, ale sam znalazł się w ogniu krytyki.

Na dodatek CSU wykonuje polityczne zygzyki. W czasie głosowania w europarlamencie nad art. 7 bawarska partia miała pod naciskiem Merkel głosować za ukaraniem Orbána. Jednak czterech deputowanych wyłamało się z tego frontu i okazało solidarność z Budapesztem. To pokazuje, że polityka imigracyjna Orbána ma zwolenników także w obozie niemieckiej chadecji.

A CSU przed wyborami landowymi 14 października stoi dość słabo. W ostatnich wyborach w 2013 r. zdobyła 48 proc. – teraz w sondażach ma tylko 35 proc. Nie lepiej powodzi się ogólnoniemieckiej CDU. W ostatnim sondażu ma 26,5 proc. Druga z kolei AfD ma 18 proc., czyli od partii Merkel dzieli ją tylko 5,5 proc.

CO CIĘ NIE ZABIJE...

Nowa prawica i jej zwolennicy, znośząc na własnej skórze próby politycznej izolacji i poznając skalę ataków medialnych, odkrywają, jak działa mechanizm lewicowo-liberalnej urawniłowki pod fasadą wzorowych demokracji – czy to w Szwecji, czy w RFN.

Niemcy z Saksonii, nad którą załamują ręce komentatorzy z wielu mediów RFN, odkryli niedawno, że wizja tego, co się działo w Chemnitz, widziana ich oczami, różniła się diametralnie od tego, co podawały media.

Oni widzieli obywatelskie demonstracje przeciw brakowi kontroli policji nad imigrantami o skłonnościach przestępczych.

W telewizji widzieli relacje o marszach nazistów i polowaniu na cudzoziemców. Te zjawiska były, ale na marginesie.

Zwolennicy prawicy na Węgrzech, w Polsce czy we Włoszech odkrywają z kolei, jak jednostronny jest obraz sytuacji w ich krajach w mediach, które uznawali za wyważone i jakościowe – czy to w „The Economist”, czy w „New York Timesie”, czy w „Spieglu”.

Odkrywają, jak wiele zależy od sympatii politycznych tuzów w Brukseli i jak wiele państw Unii głosuje tak, by zadowolić Berlin lub Brukselę.

Wszystko to każe stawiać tezę, że nowa prawica nie zniknie szybko z politycznego krajobrazu Europy. Pytanie, jak wiele zmieni nowe wybory do europarlamentu.

Jednak zwolennicy tego, aby „wszystko było tak, jak było”, mają już na ten temat przemyślenia. Oto eurodeputowany Platformy Krzysztof Lisek w trakcie twitterowej dyskusji z socjologiem Marcinem Paladem, gdy padła opinia, że w nowym europarlamencie spora frakcja partii nowej prawicy nie pozwoli na budowę tradycyjnych większościowych koalicji – ani europejskiej partii ludowej (EPP) z centrum czy socjaldemokratów z zielonymi i komunistami – odpowiedział natychmiast: „Będzie potrzebna współpraca trzech frakcji, czyli EPP, socjaldemokratów i liberalnej ALDE. Warto zauważyć, że te trzy grupy polityczne reprezentują też praktycznie wszystkich szefów rządów i głów państw w Radzie Europejskiej”.

A więc jedyną receptą na wyzwanie nowej prawicy ma być koalicja wszystkich przeciw „populistom”. Kolejne pięć

lat świętej wojny. Siły Unii Europejskiej to nie wzmocni.

Piotr Skwieciński trafnie porównał stosunek mainstreamu dzisiejszej Europy do Polski, Węgier i Włoch z reakcją w średniowieczu na husytyzm w Czechach. Wtedy uznano, że to herezja, którą trzeba wypalić ogniem za wszelką cenę. Jednak husytyzm oddziaływał w Europie na wiele osób i był zaczynem przyszłej reformacji.

Jeśli przyjąć recepty publicystów takich jak Ann Applebaum czy Wojciech Sadurski, wzywających do nieubłaganej walki z populizmem, to Macron powinien stać się wodzem tej nowej krucjaty przeciw nieprawomyślnym. Taka walka to obrona dawnego, wygodnego dla tychże publicystów świata, który już z wolna przemija.

Frans Timmermans cieszy się z kapitału popularności, którą zdobył po lewej stronie jako pogromca Polski Kaczyńskiego, i snuje ponoć plany zostania szefem Komisji Europejskiej.

Jednak siły Unii taka wojna nie wzmocni. Na odwrót – stworzy rysę, która mocno podzieli kontynent. Niemieccy politycy chętnie snują plany, w których Unia zdobywa status „global player”, ale nie są gotowi na jakiegokolwiek pragmatyzm w relacjach z Warszawą czy Budapesztem. Na odwrót – wciąż wydaje się obowiązywać linia „przeczekamy populistów”. W samym szczycie kampanii samorządowej w Polsce kanclerz Merkel przyjmuje w Berlinie Grzegorza Schetynę, a Manfred Weber, kandydat na szefa KE, gromi Viktora Orbána.

Impertynencje Macrona wobec Włoch już podcięły nogi francuskiej koncepcji twardego jądra strefy euro na bazie Francji, Niemiec, Hiszpanii i Włoch. Naciski na Polskę tylko zwiększają jej kierowanie się ku Waszyngtonowi. Jednak Berlina i Paryża wydaje się to nie martwić. Europoprawność przede wszystkim.

Ulubioną pałąk publicystów obozu liberalnego jest oskarżanie każdego, kto nie chce w Unii liberalnej urawniłowki, o chęć wyjścia z Unii. Prawda jest inna.

Orbán czy Kaczyński nie chcą huxnexitu czy polexitu. Chcą oddzielenia współpracy europejskiej od interesów ludzi, którzy z europejskości stworzyli wygodną dla siebie ideologię. I elementarnego partnerstwa. Jak się okazuje, to zbyt wygórowane oczekiwanie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Plastikowy sojusznik

Gdzieś ok. roku 1960 miało miejsce historyczne wydarzenie. Ojciec, a może matka, ale raczej ojciec, bo oni są mniej ogarnięci, włożył na leżący luzem klocek Lego i wrzasnął z bólu. Bo ból w takim wypadku, jak wie każdy, kto tego doświadczył, jest niemożliwy.

Nazwisko tego ojca nie zachowało się dla potomnych, ale był on pierwszą ofiarą niesamowitej ekspansji firmy z małego duńskiego miasteczka Billund. Byliśmy tam teraz, aby spełnić jedno z największych marzeń naszego syna, który – tak jak ogromna rzesza jego rówieśników, ale często też i dorosłych ludzi – ma kompletnego hopla na punkcie klocków i potrafi coś z nich kleić godzinami.

Historia firmy Lego jest inspirująca. Można się z nią zapoznać w Lego House, młodszym bracie Legolandu, w którym obfitość wszelkiego rodzaju klocków dla dzieciaków uzupełniona jest historyczną ekspozycją dla takich pierdzieli jak ja. Tak przy okazji – przechadzając się wśród starych kompletów klocków, uroniłem łzę, spostrzegłszy znajome pudełko z wozem strażackim z kolekcji 1979. Dostałem takie, ponieważ moja rodzina wspaniałomyślnie postanowiła przeznaczyć część dewiz nie na wódkę wyborową z Peweksu, lecz dostępne tam legendarne klocki.

W historii Lego są dwie daty przełomowe. Pierwsza to rok 1958. Do tej pory firma produkowała różne zabawki, głównie z drewna. Wtedy

ktos wpadł na pomysł, żeby wytwarzać klocki z nowego, rewolucyjnego materiału – plastiku. To był strzał w dziesiątkę. W przeciągu kilku lat rodzinne przedsiębiorstwo z bardzo prowincjonalnego miasteczka prowincjonalnej Jutlandii stało się globalnym potentatem. Zamówienia z całego świata były tak ogromne, że firma musiała otworzyć własne lotnisko. Takie były początki międzynarodowego portu lotniczego w Billund.

Prosperity trwało długo i wydawało się nie mieć końca. Jednak początek lat 90. XX w. przyniósł zagrożenie – komputery osobiste i gry komputerowe. Dzieciaki nie chciały już klocków, chciały komputerów i konsol. Sprzedaż i zyski Lego zaczęły spadać. Wydawało się, że postęp technologiczny zniszczy duńską firmę, tak jak zniszczył później fińską Nokię, która przespała smartfonową rewolucję.

Duńczycy znaleźli jednak wyjście z sytuacji. Zamiast policjantów i strażaków zaczęli wytwarzać modele inspirowane wielkimi przebojami kinowymi. Pierwsze były oczywiście „Gwiezdne wojny”. Ludzie – także dorośli – którym saga Lukasa przeorała mózgi, nie wyobrażali sobie życia bez złożonego własnoręcznie „Sokoła Millennium”. Kryzys przerodził się w niewyobrażalny sukces, który trwa do dzisiaj.

A ja, mimo że czasem ryczę z bólu, gdy wejdę na plastikową minę, doceniam klocki Lego. To jeden z nielicznych sojuszników w walce z wirtualną rzeczywistością, która pochłania nasze dzieci. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Szczęście i opatrność

Autorzy fantastyki, sam się do nich zaliczam, którzy chętnie rozważają wizję upadku cywilizacji Zachodu, nie biorą pod uwagę dwóch elementów, które wymykają się badaczom historii – szczęścia i opatrności. Gdyby jakiś zespół analityków debatował w XV w., to nie powinien dawać żadnych szans ówczesnej Europie. Imperium osmańskie wdarło się na Bałkany, pobiło siły wschodniej Europy pod Warną, potem zajęło Konstantynopol. Na Oceanie Indyjskim pojawiła się potężna flota chińska. Bilans handlu

i kolonizować Afrykę nakazał spalić flotę. Podobno zdecydował lęk przed rosnącą potęgą kupców, którzy mogli zagrozić jego władzy. Kolumb odkrył Nowy Świat, a zdobycze z Peru i Meksyku postawiły na nogi Europę (wprawdzie głównie angielskich piratów i niemieckich bankierów, ale jednak!).

Nie twierdzę, że i dziś jakiś cud może obrócić dekadentyczne trendy Zachodu, ale... Nadzieja jest nie tylko matką głupich, lecz także potężną zachętą do działania. Czterdzieści lat temu, zanim nad Watykanem pojawił się biały dym, byliśmy przekonani, że przyjdzie nam żyć po wiek wieków w komunizmie. Zachód nas nie wyzwolił, a my sami, bez woli walki, bierni, zastraszeni, inwigilowani...

Dlatego – nawet patrząc na dzisiejszą Europę pustoszących kościołów i wyludniających się miasteczek, ludzi ogłupionych przez poprawną polityczność i zidiociałe elity, napływ barbarzyńców – powtarzam znany zwrot „nie lękajcie się”. Nie wiem, skąd przyjdzie ożywczy impuls, z zewnątrz, z przygłuszonego, ale obecnego w każdym człowieku instynktu przetrwania? Pewnie nie obędzie się bez rewolucji, ale liczę, że wszystko się skończy dobrze. Neomarksizm wylądował na śmietniku historii, a ludzie zaczną się zastanawiać, co w życiu, poza konsumpcją i zaspokajaniem popędów, jest naprawdę ważne. I liczę, że wkrótce taka zmiana się zacznie, a władcy Zachodu nie okażą się tym zbiorowym cesarzem, który nakazał zniszczyć własną potęgę. Z powodzeniem. ©©

Kolumb odkrył Nowy Świat, a zdobycze z Peru i Meksyku postawiły na nogi Europę

europejskiego ze Wschodem był ujemny, potęgował kryzys Kościoła katolickiego, który rychło objawił się reformacją. Można sobie wyobrazić, że Kolumbowi zabrakło hartu ducha i zawrócił, nie natrafiwszy na ślady Afryki, a Portugalczycy, i owszem, opłynęliby Przylądek Dobrej Nadziei, lecz w drodze do Indii starli się z wielokrotnie silniejszymi Chińczykami, a wsparci przez braci w wierze Maurowie obronili Grenadę i odepchnęli pozbawionych środków Hiszpanów za Pireneje. Co by się stało – wyspa Jagiellonów w morzu islamu? Jednak się pofarciło. Cesarz chiński zamiast zdobywać Indie

Rachunki pożerają domowe budżety Polaków...

W okresie jesienno-zimowym oraz nadchodzących podwyżek cen mediów ucierpią one jeszcze bardziej

Mimo stale poprawiającej się sytuacji ekonomicznej życie w Polsce jest relatywnie drogie. Według danych GUS za 2017 r. aż jedna czwarta domowego budżetu polskich konsumentów przeznaczana jest na stałe opłaty za media, które należą do jednych z najwyższych w Europie i w najbliższym czasie jeszcze wzrosną (niektóre drastycznie). A są to już wydatki niemal identyczne z tymi ponoszonymi na zakup żywności. Wbrew pozorom polscy konsumenci

nie są jednak skazani na wysokie opłaty. Na rynku istnieją już bowiem rozwiązania pozwalające na optymalizowanie comiesięcznych kosztów za media. Korzystając z platformy do obniżania i opłacania rachunków za media MAM, każdy użytkownik może realnie obniżyć swoje comiesięczne opłaty poprzez robienie zakupów.

RACHUNKOWY ZAWRÓT GŁOWY

Polacy wydają na rachunki za media ponad 24 proc.

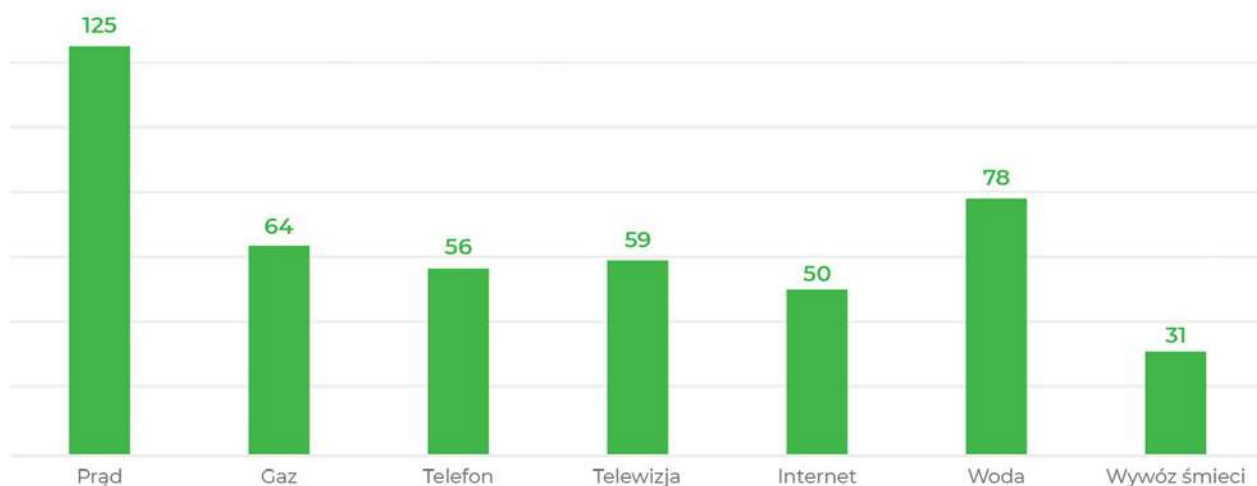
swojego comiesięcznego budżetu. Najdroższy jest prąd, którego zużycie w okresie jesienno-zimowym wzrasta, a ceny w niedługim czasie dodatkowo jeszcze poszybują w górę. Jak wynika z raportu „Media i rachunki” przygotowanego przez platformę MAM, aktualnie średnia deklarowana wysokość faktury za energię elektryczną to 125 zł. Łącznie polski konsument wydaje na media co miesiąc ok. 463 zł. Gdy dodamy do tego opłatę za czynsz, którą respondenci badania określili

na średnio 442 zł, okazuje się, że statystyczna polska rodzina wydaje miesięcznie ok. 905 zł na obowiązkowe opłaty. Pozostają jeszcze koszty wynajmu mieszkania lub spłaty kredytu hipotecznego, które również znacznie obciążają domowy budżet.

PŁACIMY DUŻO, WIEMY MAŁO

Dodatkowo wiedza polskich konsumentów na temat mediów, ich zużycia i rozumienia faktur za nie jest na bardzo niskim poziomie. Aż 60 proc.

Deklarowana wysokość podstawowych rachunków w PLN z wyłączeniem opłat czynszowych (mediana)



respondentów badania platformy MAM „Media i rachunki” nie jest w stanie precyzyjnie określić, ile wydaje na rachunki w skali miesiąca, 62 proc. nie wie, ile prądu zużywa ich gospodarstwo domowe, a jedna trzecia otwarcie przyznaje się, że nie wie, w jakich jednostkach liczone jest zużycie energii elektrycznej. Skoro konsumenci nie są w stanie określić podstawowych wskaźników i informacji dotyczących tak istotnego obszaru, mającego niebagatelny wpływ na ich domowy budżet, tym większy szok przeżyją po wprowadzeniu zapowiadanych podwyżek cen za media. Ponadto nie będą wiedzieli, z czego one wynikają. Właśnie dlatego tak ważne są edukacja i korzystanie z narzędzi pomagających w efektywnym zarządzaniu domowym budżetem, a nawet obniżaniu uciążliwych rachunków.

Jeśli szacunki analityków rynku energii okażą się trafne, to już w 2020 r. będziemy płacić za prąd o 50 proc. więcej niż obecnie. Zgodnie z danymi płynącymi z naszego badania będzie to o ponad 60 zł miesięcznie mniej w domowym budżecie. Nie mówiąc już o ogólnym wzroście cen innych mediów i produktów, który czeka nas w wyniku podwyżek cen energii. Polacy muszą się na to przygotować, lepiej niż dotychczas planując swoje wydatki, wykazując się wiedzą nie tylko z zakresu zarządzania finansami domowymi, lecz także tą dotyczącą oferty poszczególnych dostawców mediów działających na rynku – mówi Marcin Walaszczyk, dyrektor zarządzający platformy do obniżania i opłacania rachunków za media MAM.

Co ciekawe, Polacy mają również problem z rozumieniem samych rachunków. Łatwiej jest im zrozumieć faktury za media abonamentowe, takie jak np. telefon, Internet czy telewizja. W przypadku prądu

i gazu jedynie połowa rozumie – lub przynajmniej deklaruje, że rozumie – zawarte tam zapisy. Nic zresztą dziwnego, przeciętna faktura za prąd z zapisami dotyczącymi różnych rodzajów opłat jest szalenie skomplikowana i wymaga odpowiedniej instrukcji.

MAM – POMYŚL NA NISKIE RACHUNKI

Mimo że stałe opłaty są w Polsce relatywnie wysokie i trzeba je płacić co miesiąc, istnieją sposoby na optymalizowanie tych kosztów. Jednym z nich jest platforma MAM, dzięki której użytkownicy dokonujący swoich codziennych zakupów gromadzą środki na obniżanie i opłacanie domowych rachunków. Na czym polega mechanizm jej działania?

MAM to platforma, za pośrednictwem której można dokonywać zakupów w sklepach internetowych i stacjonarnych. Aby zarejestrować się w MAM, wystarczy wejść na stronę: www.jamam.pl lub zainstalować aplikację dostępną na telefony z systemem Android oraz iOS.

I zacząć gromadzić środki na opłaty za media. W wypadku zakupów on-line wystarczy wejść na stronę danego sklepu z poziomu MAM, a środki za dokonywane zakupy automatycznie naliczą się na koncie użytkownika. Każda wydana kwota gwarantuje procentowy zwrot w postaci tzw. Złotówek MAM. Są one gromadzone na koncie użytkownika i mogą być wykorzystane do opłacenia dowolnego rachunku za media, czyli za prąd, gaz, telefon, Internet lub telewizję – a tym samym do jego obniżenia. W przypadku zakupów dokonywanych w sklepach stacjonarnych „Złotówki MAM” naliczane są po zeskanowaniu paragonu za pomocą aplikacji MAM. Wystarczy zrobić zdjęcie

paragonu, wysłać je i poczęścić na naliczenie złotówek na koncie użytkownika.

Nasi użytkownicy już teraz opłacają swoje rachunki za media środkami zebranymi dzięki dobremu przygotowaniu i realizacji planu wydatków na dany miesiąc. Dzięki temu ich rachunki co miesiąc są niższe średnio o 46,83 zł. Aktywne korzystanie z MAM pozwala nie tylko uchronić się przed skutkami podwyżek cen, lecz także „wyjść na plus”. W świetle nadchodzących wzrostów cen za media korzystanie z takich narzędzi jak MAM staje się powoli koniecznością – komentuje Marcin Walaszczyk, dyrektor zarządzający platformy do obniżania i opłacania rachunków za media MAM.

Główny model funkcjonowania platformy to odpowiedź na jedną z największych bolączek Polaków. MAM pomaga obniżyć rachunki za media

przy okazji dokonywanych zakupów. Robiąc je z platformą MAM, zwiększa się wartość każdej wydanej złotówki. MAM pozwala na dokonywanie zakupów w wielu kategoriach zakupowych, takich jak: moda, elektronika i AGD, zdrowie i uroda, artykuły dziecięce, hobby i rozrywka, dom i ogród, zwierzęta, żywność i gastronomia, motoryzacja, sport oraz podróże.

Polacy jako konsumenci mają więc w zasięgu ręki narzędzia, które pomagają realnie optymalizować comiesięczne wydatki na media. Wydatki, które – jak wynika z raportu „Media i rachunki” – dla większości społeczeństwa są sporą niewiadomą. Czas zatem nie tylko zwiększyć swoją świadomość dotyczącą samych mediów, lecz także narzędzi, które mogą przynieść znaczną ulgę dla domowego budżetu. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Media i rachunki



Wspólnym wysiłkiem



Piotr Gociek

Kto twierdzi, że skoro „państwo okrzepło”, to nie można go reformować, ten zachęca chorego pacjenta, żeby pogodził się ze swoim losem

Kto z kim się spiera? Według Piotra Semki, który zapoczątkował dyskusję, Konserwatyści Zmiany spierają się z Konserwatystami Umiaru.

Według Łukasza Warzechy – nałogowi rewolucyjniści z prawicą zdrowego rozsądku (prawdziwą prawicą?). Według Stefana Sękowskiego pogrobowcy rozdrobnionej prawicy z lat 90. wiodą spór z prawdziwymi konserwatystami. Przedmiot sporu? Najogólniej ujmując – dobra zmiana, jak reklamował swe zamierzenia PiS już podczas kampanii wyborczej. Czy zmiana jest zbyt wolna, czy zbyt szybka? Chociaż zauważmy, że Stefan Sękowski idzie dalej, gdy w swojej polemice stanowczo dopowiada, iż z jego strony „krytyka nie dotyczy tego, że Jarosław Kaczyński idzie za wolno czy za szybko – ale tego, że idzie w złą stronę”.

OBIE RACJE

Będę się spierał z Piotrem Semką w kwestii wytyczenia granic obozu Konserwatystów Umiaru. Sądzę, że dwie grupy, które do nich zaliczył, mało pasują do definicji. Pierwsza to ci, którzy twierdzą, że PiS to „łże-prawica” i „chrześcijańscy socjaliści”, druga to ci, którzy łapczywie rzucili się na tezę Rafała A. Ziemkiewicza, że mamy do czynienia z neosanacją.

Ci pierwsi, których można odnaleźć zarówno wśród posłów wprowadzonych do Sejmu przez ruch Kukiz'15, jak i wśród prawicowej drobnicy pozaparlamentarnej, to w dużym stopniu sieroty po JKM (za-uważa to zresztą Semka), druga to atomy ruchu narodowego (celowo używam małej litery, bo środowisko jest szersze od partii o tej nazwie – szersze, choć niewielkie) szukające wciąż nowego, trwalszego spoiwa. W hasło „przeciw nowej sanacji” wietrzą okazję do konsolidacji. Może nie bez racji, wszak w polskiej polityce zawsze

łatwiej było budować „przeciw” niż „za”. Jedni i drudzy nie są Konserwatystami Umiaru, lecz zwolennikami radykalnej „dobrzejszej” zmiany. Pierwsi – libertariańskiej, drudzy – narodowej.

Według Semki mamy do czynienia z ważnym sporem w rodzinie. Konserwatyści Zmiany wspierają operację wielkiej przebudowy III RP, rozpoczętą przez obóz pod wodzą Jarosława Kaczyńskiego, co nie zwalnia ich z krytycznego patrzenia na niektóre z konkretnych rozwiązań. Potrzeba przebudowy nie ulega jednak wątpliwości. Natomiast Konserwatyści Umiaru w jego oczach to środowisko stawiające ważne diagnozy, ale nieco oderwane od rzeczywistości, nierozumiejące, że praktyka polityki odbiega mocno od teorii. Wyczuwam w tekście Piotra nutę żalu, że celnicy analitycy z obozu Konserwatystów Umiaru, zamiast przebudowę wspierać tworczą krytykę, ześlizgują się na pozycję tych, którzy negują jej sens i potrzebę. Sękowski odpowiada, że cudzych błędów wspierać nie chce, woli koncentrować się na wytyczaniu nowej, właściwej drogi.

Paradoksalnie obaj mają rację, choć nie chcą jej sobie przyznać. Powiem o tym, co bliskie jest mi w rozumowaniu Semki. Tak, uważam, że wielka przebudowa jest potrzebna, i tak, zauważam, że już się rozpoczęła, nawet jeśli ktoś wytyka, że za często chodzi o zmianę kadr, a zbyt rzadko o zmianę systemu i wzmocnienie (budowę od nowa) instytucji. Kiedy Łukasz Warzecha twierdzi że „mamy państwo, które – czy to się komuś podoba, czy nie – okrzepło”, odpowiadam – ale przecież okrzepło w niewłaściwej formie! Umiera-

jącego pacjenta, jakim był polskopodobny twór, czyli PRL, poddano częściowej tylko kuracji. W efekcie połamane kończyny zrosły się w zygaki, organy wewnętrzne działały wybiórczo, pacjent nie jest zdrowy, lecz przewlekłe chory. W tej sytuacji ktoś, kto twierdzi, że trzeba przejść nad tym do porządku dziennego i zająć się już tylko rekonwalescencją, nie ma racji. Seria bolesnych operacji jest potrzebna, żeby nogi zrosły się prosto, wybite barki trzeba nastawić itd. Dopiero wtedy będzie szansa, że pacjent zacznie normalnie chodzić.

Nie znaczy to – i tu wspieram Konserwatystów Umiaru – że jednocześnie nie należy zastanawiać się, jak powinien funkcjonować uzdrawiany organizm. Obydwa procesy są potrzebne: ingerencja chirurgiczna oraz głęboki namysł, kogo chcemy wypuścić z kliniki: szybkobiegacza, kulturystę, pływaka. Moja diagnoza jest taka, że na razie pacjent do żadnej normalnej kariery się nie nadaje. Spór między restauratorami vel reanimatorami III RP (tak, widzę w tym obozie PO i jej sojuszników) a tymi, którzy chcą radykalnej kuracji (tak, widzę w tym obozie PiS i jego sojuszników), polega na tym, że pierwsi najpierw chorego doprowadzili do stanu krytycznego, a teraz chcą go leczyć tymi samymi środkami, które chorobę wywołały. Drudzy zaś uważają, że jest potrzebna nowa kuracja i że za leczenie nie powinien zabierać się ten, kto pacjenta wpędził w chorobę.

Krytycy PiS rzucający hasło: „PiS – PO jedno zło” (coraz częściej widzę ich wśród Konserwatystów Umiaru) uważają, że także obóz Jarosława Kaczyńskiego chce stosować szkodliwe lekarstwa z przeszłości, a hasła wielkiej zmiany to pic na wodę. Chcąc nie chcąc, trafia więc nie na obrzeża



polemika
DO RZECZY

FOT. SUNDY

czy cudzymi rękami?

cja, nie pozwala Polsce normalnie się rozwijać. I na tych, którzy chcieliby przymknąć oko i powiedzieć: „No trudno, było, jak było, ale jakoś już jest, więc trzeba się z tym męczyć” (wybaczcie, Łukaszu i Stefanie, ale tak interpretuję wasze „przecież państwo okrzepło”).

„Rewolucja wiąże się z brakiem namysłu, niesprawiedliwością, stosowaniem drastycznych i populistycznych podziałów, brakiem szacunku dla instytucji. Trudno uznać, że takie podejście jest zasadne” – pisze Warzecha, krytykując praktyki PiS po 2015 r. Łukaszu, właśnie jednym zdaniem podsumowałeś to, co się wydarzyło w III RP, ale już po roku 1989. To ówczesne zaniechania doprowadziły do niesprawiedliwości, kapitalizmu rodem z mafijnego kasyna (wszystkie gry są ustawione, wygrywa zawsze właściciel), zablokowania dróg awansu itd.

Tak, ważnym elementem tej zmiany muszą być także sprawy kadrowe. III RP wytworzyła własne patologiczne ścieżki awansu przez kooptację, „centralizm towarzyski”, jak to kiedyś ładnie ujął Andrzej Celiński. Dopóki w tej kwestii nie zostanie przywrócona równowaga, dopóty o żadnej dobrej zmianie i nowej kuracji mowy być nie może. „Polskie państwo wytworzyło przez 28 lat swojego suwerennego istnienia wiele wadliwych, patologicznych nawet mechanizmów, które wymagają naprawy, czasem zastąpienia nowymi, czasem jedynie dostrojenia – ale na pewno nie rozjechania walcem” – zauważa Warzecha. Tylko że między zaniechaniem a użyciem walca jest wiele dróg pośrednich. W odróżnieniu od Łukasza uważam, że mamy wreszcie rząd, który zaniechaniem się brzydzi, ale nie używa walca.

Kadry, kadry... I od razu ktoś dorzuci: „Tak, PiS promuje tylko swoich, i w dodatku Misiewiczów”. Panowie, czy wybory wygrywa się po to, żeby realizować własny program, czy cudzy? A jeśli cudzy, to czy ma być on realizowany rękami zwolenników tego programu, czy jego przeciwników? Co do nieszczęsnego Misiewicza, zamiast patrzeć na niego, spójrzmy na parę walczącą o fotel prezydenta Warszawy. Czy III RP ma być krajem tylko dla takich jak Trzaskowski, nowej samozwańczej arystokracji, krajem, w którym dziedziczy

się wpływy i władzę, czy może jednak powinna być miejscem, w którym może osiągnąć coś także człowiek spoza klubu, ale za to uparty i pracowity?

Instytucje są ważne, ale budowanie nowych beczek tylko po to, by przelać do nich stare wino, nie ma sensu. Szkoda wysiłku, efektu nie będzie. Polskę trzeba wymyślić oraz budować na nowo i cenić niezmiennie tych, którzy taką próbę podejmują. Widzę wśród nich Konserwatystów Umiaru. W odróżnieniu od wielu krytyków Jarosława Kaczyńskiego uważam, że jeszcze za wcześniej jest oceniać, jaki dokładnie kształt przybierze „konserwatywna rewolucja”. Zbyt wiele jest zmiennych, zbyt wiele procesów uruchomiono. Także takich, o których nie wspomniano żaden z autorów tekstów w ramach naszej debaty.

Poprę zaś jednoznacznie Piotra Semkę, gdy zwraca uwagę na różnicę między polityką realną a teoretyczną. Socjolog Andrzej Zybertowicz uprawia politykę realną, socjolog Jadwiga Staniszkis uprawia politykę teoretyczną. Diagnozy i talent pierwszego pomagają dziś naprawiać Polskę. Diagnozy i talent drugiej marnują się w coraz bardziej personalnych atakach na polityków obozu władzy. Chciałbym, żeby Konserwatyści Umiaru przyjrzeni się temu przykładowi dokładnie. Nie chciałbym ich podejrzewać, że czekają ze swoimi receptami budowy nowej Polski dopiero na moment, w którym niewdzięczną robotę (konserwatywną rewolucję) ktoś – Jarosław Kaczyński – już za nich załatwi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NIEDZIAŁAJĄCE ZAKŁĘCIA

Teraz ważna teza z tekstu Sękowskiego. Czy podział z przełomu lat 80. i 90. mają wciąż znaczenie, czy też jest to przebrzmiały spór, sztucznie podtrzymywany przez polityków starego pokolenia, dla wzmocnienia polaryzacji dla nich wygodnej? Odpowiem: polityczne wybory sprzed lat niosą długoterminowe konsekwencje. Spójrzmy na Hiszpanię, w której spór o ocenę frankistowskiej kontrrewolucji do dziś stanowi istotny element politycznego sporu, a w czasach rządów Zapatero stanął wręcz w samym tego sporu centrum. Nie uważam, by prosta wizja „dokończyć dekomunizację” czy „zniszczyć postkomunizm” wszystko dziś w Polsce tłumaczyła, ale będę się upierał, że wraz z czasami tzw. transformacji ustrojowej rozpoczął się podział, który trwałe definiuje polską scenę polityczną, i żadne zakłęcia Konserwatystów Umiaru zmienić tego nie mogą.

Jest to podział na tych, którzy uważają, że popełniono zbyt wiele grzechów pierworodnych, których dziedzictwo, replika-

Polemika o konserwatyzmie w „Do Rzeczy”:

- **Piotr Semka** „List Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru” – „DRz” 36/2018 z 3 września 2018 r.
- **Łukasz Warzecha** „Rewolucja a państwo” – „DRz” 38/2018 z 17 września 2018 r.
- **Kamila Baranowska** „Ludzie chcieli zmiany” – „DRz” 39/2018 z 24 września 2018 r.
- **Stefan Sękowski** „Mentalna samodzielność niepisowskiej prawicy” – „DRz” 40/2018 z 1 października 2018 r.



Rafał A. Ziemkiewicz

Czy rzeczywiście istnieje problem „taśm Morawieckiego”, czy to tylko bezsilne podrygi opozycji próbującej za wszelką cenę uderzyć czymkolwiek w PiS?

Taśmy Morawieckiego” ani „układ radomski” nie wstrząsną debatą publiczną, jak wstrząsnęły niegdyś nagrania u Sowy i Przyjaciół, i nie zmobilizują wyborców przeciwko PiS, jak zdołała ich w 2007 r. zmobilizować sprawa „doktora G.”. Próbując powtórzyć stare numery, propaganda antypisu wpływa na Polaków w sposób dokładnie odwrotny do zamierzonego: usypia ich i z góry znieczula na podobne oskarżenia w przyszłości, gdyby PiS naprawdę dał do nich powód.

Wszystko toczy się tak, jak już do tego przywykliśmy. Przede wszystkim wszechobecny kalizm. Ta strona politycznego magla, która do wczoraj głosiła, że „nielegalnie” i „w drodze przestępstwa” dokonane nagrania prywatnych rozmów nie mogą być powodem dyskredytowania kogokolwiek, oczywiście zmieniła zdanie i nie tylko nie ma nic przeciwko „współpracy z przestępcami”, jaką jest upowszechnianie nagrań, lecz także gromko wzywa Mateusza Morawieckiego do dymisji, ogłaszając, że po tym, jak społeczeństwo poznało, co naprawdę myśli o wojnie i imigracji, stracił moralne prawo do sprawowania urzędu i reprezentowania kraju.

A ta strona, która do wczoraj stanowczo odrzucała twierdzenia, że kelnerskie taśmy były „spiskiem, mającym na celu obalenie legalnych władz”, i to „kierowanym z zewnątrz”, na okoliczność premiera sama taką właśnie narrację przyjęła, tyle że wskazując inspiratora nie w Rosji, a w Niemczech, do których obywatele należą większościowe pakiety w oskarżających premiera mediach.

Zostawmy na boku te prysiudy i priuety polskich Hutu i Tutsi, którzy od lat obiegają się nawzajem niczym bokserzy na ringu, raz ty tu, ja tam, raz odwrotnie, w imię jednej jedynej logiki – znalezienia okazji do nokautującego ciosu. Czy naprawdę istnieje problem „taśm



Wstrząs, którego

Morawieckiego”, a w ich tle „przekrętów” PiS w Radomiu? Czy to tylko bezsilne podrygi opozycji, która trzy tygodnie przed wyborami rozpaczliwie stara się uderzyć w rząd czymkolwiek?

@

W materiale portalu Onet.pl nie ma żadnej sensacji, choć nie ma także przypisywanych jego autorom przez rozwścieczonych zwolenników PiS nadużyć ani manipulacji. Stankiewicz i Gajcy, podobnie jak przed bez mała rokiem w głośnym tekście o amerykańskim „szlabanie” dyplomatycznym na Polskę, dopóki nie wycofamy się z nowelizacji ustawy o IPN, dopóty trzymają się faktów i stawiają ostrożne tezy. Inna sprawa, że w przypominanym przez nich (bo wszystko, co napisali, już swego czasu w mediach było) wątku Mateusza Morawieckiego w aferze taśmowej nie ma żadnej sensacji. Istotą całej sprawy nie są bowiem takie czy inne odkrycia dziennikarzy przypominających od pewnego czasu akta sprawy, która wstrząsnęła przed czterema laty polską polityką – ale medialny szum, który wokół nich wytworzono.

Trochę przypomina to rozpaczliwą próbę zdyskredytowania Andrzeja Dudy,

podjętą przez tygodnik Tomasza Lisa i całą medialną orkiestrę odsuwanej władzy na samym początku jego kadencji – kiedy to panie Pochanke, Lewicka czy Wysocka-Schnepf powtarzały we wszystkich telewizjach z lubością o „kilometrówkach” Dudy, wiedząc doskonale, że żadnych „kilometrówek” nie było i nie ma, a w fakcie, że jako poseł Andrzej Duda korzystał – jak każdy inny poseł od czasów przedwojennych – z darmowych biletów kolejowych i lotniczych, nie sposób dopatrzeć się czegokolwiek nagannego czy nawet dziwnego. Hasło „Morawiecki też był nagrany u Sowy” ma skojarzyć go z sytuacją, z którą nie wspólnego nie miał – podobnie jak powtarzane po goebbelsowsku słowo „kilometrówki” miało skojarzyć prezydenta z wyłudzeniem nienależnych pieniędzy przez PiS-owskich „madrillieros”. W wypadku Dudy to nie zadziałało, choć antypis rządził jeszcze wówczas mediami państwowymi, więc podprogowy przekaz propagandowy był szczelny. Dlaczego miałyby zadziałać w przypadku Morawieckiego, choćby tylko na chwilę, na wybory?

Między obydwoma sprawami istnieje pewna różnica. Oskarżenia wobec prezydenta były oparte na przesłankach



nie ma

FOT. KAROL SEREWSKI/FAST NEWS

słuchali rozmów, zbliżali się tylko do stołu od czasu do czasu, by podać coś lub zabrać, a nagrane taśmy oddawali moco-dawcom, nie odsłuchując ich.

Nie znaleziono też żadnej koincydencji pomiędzy tymi zeznaniami a faktami. To zupełnie inna sytuacja, niż kiedy Marek Belka z Bartłomiejem Sienkiewiczem ustalali, że prezes NBP, omijając prawo, wprowadzi na rynek dodatkowe pieniądze, by zwiększyć odczucie dobrobytu i szanse wyborcze PO, a rząd w zamian za to wymieni szefa giełdy na osobę przez niego wskazaną. W chwili, gdy nagranie zostało opublikowane, łatwo było sprawdzić, że krótko po tej rozmowie NBP przeprowadził dziwną operację z wprowadzeniem nowych banknotów, zgodną w skutkach z knajpianymi ustaleniami, a prezes giełdy został wymieniony.

Tymczasem ani żadnych kredytów na „słupy” udzielanych przez WBK, ani mieszkania kupionego przez jego prezesa nikt odkryć nie zdołał.

@

Cała reszta to „agregowanie szumu”. Aby stworzyć pozór, że „coś ma” na premiera, Onet ujawnił trzygodzinne nagranie podsłuchanej rozmowy prezesa Morawieckiego z innymi bankowcami. Tyle że nie może to być ta rozmowa, o której wspominali przesłuchiwanymi kelnerzy, i nie ma tam nic ze wspomnianych spraw ani w ogóle nic. Ot, przyszły premier kilka razy użył słowa na „k”, wyraził zaniepokojenie masowym napływem imigrantów i groźbą wojny oraz opinię, że „ci wszyscy Niemcy, Żydzi, Szwajcarzy i Anglicy”, którzy „siedząc na pieniądzach”, nie pozwalają im inwestować w biedniejszej części świata, popełniają straszny i groźny w skutkach błąd – co czujni tropiciele z „Times of Israel” uznali za przejaw antysemityzmu.

Rzecz szybko stała się groteską. Środowiska, które zbudowały już piętrowe spiskowe teorie o tym, że taśmy to jeden wielki pic i putinowska fałszywka, czego dowodem miała być nieobecność na nich ludzi PiS (a po co miałyby ich wtedy Falenta nagrywać, skoro poza Radomiem i Wołominem byli odsunięci od wpływu na cokolwiek?), z dnia na dzień odwróciły narrację o 180 stopni. Ci sami, którzy śmiali się do rozpuku z logiki ministra Ziobry, gdy ten twierdził, iż skoro dowodów nie ma, to znaczy, że je zniszczono, ogłaszają jako „oczywistą oczywistość”, że skoro taśmy, na której premier mówił-

by to, o czym mówili kelnerzy, nie ma, to dowód, że PiS ją ukrywa.

Na podobnej zasadzie – skojarzenia, niejasności i mruganie okiem – ogłosiła „Gazeta Wyborcza” bliżej niesprecyzowaną aferę z wyznaczaniem trasy autostrady pod Radomiem. Ktoś miał lobbować, żeby jej przebieg zmienić, ktoś, żeby nie zmieniać, obaj byli z PiS, a tak konkretnie to decyzji nie podejmował wcale PiS, zresztą nie podjęto jej w końcu do dziś.

Chyba po prostu trzeba się już do tego przyzwyczaić. Skoro w świecie medialnego zgiełku fake news, nawet zdementowany, działa tak samo jak prawda, skoro większość odbiorców Internetu czyta tylko tytuły, które robią swoje, nawet jeśli mocne tezy w nich zawarte nie są niczym poparte w tekście, skoro aktor przebrany za lekarza jest dla konsumentów większym autorytetem w doborze leków niż prawdziwy lekarz, a widzowie i czytelnicy wybierają sobie takie treści, które utwierdzają ich w z góry przyjętych przekonaniach, to do dmuchania „afer” z niczego po prostu musimy się przyzwyczaić.

@

Chwytnie się takich dmuchanych z niczego afer przez PO jest pewnie przejawem desperacji. Świadczy jednak też o tym, że starając się we wszystkim naśladować PiS z czasów, gdy wydawał się on raz na zawsze skończony i niewybiekalny, PO przejęła także jego ówczesną wiarę w „przebudzenie” społeczeństwa. Wiare, że zdarzy się coś – najczęściej liczono tu na komisję Macierewicza – co sprawi, że ślepi przejrzą na oczy i zbrodnicza natura antypolskich rządów Tuska stanie się z dnia na dzień dla wszystkich oczywista, a wtedy Polacy powstaną.

Nic podobnego przecież nie nastąpiło. PiS wygrał na punkty dzięki mądrej taktyce ukrycia nawiedzonych radykałów i wykreowaniu na ich miejsce nowych liderów. Mimo to dziś wielka część totalnej opozycji rozpaczliwie czepia się każdej pseudosensacji, licząc, że przyniesie ona ów „wstrząs”, po którym naród złapie się za głowy, krzyknie: „Ach, nasza wolność jest zagrożona!” i milionami wylegnie na uliczne protesty.

Być może liderzy PO nie są tacy głupi, by w to wierzyć, ale liczą, że ta wiara „dołów” uniemożliwi po przegranych wyborach rozliczenia i wyrośnięcie na lewo od PO konkurencyjnej siły politycznej. Jeśli tak, to można ich zrozumieć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

WYŚLIJ SVOJE WSPOMNIENIA

Teść umówił się ze znajomym ze wsi, u którego miało być świnioobicie, że chętnie kupi jedną sztukę.

Termin ustalono na... 13 grudnia 1981 r. Na wieś dotarliśmy bez problemów. Transakcja została przeprowadzona, towar załadowany do bagażnika. Wracamy do domu. Nagle silnik zaczął się dławzić. Kichnął, prychnął i... zgasł. Teść poszedł do najbliższych zabudowań zapytać gospodarza, czy możemy wepchnąć samochód na podwórko. Gość wyściubił czubek nosa przez drzwi, popatrzył chwilę i powiedział: „**Panie, co pan? Wojna!**”, i zatrzęsnał wrota.

Andrzej, Wołomin

KIEDYŚ

Zgodziłem się na przystąpienie do konspiracji.

Do moich zadań należało zdobywanie informacji o rozwoju sytuacji, w tym przygotowanie listy proskrypcyjnej z adresami zamieszkania funkcjonariuszy i urzędników publicznych z terenu miasta. Nie wyjaśniono mi celu zbierania tych danych. **Wiemy, gdzie mieszkasz – można by to spuentować.**

Jerzy, Sosnowiec

**WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU MUZEUM WSPOMNIEŃ!
PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI ZE STANU
WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA:**

MUZEUM.SUPERHISTORIA.PL

UDZIAŁ W T

Po raz pierwszy „uroki” stanu wojennego dotkliwie odczułam, gdy wieczorem wracałyśmy z mamą autobusem ze szkoły muzycznej. Oczy piekły przez dwa dni, zaczerwienienie schodziło dłużej.

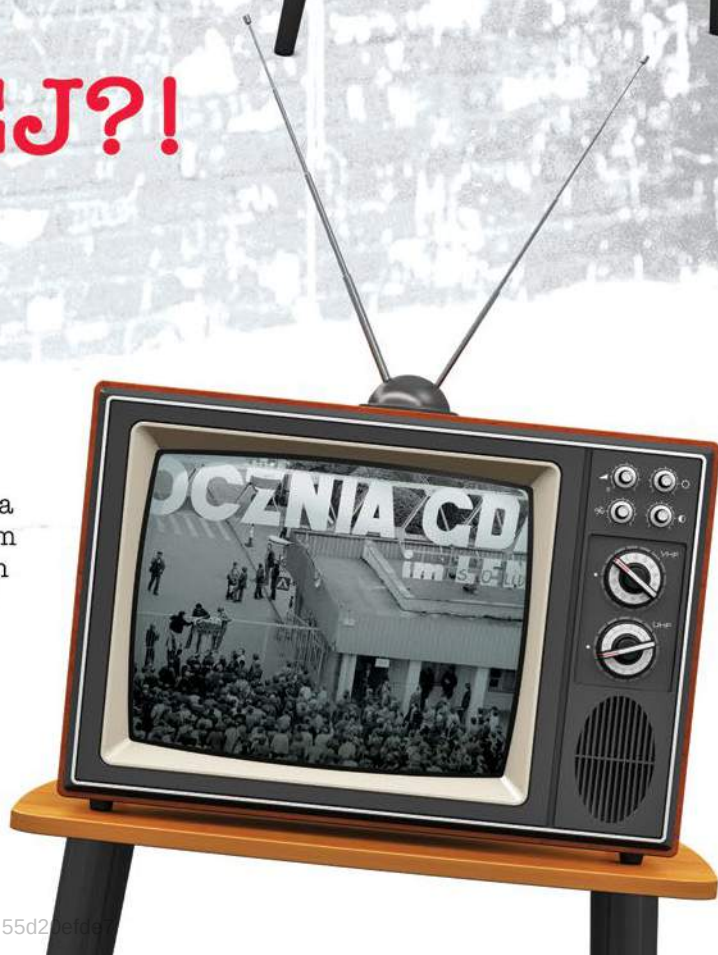
Katarzyna, woj. śląskie

BYŁO LEPIEJ?!

Grudzień był mroźny. Pusty. Nigdzie żywego ducha.

Nie było samochodów ani autobusów. Lodowata mglista ciemność, tu i ówdzie tylko rozproszona słabym światłem latarni. I nagle z tej pustki po drugiej stronie ulicy wyłoniła się skulona, spiesząca się gdzieś przed siebie postać mężczyzny. Pamiętam swoje przerażenie, z jakim go obserwowałam. Co on robi? Czemu nie siedzi w domu? Czemu ryzykuje? Ot, 9-letnie zmartwienia...

Paulina Hallala





INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



NEB
NEMZETI EMLÉKEZET BIZOTTSÁG

zapraszają na
międzynarodową konferencję naukową

Papież zza żelaznej kurtyny

Wpływ pontyfikatu Jana Pawła II
na państwa i Kościoły bloku sowieckiego

Nie lękajcie się

9–10 października 2018

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
ul. Krupnicza 33, Auditorium Maximum

12 października 2018

Parlament Węgierski w Budapeszcie
Kossuth Lajos tér 1-3

Patronat honorowy



RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Marszałek Sejmu Marek Kuchciński



ORSZÁGGYŰLÉS



Patronat medialny

DZIENNIK POLSKI

DO RZECZY

TVP 3
KRAKÓW

RADIO
KRAKÓW

GOŚC
NIEDZIELNY

niedziela

pap
POLSKA AGENCJA PRASOWA

DZIEJE.PL
PORTAL
HISTORYCZNY

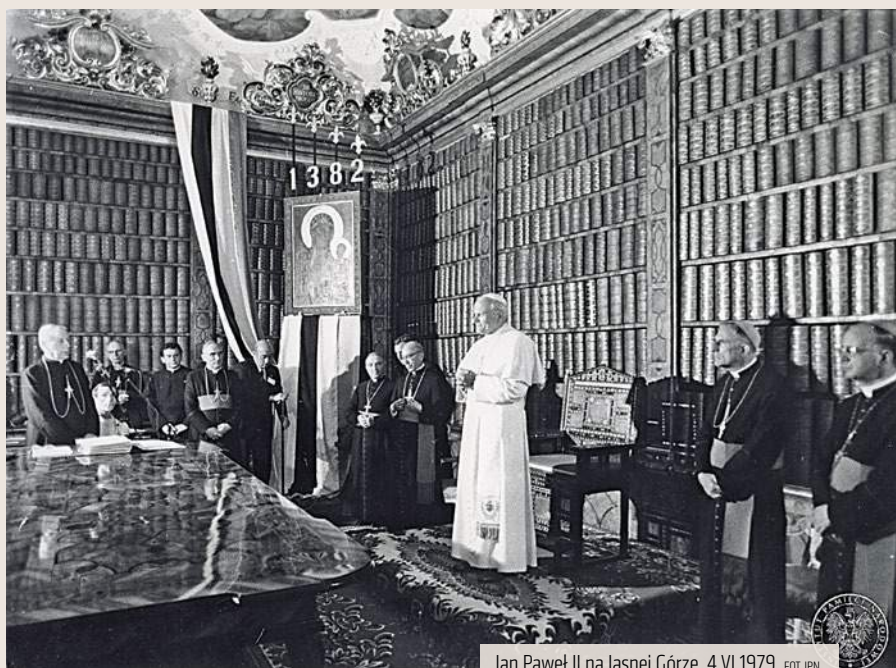
ipn.gov.pl | neb.hu

Pontyfikat przełomu



Filip Musiał
dyrektor Oddziału IPN w Krakowie,
profesor Akademii Ignatianum

„Nie bójcie się, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi. Dla Jego zbawczej władzy otwórzcie granice państw, systemów ekonomicznych i politycznych, szerokie dziedziny kultury, cywilizacji, rozwoju! Nie bójcie się!” – mówił Jan Paweł II w homilii w czasie mszy świętej uroczystie rozpoczynającej jego pontyfikat.



Jan Paweł II na Jasnej Górze, 4 VI 1979. FOT. IPN

Dla niego wezwanie to miało znaczenie na wskroś teologiczne. Jednak konsekwencje jego działań, znaczenie jego pontyfikatu daleko wybiegały poza sferę wiary. Wywarł doniosły wpływ na rozwój sytuacji geopolitycznej, przyczyniając się do upadku komunizmu na świecie.

PERSPEKTYWA PIERWSZA – PRL

Wybór kard. Karola Wojtyły na papieża zmienił diametralnie sytuację Kościoła w PRL. Z Kościoła uciskanego stał się trzecią siłą pomiędzy władzami reżimu

a opozycją – siłą mediacyjną. Kończył się czas represji – także tych administracyjnych i finansowych, choć reżim dotkliwie, do 1989 r., uderzał w duchownych wspierających opozycję. Wystarczy przywołać nazwiska księży: Jerzego Popiełuszki, Stefana Niedzielaka, Stanisława Suchowolca czy Sylwestra Zycha.

W wymiarze społecznym wybór papieża-Polaka skutkował przede wszystkim przełamaniem bariery strachu przed systemem totalitarnym i jego policją polityczną. A ten fakt miał z kolei kluczowe znaczenie dla uruchomienia procesów

wolnościowych nie tylko w PRL, ale w całym bloku wschodnim.

Kolejne papieskie pielgrzymki do Polski zmieniały rzeczywistość polityczną. Pierwsza, z 1979 r., miała decydujący wpływ na świadomość Polaków. Przekonała ich, że to komuniści znajdują się w mniejszości, dała siłę płynącą ze wspólnoty. Bez niej – jak się wydaje – nie byłoby Sierpnia 1980 r., nie byłoby „Solidarności”. Druga – z 1983 r., wlewała otuchę w serca po ciemnej nocy stanu wojennego. Trzecia – z 1987 r., w paraliżującej degrengoladzie „epoki Jaruzelskiego” budziła nadzieję, była świadectwem, że nie wszystko stracone. A przecież między pierwszą a drugą pielgrzymką był także głośny papieski protest wobec wprowadzenia w Polsce stanu wojennego.

Jan Paweł II stawał się niekwestionowanym patronem wolnościowych dążeń Polaków. Był, tak jak wcześniej kard. Stefan Wyszyński, interrexem – prawdziwym przywódcą narodu. Nie przez przypadek rodząca się masowa opozycja manifestacyjnie podkreślała swe związki z Kościołem, a na msze święte chodzili nawet niewierzący opozycjoniści, by w ten sposób podkreślać swój sprzeciw wobec reżimu. Papieskie portrety towarzyszyły kolejnym etapom zrywów do wolności, będąc – na przykład na bramie gdańskiej stoczni w 1980 r. – materialnym dowodem znaczenia Jana Pawła II dla tych, którzy z komunizmem walczyli. Wkrótce miało się okazać, że zgodnie z papieskim wezwaniem granice systemów politycznych zostały otwarte... I wtedy gdy system słabł, dla komunistów Kościół stał się ważnym punktem odniesienia – gwarantem porozumień zawieranych z opozycją przy „okrągłym stole”.

PERSPEKTYWA DRUGA – BLOK SOWIECKI

Wybór papieża Słowianina miał też wpływ na sytuację w bloku sowieckim. Rozumiał on przecież istotę czerwonego totalitaryzmu, znał narzędzia jego działania, doświadczył tego, że kłamstwo jest dla Sowietów drugą naturą.



Jan Paweł II w Warszawie, 2 VI 1979 r. FOT. IPN



Jan Paweł II na Jasnej Górze, 4 VI 1979 r. FOT. IPN

■ Gdy na forum ONZ w 1979 r. Jan Paweł II mówił o prawach człowieka, akcentując wolność sumienia, gdy piętnował systemy ateistyczne reprezentanci bloku sowieckiego niespokojnie wierzili się na krzesłach. Gdy po wprowadzeniu w PRL stanu wojennego pisał do sekretarza generalnego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, Leonida Breżniewa, z troską o sytuację w „ludowej” Polsce, dla moskiewskiego satrapy było w pełni czytelne, jakie przesłanie kryje się pod dyplomatycznymi sformułowaniami.

Sowieci rozumieli, jakie mogą być konsekwencje działań papieża-Polaka. Zamach na Jana Pawła II, w który zaangażowane były bułgarskie tajne służby miał zatrzymać tę aktywność, która przyspieszała dekompozycję sowieckiego imperium.

Sowieci dostrzegali przecież proces rekatalizacji państw bloku wschodniego, będący efektem oddziaływania na nie Jana Pawła II. Dostrzegali też, że wierni w ZSRS nawiązywali coraz więcej kontaktów z wiernymi w państwach satelickich. Nie pozostawali obojętni na papieskie próby pielgrzymowania do republik sowieckich. A także na jego kontakty z cerkwią prawosławną. Choć dzięki głębokiej penetracji agenturalnej cerkwi, KGB starało się wykorzystać papieski dialog z prawosławnymi hierarchami do realizacji własnych celów. Jednak Jan Paweł II był tego świadom, co większość tych prób paraliżowało.

KGB uznawało za niezwykle niebezpieczne przeorientowanie polityki Kościoła z formuły „Kościoła wojującego” na formułę „Kościoła miłującego”. Przynosiła ona znacznie lepsze efekty w krajach zdominowanych przez sowietów. Papież natomiast konsekwentnie próbował prowadzić dialog z Moskwą, po to by stwarzać nową rzeczywistość ewangelizacyjną, by poprawić sytuację wiernych, stworzyć szanse pracy duszpasterskiej.

Sowiecki ateizm przegrał, a do ZSRS zaczęły sączyć się posoborowe wartości, także demokratyczne. Zyskały na tym wszystkie Kościoły i związki wyznaniowe, ale także ruchy dysydenckie – co skutkowało erozją spoistego dotąd systemu. Watykan, do przyspieszenia tego procesu, w pełni wykorzystał gorbaczowski proces pierestrojki.

PERSPEKTYWA TRZECIA – ŚWIAT

Polityka wschodnia Jana Pawła II miała więc znaczący wpływ na dekompozycję sowieckiego imperium, przyspieszając i wzmacniając procesy, które prowadziły do jego rozpadu. Ale znaczenie tego pontyfikatu wybiegało poza blok wschodni, przyczynił się on bowiem do załamania charakterystycznego dla drugiej połowy XX w. podziału świata na blok kapitalistyczny, blok sowiecki i Trzeci Świat. Papież-Polak, choć nie stawiał sobie nigdy celów politycznych przyczynił się do nadania światu nowej dynamiki geopolitycznej.



Abp Karol Wojtyła, metropolita krakowski w Rychwałdzie, 18 VII 1965 r. FOT. IPN

Znaczącą rolę w tym procesie odegrali działania ekumeniczne, bowiem podziały wyznaniowe nakładają się w wielu regionach na podziały polityczne. Ustanowienie w 1979 r. dialogu teologicznego między Kościołem katolickim a prawosławnym było znaczącym przełomem. Po tym wydarzeniu nastąpiła wizyta w rzymskim kościele luterańskim, przemówienie do muzułmanów w Casablance, czy pierwsza w dziejach papieska wizyta w synagodze. Za kulminację tego procesu uznać należy międzyreligijne spotkanie modlitewne w intencji pokoju na świecie w Asyżu w 1986 r. Jan Paweł II, zgodnie ze swym wezwaniem konsekwentnie przekraczał granice państw, wyznań, przewyższał istniejące podziały, zwracając się także w stronę globalnych problemów społecznych i ekonomicznych. Tam też wi-



Reakcja na wybór „w dalekim” kraju



Łucja Marek
Oddział IPN w Krakowie

Lud rzymski i wierni zgromadzeni na placu przed Bazyliką Świętego Piotra przyjęli entuzjastycznie wybór na papieża biskupa „z daleka” – jak sam o sobie powiedział Jan Paweł II. W kraju komunistycznym, z którego przybył, radość, dumą, łączy, a także niedowierzanie polskiego narodu przeplatały się z obawą i lękiem władz.

EUFORIA I „SATYSFAKCJA”

Każde słowo wypowiedziane przez Jana Pawła II tuż po ogłoszeniu jego wyboru było przyjęte burzą oklasków. „Czegoś podobnego nie słyszałem” – zanotował prymas kard. Stefan Wyszyński, obecny na balkonie, z którego przemawiał nowy papież. Na pytanie jak na to wydarzenie zareaguje „governo comunista” (rząd komunistyczny) Wyszyński odrzekł – na pół przewrotnie na pół ironicznie: „Będą zadowoleni, że właśnie z Polski komunistycznej wyszedł papież”. Istotnie w depeszy gratulacyjnej przedstawiciele najwyższych władz polskich, Edward Gierek, Henryk Jabłoński i Piotr Jaroszewicz, pisali o „wielkiej satysfakcji” z tego, że wybór padł na „syna polskiego narodu, budującego w jedności i współdziałaniu wszystkich obywateli wielkość i pomyślność swej socjalistycznej ojczyzny”. Rzeczywiste nastroje władz były odmienne. Gierek, przywódca hegemonicznej partii stwierdził, że „jest to wielki dzień dla Polski i wiele kłopotów dla nas”.

PRZEJMUJĄCA CISZA

W dniu historycznego konklawe w poniedziałek 16 października 1978 r., z Warszawy do Olsztyna jechała polska delegacja na II Forum Polska – Republika Federalna Niemiec. Byli tam posłowie, dziennikarze, pracownicy nauki, działacze gospodarczy, w tym kilku wyższych funkcjonariuszy aparatu władzy i członków Komitetu Centralnego PZPR. Gdy wieczorem z chrypiącego radia, włączonego przez kierowcę, usłyszeli iż nowym papieżem został wybrany arcybiskup krakowski kardynał Karol Wojtyła, w gwałtownym autokarze „zapadła nagle przejmująca cisza” – zapisał Janusz Zabłocki, działacz katolicki, jeden z pasażerów. „Dawało się odczuć, że – poza krańcowym zaskoczeniem – przeżywają wszyscy wewnętrzne rozdarcie”. Rozdarcie między dumą narodową a analizą partyjną. Wybór Wojtyły podnosił pozycję Polski na arenie międzynarodowej i wzmacniał pozycję Kościoła w Polsce, a jednocześnie zwiastował kierownictwu partii „nowe trudności” i osłabiał pozycję PRL w bloku socjalistycznym. Podobne, jak Zabłocki, odczucia i refleksje miał Mieczysław Rakowski, współpasażer autokaru. Pomyślał: „już słyszę, jak w Moskwie mówią: no, teraz Polacy mają w Waszyngtonie Brzezińskiego, a w Rzymie Wojtyłę”.

„HISTORIA RUSZYŁA NAPRZÓD”

Służba Bezpieczeństwa i administracja wyznaniowa donosiły o entuzjastycznej reakcji społeczeństwa na wybór papieża Polaka, o wzmocnieniu dumy narodowej Polaków. Euforia udzieliła się niemal wszystkim środowiskom. Niektórzy dziennikarze (np. „Polityka”) „zachowywali się tak jakby już jutro miało dojść do zmiany rządów komunistycznych w Polsce” – zanotował Rakowski. Sowieccy towarzysze próbowali wyjaśnić wybór Wojtyły teorią spiskową. Według nich była to zmowa amerykańskich i niemieckich kardynałów inspirowanych przez CIA, a za całą sprawą musiał stać Zbigniew Brzeziński, antykomunista i doradca prezydenta Jimmy’ego Cartera. Aleksander Merker, zastępca dyrektora Urzędu do spraw Wyznań, racjonalizował wybór Wojtyły i zgodnie ze stanem faktycznym pisał, że doszło do niego wzajemnego „zablokowania się” dwóch włoskich kandydatów. „Przez kraj przeszedł dreszcz, absolutny, autentyczny wstrząs – historia ruszyła przecież naprzód w tym sowieckim grajdółku” – spuentował prognostycznie Stefan Kisielewski.

dział pole do polepszenia sytuacji osoby ludzkiej dzięki chrześcijańskiej wrażliwości na bliźniego.

SKRAWEK CAŁOŚCI

Karol Wojtyła jest jedną z nielicznych osób w dziejach, które potrafiły swymi działaniami zmieniać świat. A powyżej nakreślony został tylko jeden z bardzo wielu wymiarów tego trwającego 27 lat pontyfikatu, i to jeszcze ograniczony do lat 1979-1991. Komunizm zapewne by i tak upadł, bo jednym z głównych mechanizmów rozsadzających go od środka była niewydolność gospodarcza. Ale czy bez Jana Pawła II ten upadek nastąpiłby już końcem lat 80.? Czy bez Papieża z żelaznej kultury zbrodniczy reżim upadłby w sposób, na ogół, bezkrwawy?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polska
i Lwów

Czy można sobie wyobrazić Polskę bez Warszawy? No cóż, bądźmy szczerzy – Polskę bez Warszawy można sobie wyobrazić. A czy można sobie wyobrazić Polskę bez Lwowa? No, to już gorzej”. Słowa te usłyszałem wiele lat temu od dziadka. Chociaż mówił pół żartem, pół serio, to coś było na rzeczy. Dla jego pokolenia myśl o tym, że Miasto Zawsze Wierne miałoby się znaleźć poza Rzeczpospolitą, była czymś niewyobrażalnym.

To, co wydawało się niewyobrażalne, w latach 1944–1945 stało się rzeczywistością. Czerwony potwór połknął połowę II Rzeczypospolitej. Lwów – jedna z najważniejszych polskich metropolii – znalazła się w granicach Związku Sowieckiego. O koszmarze, który się tam wówczas rozegrał, opowiada świetna książka Damiana Karola Markowskiego „Anatomia strachu”.

To studium brutalnej sowietyzacji obwo-
du lwowskiego w latach 1944–1953.

A więc przede wszystkim opowieść o zgnieceniu antykomunistycznego oporu autochtonicznej ludności – zniszczeniu przez sowieckie organa bezpieczeństwa lwowskich struktur AK i UPA. Także o masowych wypędzeniach Polaków i represjach, które spadły na Cerkiew greckokatolicką i Kościół rzymskokatolicki. Bardzo ciekawy jest rozdział książki poświęcony sowietyzacji ludności.

„Lwów jest obecnie miastem ukraińskim. Sztuczna i wymuszona ukrainizacja Lwowa w latach 50., która była możliwa dzięki napływowi do miasta wschodniogalicyskiej ludności wiejskiej, przynajmniej częściowo uchroniła miasto przed gruntowną i niszczytelką sowietyzacją. Nie można jednak godzić się na fałszowanie historii i na zacieranie śladów tego, że oprócz Ukraińców kształt temu ośrodkowi nadawały przez długi czas inne narodowości, a przede wszystkim Polacy, samo miasto zaś przez stulecia było jednym z głównych centrów kulturalnych Rzeczypospolitej. Lwów na zawsze pozostanie częścią Polski w wymiarze kultury, historii i tradycji. Nie ma historii Lwowa bez Polski ani historii Polski bez Lwowa” – pisze Markowski.

Dobrze napisane! ☺☺



★★★★★
DAMIAN KAROL
MARKOWSKI
„ANATOMIA
STRACHU”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Bracia Litwini”
w Wilnie

A tak sowiecki na Polskę we wrześniu 1939 r. oddał pod władzę Kremla ponad połowę terytorium naszego kraju. Niewielką część zdobyczy Sowieci przekazali Litwie na mocy porozumienia z 10 października, było to Wilno wraz z przylegającymi obszarami. Gdy kilkanaście dni później do grodu Giedymina wkroczyła

turalne, szkoły i Uniwersytet im. Stefana Batorego, a miasto sprawiło wrażenie polskiej enklawy.

Niebawem jednak przystąpiono do jego lituanizacji, zaczęło się od zmiany nazw ulic, usunięto nawet te mające średniowieczny rodowód. Rozwiązano polskie organizacje zawodowe, społeczne i polityczne, a do urzędów wprowadzono język litewski. Ograniczono wydawanie polskiej prasy, a najlepszą metodą okazało się zmniejszenie przydziału papieru („Kurier Wileński” zaczął ukazywać się na papierze pakowym!!!). Ludność podzielono na obywateli, uchodźców i cudzoziemców, a do ostatniej kategorii zaliczono wszystkich, którzy nie chcieli przyjąć litewskich paszportów. W połowie grudnia zlikwidowano polski uniwersytet – większość kadry naukowej (ponad 300 osób) niemal z dnia na dzień pozabawiono pracy i służbowych mieszkań. Ten sam los spotkał studentów, których usunięto z akademików, a w miejscu rozwiązanej uczelni powstał uniwersytet litewski. Większość wykładowców pochodzących z uniwersytetu w Kownie nie miała specjalnej ochoty na przeprowadzkę do Wilna, uważając miasto za zbyt niebezpieczne, a jego los – niepewny. Woleli dojeżdżać blisko 100 km na zajęcia i wykłady. Niebawem przestało to mieć większe znaczenie.

W czerwcu następnego roku doszło do przewrotu komunistycznego, a kilka tygodni później Litwa została włączona do ZSRS. Zaczynała się nowa, tragiczna epoka. ☹☹

**Do ostatniej kategorii
zaliczono wszystkich,
którzy nie chcieli
przyjąć litewskich
paszportów**

armia litewska, rząd w Kownie wydał odezwę zapowiadającą łagodne i kompromisowe rządy: „Przychodzimy, bracia, nie ciemnić, lecz kochać, nie burzyć, lecz budować. Przychodzimy, niosąc porządek i pracę. Przynosimy prawo i sprawiedliwość. Litwa jest ojczyzną nas wszystkich i my wszyscy, jej synowie i córki, mamy równe prawa i jednaką jej miłość i szacunek. Nie ma na Litwie zwyczaju przesładować za wiarę i mowę bądź przekonania poszczególnych ludzi”.

Władze w Kownie były zaskoczone siłą polskiego żywiołu nad Wilnią, najwyraźniej uwierzono we własną propagandę głoszącą, że jest to „litewskie miasto”. Konsternacja była tak wielka, że zrezygnowano nawet z przeniesienia do Wilna stolicy państwa. Dlatego początkowo ukazywała się polska prasa, działały polskie placówki kul-

OFERTA SPECJALNA. TYLKO TERAZ W PAKIECIE Z E-WYDANIEM

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

**Prenumerata
półroczna tygodnika
„Do Rzeczy”, w prezencie
pakiet książek**

G. Majchrzak
„Tajna historia futbolu”



+
e-wydanie



Cena: 140 zł
Oszczędność: 219 zł

H. Kowalik
„PeeReL z za krat”



**Prenumerata roczna pakietu
tygodnik „Do Rzeczy”
i miesięcznik
„Historia Do Rzeczy”,
w prezencie koszulka
patriotyczna
„Polski Orzeł”**

+
e-wydanie



Cena: 289 zł
Oszczędność: 394 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JĘŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 55d20efde7



Jacek Przybylski

Psycholożka w USA nagle oświadczyła, że 36 lat temu była molestowana przez kandydata na sędziego Sądu Najwyższego. W takich sprawach w Ameryce to od oskarżonych żąda się, aby ponad wszelką wątpliwość udowodnili swą niewinność

Niespodziewane zeznania jednej z mieszkanek Stanów Zjednoczonych utraciły marzenia o szybkim i bezproblemowym awansie Bretta Kavanaugha do Sądu Najwyższego.

W amerykańskim ustroju politycznym Sąd Najwyższy ma fundamentalne znaczenie. Do dziewięciorga sędziów należy także ostatnie słowo w najbardziej kontrowersyjnych sprawach – od legalizacji aborcji i małżeństw jedнопłciowych, poprzez prawo cukiernika do odmowy upieczenia tortu dla gejowskiej pary, do preferencyjnego traktowania mniejszości rasowych przy przyjmowaniu na wyższe studia.

W 2015 r. decydujący głos za legalizacją małżeństw gejów i lesbijek oddał Anthony Kennedy, sędzia nominowany 30 lat temu przez prezydenta Ronalda Reagana, który w wieku 81 lat ogłosił chęć odejścia na dobrowolną emeryturę. Po odejściu Kennedy'ego zwolennicy prawicy mają szansę na odwrócenie kilku ważnych decyzji w sprawach światopoglądowych. Kandydat nominowany przez Donalda Trumpa dołączy bowiem do takich konserwatywnych sędziów jak John Glover Roberts (prezes SN), Clarence Thomas, Samuel Anthony Alito czy też Neil McGill Gorsuch. Gdy prezydent Trump ogłosił, że chce, aby miejsce Kennedy'ego zajął 53-letni Brett Kavanaugh – absolwent prawa na prestiżowym Uniwersytecie Yale, szanowany sędzia z długim stażem w federalnych sądach, a obecnie sędzia Sądu Apelacyjnego w Waszyngtonie – lider mniejszości demokratycznej w senacie Chuck Schumer zapowiedział, że będzie walczył z tą nominacją „wszelkimi możliwymi środkami”.

Demokraci mają wiele powodów, aby nie lubić Kavanaugha. Sędzia, który



Christine Ford nie ma żadnych dowodów na to, że była molestowana. Zeznała jednak, że jest na 100 proc. pewna, iż jej oprawcą był Brett Kavanaugh FOT. MICHAEL REYNOLDS/XINHUA/EAST NEWS

Polowanie na

utrzymuje bliskie relacje z rodziną prezydenta George'a W. Busha, ma opinię przeciwnika aborcji. Pracował też nad prawnymi ramami śledztwa, które miało doprowadzić do impeachmentu Billa Clintona za jego romans z Monicą Lewinsky.

SKANDAL NA WIELKĄ SKALĘ

W bezwzględnej walce znacząco pomogła Schumerowi pani Christine Ford. Zarejestrowana zwolenniczka Partii Demokratycznej i wykładowca psychologii na kalifornijskiej uczelni oskarżyła Kavanaugha o molestowanie seksualne, do którego miało dojść 36 lat temu na jednej z licealnych prywatek. Na poparcie swoich słów nie przedstawiła dotąd żadnych dowodów. Żadnych świadków. Niczego poza własnymi wspomnieniami. Jak przekonywała, zdecydowała się teraz opowiedzieć o traumatycznym wydarzeniu sprzed niemal czterech dekad, bo nie mogła znieść myśli, że jej oprawca zajmie jeden z najważniejszych urzędów w państwie. Swoją historię opisała więc w liście do demokratycz-

nej senator Dianne Feinstein, a potem opowiedziała o niej w wywiadzie dla „Washington Post”.

Wspomniany senator Schumer oznajmił, że w przypadku Kavanaugha „nie ma żadnego domniemania niewinności”. – Trzeba poznać fakty, a następnie pozwolić senatowi oraz narodowi amerykańskiemu zdecydować nie o winie lub niewinności danej osoby, lecz o tym, czy zasługuje ona na objęcie takiego urzędu – przekonywał w rozmowie z dziennikarzami lider mniejszości demokratycznej w senacie, który marzy o tym, aby wkrótce zostać przywódcą demokratycznej większości. Przesłuchania w sprawie sędziego przed senacką komisją z zapartym tchem śledzili więc nie tylko politycy z pierwszych stron gazet, lecz także zwykli zjadacze hamburgerów.

Pod koniec września, zeznając pod przysięgą przed komisją senacką, pani Ford oświadczyła, że Kavanaugh 36 lat temu podczas imprezy zwabił ją do sypialni, a następnie miał ją molestować. Sama nie pamiętała, ani gdzie dokładnie odbyła się prywatka, ani ile



Brett Kavanaugh przysięgał na Najwyższego Boga, że nigdy nie molestował pani Ford ani żadnej innej kobiety. FOT. TING SHEN/XINHUA/EAST NEWS

czarowników

było na niej osób, ani jak i z kim się na nią dostała. Twierdziła jedynie, że jest „w stu procentach pewna”, że 17-letni wówczas Kavanaugh rzucił ją na łóżko, zatkał ręką jej usta i próbował zdebrzeć z niej ubranie. Według pani Ford, gdyby jej napastnik nie był tak bardzo pijany, jak był, zostałaaby wówczas zgwałcona. Psycholożka twierdzi, że o incydencie pierwszy raz wspomniała w roku 2012 podczas terapii małżeńskiej.

Tego samego dnia – również zeznając pod przysięgą – sędzia Kavanaugh oświadczył, że nie molestował pani Ford. Na poparcie swoich słów przedstawił również dowód: kalendarz z 1982 r., z którego wynika, że w terminie, w którym według oskarżycielki miał kogoś molestować, nie mógł być na żadnej prywatce, ponieważ przebywał poza rodzinnym miastem. Sędzia przypominał również, że awansując na kolejne szczeble wymiaru sprawiedliwości, był aż sześciokrotnie sprawdzany przez agentów FBI, którzy dokładnie weryfikowali, czy nie ma na sumieniu jakichś przestępstw.

Pewne jest tylko jedno: ktoś w tej sprawie kłamał pod przysięgą. Sprawę komplikował fakt, że po ujawnieniu całej historii o molestowaniu przez sędziego przypomnieli sobie jeszcze co najmniej dwie kobiety. Wiarygodność jednej z nich – Julie Swetnick – znacząco

Pewne jest jedno: ktoś w tej sprawie kłamał pod przysięgą. Niezależnie od tego, kto to był, na skandalu zyskują demokraci

podważyły jednak zarówno opowieści jej byłego partnera, jak i wywiad udzielony przez panią Swetnick telewizji NBC, w którym zaczęła się ona wycofywać przynajmniej z części oskarżeń. Na jaw wyszło również, że kobieta została oskarżona przez byłego pracodawcę o fałszowanie informacji dotyczących jej wykształcenia, a także o przygotowanie

fałszywych oskarżeń o molestowanie seksualne.

Jednocześnie w obronie sędziego wystąpiło publicznie 65 kobiet. „Znamy Bretta Kavanaugha od ponad 35 lat i znałyśmy go w momencie uczęszczania do liceum od 1979 do 1983 roku. Przez cały ten czas znałyśmy Bretta Kavanaugha, postępował honorowo i traktował kobiety z szacunkiem” – napisały sygnatariuszki listu, zaznaczając, że choć różnią je poglądy polityczne, to Kavanaugh „zawsze był dobrym człowiekiem”.

Członkowie senackiej komisji zarekomendowali więc senatowi zatwierdzenie kandydatury sędziego Kavanaugha. Głosowanie odbyło się już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy”.

BEZWZGLĘDNA GRA

Niezależnie od tego, kto mówił prawdę, a kto kłamał w żywe oczy, na całej sprawie już teraz zyskują politycy z Partii Demokratycznej. Próba zablokowania nominacji konserwatysty, który 36 lat wcześniej teoretycznie mógł molestować jakąś kobietę, może ułatwić wywołanie wrażenia, że Partia Republikańska to banda podstarzałych białych zboczeńców, którzy czyhają tylko na bezbronne kobiety, i przysporzyć demokratom głosów Amerykanek podczas listopadowych wyborów do Kongresu.

Poza tym lewica liczy na zmianę rozkładu sił w senacie. Obecnie Partia Republikańska ma w nim przewagę za ledwie dwóch głosów. Jeśli po wyborach to demokraci będą mieli większość, to mogą próbować zablokować nominację kandydata Donalda Trumpa i utrzymać wakat w Sądzie Najwyższym do momentu, gdy – jak marzy się lewicy w Ameryce – w 2020 r. dojdzie do zmiany gospodarstwa w Białym Domu.

Jest rzeczą oczywistą, że kandydat na jedno z najbardziej prestiżowych stanowisk w kraju powinien być nieskazitelny. Cała sprawa przywołuje jednak na myśl procesy czarownic.

Jeśli bowiem sędzia Kavanaugh jest niewinny, to został on postawiony przed wyborem rodem z greckiej tragedii: zrzeczenia się awansu na wymarzone stanowisko pod naciskiem pomówienia lub skazanie na porażkę próby udowodnienia niewinności „ponad wszelką wątpliwość” w sporze, w którym najważniejszymi dowodami są słowa domniemanej ofiary i domniemanego sprawcy. Mimo że Kavanaugh przedstawił dowód, iż feralnego

Dnia nie był w mieście, w którym odbyła się licealna prywatka, i tak smród potężnego napastnika seksualnego będzie się za nim ciągnął do końca kariery. Ameryka nagle zapomniła bowiem o zasadzie, która sięga swymi korzeniami prawa rzymskiego i która jest gwarantowana przez Powszechną deklarację praw człowieka i europejską konwencję praw człowieka. Pomówienia nie wymagają dowodów. Publiczna egzekucja wykonywana jest niemal natychmiast. Nawet Franz Kafka nie mógłby w to uwierzyć. Ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych nie mieliby zaś w dzisiejszej Ameryce żadnych szans na najważniejsze stanowiska.

NAGONKA NA BRAZylijskiego DONALDA TRUMPA

Zmasowana akcja kobiet, środowisk lewicowych i LGBTQ pod hasłem „On – Nie, On – Nigdy” miała również uniemożliwić wygraną w wyborach prezydenckich prawicowemu kandydatowi w Brazylii (pierwsza tura odbyła się 7 października). Jair Bolsonaro wśród wrogów ma opinię rasisty, seksisty i homofoba.

63-letni były wojskowy, który od początku lat 90. zasiada w parlamencie, podpadł lewicowym działaczom, ponieważ podobnie jak prezydent USA Donald Trump na każdym kroku ignoruje zasady politycznej poprawności. Jest przeciwnikiem aborcji i sprzeciwia się małżeństwom osób tej samej płci. W wywiadach opowiadał, że wolałby, aby jego syn zginął w wypadku, niż okazał się gejem. Przekonywał także, że jego dzieci nie mogłyby być homoseksualistami, ponieważ są zbyt dobrze wykształcone. I ostrzegał przed fundamentalistycznymi grupami LGBTQ, które próbują dotrzeć do dzieci, aby zrobić z nich później homoseksualnych dorosłych.

Wyborczniom podpadł, bo ma już trzecią żonę i publicznie przekonuje, że nie uważa, iż mężczyźni i kobiety powinni zarabiać tyle samo. Przed laty powiedział również w wywiadzie o lewicowej parlamentarzystce Marii do Rosario, że „jest zbyt brzydka, żeby chcieć ją zgwałcić”. Dzień przed udzieleniem wywiadu Rosario nazwała go jednak w parlamencie gwałtcielnym. Za swoje słowa i tak został jednak ukarany grzywną. Na niewielu wyborcach zrobiło to szczególne wrażenie, bo w Brazylii mniej więcej jedna trzecia parlamentarzystów miała



Przeciwko Bolsonaro protestowało we wrześniu wiele kobiet oraz osób ze środowisk LGBT. FOT. SILVIA IZQUIERDO/AP/EAST NEWS

wówczas na koncie wyroki za przestępstwa, od oszustw do morderstw.

Na początku września obecnego roku podczas jednego z wieców przedwyborczych został ugodzony nożem. W ciężkim stanie trafił do szpitala. Jego życie zostało uratowane, a notowania w sondażach poszybowały w górę. Gdyby w wyborach głosowali wyłącznie mężczyźni, Bolsonaro wygrałby już w pierwszej turze. Nie popiera go jednak ponad 40 proc. kobiet. Akcja #EleNao (#NieOn) poparło wiele Brazylijek i celebrytek w różnych krajach świata, od Szwecji do Wielkiej Bryta-

W badaniach opinii publicznej Bolsonaro zajmował wciąż pierwsze miejsce z wyraźną przewagą nad rywalami. Drugi w wyścigu Fernando Haddad – kandydat lewicowej Partii Pracujących – miał zaś w sondażach o 9 punktów procentowych mniej.

Zdaniem wielu zwolenników konserwatysty to bowiem jedna z nielicznych osób, która może rozwiązać problem rosnącej przestępczości w kraju będącym po latach głębokiej recesji w koszmarnie złej kondycji finansowej. W realizacji innych obietnic kandydatów po obu stronach sceny politycznej – jak reformę edukacji czy systemu opieki zdrowotnej – i tak nie ma co wierzyć. Żaden zwycięzca po prostu nie będzie miał na nie pieniędzy.

Przeciw prawicowemu kandydatowi w Brazylii lewicowa opozycja zorganizowała więc pod koniec września gigantyczne demonstracje w ponad 100 miastach kraju. Wzięło w nich udział ok. 4 mln z 208 mln obywateli. Oczywiście łatwiej byłoby po prostu poprzeć swojego polityka. Socjaliści mają z tym jednak problem, bo były prezydent Luiz Inácio da Silva – jedyny człowiek lewicy, który mógłby pokonać Bolsonaro w pierwszej turze – został w tym roku skazany za korupcję na 12 lat więzienia. Politycznym wrogiem najłatwiej jest więc przyklejać łatki seksisty. Czy to wystarczy, aby pogrzebać szanse kandydata na prezydenta? Przekonamy się jeszcze w październiku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**Gdyby nie sprzeciw kobiet
konserwatysta Jair Bolsonaro
mógłby zostać prezydentem
już w pierwszej turze
wyborów**

nii. Hasła Bolsonaro – który chce m.in. ułatwić Brazylijczykom dostęp do broni – podobają się jednak również wielu mieszkankom Brazylii. Na konserwatystę zamierza więc głosować średnio co piąta Brazylijka (prawicowy kandydat cieszy się jednak poparciem ponad 30 proc. najlepiej zarabiających kobiet w kraju). Akcja #EleNao sprawiła zaś paradoksalnie, że poparcie dla konserwatysty wśród Brazylijek w ostatnim tygodniu przed wyborami istotnie wzrosło.



#METOO, ALE JEDNAK NIE

Michael Moore to taki amerykański reżyser filmów dokumentalnych, który w dokumentach manipuluje faktami. Za filmy dostaje nagrody, a za swoje wypowiedzi – łomot w Internecie. Niedawno, podpinając się pod akcję #MeToo, sugerował, że należy wierzyć wszystkim kobietom. W ten sposób komentował oskarżenie bez dowodów jednego z kandydatów do Sądu Najwyższego. We własnym sporze sądowym z byłą żoną twierdzi, że ta kobieta kłamie. W sieci szybko przypomniano mu, co pisał przed chwilą...

FOT. INVISION/AP/EAST NEWS

NAPISAĆ „KOBIETA” TO SIĄĆ NIENAWIŚĆ

Feministki nie mają łatwo. Jeszcze nie doprowadziły do końca walki z mężczyznami o swoje prawa, a już otworzył im się kolejny front walki – tym razem ze strony osób transpłciowych. Otóż jedna z feministek wywiesiła w Londynie billboard z definicją słowa „kobieta” – czyli „żeński dojrzały płciowo osobnik z rodzaju homo”. Aktywista LGBT uznał taki plakat za przejaw „mowy nienawiści” oraz „element transfobicznej kampanii”. Nie spodobało mu się, żeby traktować osoby transpłciowe jako kobiety. Po jego interwencji firma reklamowa, w której feministka wykupiła usługę, usunęła billboard.

LOSOWANIE ZAMIAST EGZAMINU

Burmistrz Nowego Jorku Bill de Blasio zatwierdził nowy plan rekrutacji do szkół w 15. dzielnicy Brooklynu. Od teraz połowa miejsc w placówkach nadal będzie oparta na kryteriach dotyczących wiedzy dzieci – czyli dostaną je ci, którzy świetnie się uczą – a druga połowa przeznaczona będzie dla dzieci mniej mądrych, ale za to

z rodzin o niskich dochodach, dotkniętych bezdomnością itp. A może losować też, kto zostanie burmistrzem Nowego Jorku?

ZAKOCHANY JAK TRUMP

„Zakocharaliśmy się w sobie. Naprawdę. Pisał do mnie przepiękne listy. To były wspaniałe listy” – wyznawał prezydent USA podczas niedawnego wieceu w Wirginii Zachodniej. Donald Trump wyraził się w ten sposób o listach od dyktatora Korei Północnej – Kim Dzong Una.

PINGWINY GEJE I KIDNAPERZY

Jak ujawniła pracowniczka Odense Zoo w Danii, w tamtejszym ogrodzie zoologicznym doszło do nietypowej sytuacji wśród pingwinów. Dwóch samców uprowadziło jedno pisklę, by stworzyć gejowską pingwinia rodzinę i opiekować się potomkiem. Pracownicy interweniowali i oddali pisklę prawdziwym rodzicom. A ponieważ pingwiny geje wyglądały na zasmucone, przekazano im jajo od matki, która nie mogła się nim zająć. ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Seppuku włoskiej lewicy

Polityczne samobójstwo ludzi święcie przekonanych o swojej moralnej i intelektualnej wyższości to nie jest jeden dramatyczny gest. Odbywa się małymi krokami, za to konsekwentnie. Jeszcze cztery lata temu na Partię Demokratyczną głosowało 40 proc. Włochów, dziś zrobiłoby to nieledwie 15, a notowania spadają z dnia na dzień.

Ot, weźmy choćby niedawny incydent w radzie miejskiej San Giuliano pod Mediolanem. Centroprawicowi radni chcieli poświęcić jeden z placów „ofiaram terrorystów fundamentalistów

islamskich w Europie”. Organizacje islamskie uznały te plany za prowokację, bo ich zdaniem morderstwa popełnione przez brodaczy ryczących „Allahu Akbar” nie mają nic wspólnego z religią. Gdy przyszło do głosowania, radni lewicy, bresząc o podjudzaniu do nienawiści, byli przeciw i naturalnie przegrali, tracąc kolejnych wyborców. Lewica robi kilka takich głupot tygrodniowo.

Partia Demokratyczna przegrała wybory i przestała się liczyć, ale włoskiej lewicy udało się skolonizować media (a przy okazji środowisko ludzi

kultury i sztuki). Okupacja trwa. W studiach telewizyj publicznej, kanałów informacyjnych, a także popularnej wśród intelektualistów La7 panoszą się nadal niemal wyłącznie ludzie lewicy. Luminarze lewicy głoszą z okienka dogmaty religii migranckiej i inijnej, walczą na śmierć i życie z faszyzmem, rasizmem i homofobią, których w Italii nie ma. Wszystko polane cuchnącym sosem poprawności politycznej i irtuje co najmniej 80 proc. Włochów, którzy wystawią za to lewicy kolejny rachunek już w maju w wyborach do PE. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



Tomasz P. Terlikowski

Watykan ogłosił gigantyczny sukces dyplomatyczny, a polityczne decyzje Stolicy Apostolskiej powinny być przyjmowane jak słowa Jezusa. Chiński kardynał przekonuje, że otwarto drogę do zniszczenia Kościoła w Państwie Środka

Jeśli jest jakieś słowo klucz, którym Watykan (a konkretniej najbliżsi współpracownicy obecnego papieża) jest w stanie wytłumaczyć każdą, nawet najbardziej zaskakującą z doktrynalnego punktu widzenia albo skandaliczną z politycznego decyzję, to jest to przymiotnik „duszpasterski”. Jako „duszpasterską” (choć nie ma i nie może być wątpliwości, że dotyka ona doktryny) określano decyzję o udzielaniu Komunii Świętej rozwodnikom w ponownych związkach, „duszpastersko” motywowane ma być także użycie (po raz pierwszy w historii) skrótu LGBT w watykańskim (wprawdzie tylko przygotowawczym, ale jednak) dokumencie o młodych, a teraz słyszymy, że porozumienie z Chinami też jest „duszpasterskie”, a nie „polityczne”. Opinię taką wygłosił o. Antonio Spadaro SJ, redaktor naczelny „La Civiltà Cattolica”, którego określić można nieoficjalnym rzecznikiem obecnego papieża i który pozostaje jednym z kręgu jego najbliższych doradców.

LEPIEJ? TYLKO DLA KOMUNISTÓW

W ogromnym (ciekawie napisanym) eseju nie tylko przedstawia on skomplikowaną historię relacji chińsko-watykańskich, lecz także usprawiedliwia (z ogromną pasją) obecną decyzję i uznaje, że nie ma innego wyjścia, niż ją przyjąć w duchu duszpasterskiego umysłu i otwarcia na inkulturację (tak, taki argument za tym, że Chińczycy nie mogą myśleć inaczej, a my musimy się dostosować, także pada w tekście, a jezuickie misje stanowią uzasadnienie jego przyjęcia). Kłopot polega tylko na tym, że decyzja o porozumieniu jest czysto polityczna, ma polityczne znaczenie, a jej negatywne skutki odczują ci, którzy zawsze byli Kościołowi i papieżowi wierni, pozytywnie zaś ci, którzy go zdradzili.

Pośrednio przyznaje to zresztą sam o. Antonio Spadaro w omawianym tekście,



gdy z rozbijającą szczerością przyznaje, iż „nie ma automatycznych gwarancji, że jakoś chińskiego katolickiego życia religijnego się poprawi”, bo „wyzwania pozostają”. Co oznacza ten politycznie i eklezyjalnie poprawny bełkot? Odpowiedź jest prosta. Otóż dla chińskich katolików wiernych Rzymowi nie wynika z tego dokumentu nic dobrego, a jeśli ktoś ma się z niego cieszyć, to tylko władze komunistycznych Chin i ci z chińskich katolików, którzy poszli na całkowitą współpracę z reżimem i zdradzili Stolicę Apostolską.

I, niestety, nie jest to teza przesadzona. Już teraz wiadomo, że szumnie uznane za sukces porozumienie obejmuje status jedynie biskupów wybranych bez zgody Stolicy Apostolskiej, a zatem ekskomunikowanych, ale nie dotyczy sytuacji biskupów podziemnych, którzy są prześladowani przez chińskich komunistów. Sukcesem zatem jest uznanie zdrajców, a pozostawienie samym sobie tych, którzy byli wierni. Watykan zapewnia wprawdzie, że rozmowy o tych ostatnich wciąż się toczą, i może coś będzie z nich wynikać, ale... sukces obwieszcza, zanim cokolwiek dobrego zrobił dla tych, którzy są wierni.

To nie wszystko. Porozumienie – przynajmniej tak wynika z przecieków, bo Watykan nie zdecydował się na jego ujawnienie – zawierać ma nie tylko zdjęcie ekskomunik z nielegalnie święconych biskupów i ich uznanie, lecz także nową procedurę mianowania biskupów. Chińskie władze mają wskazywać kandydatów, a Watykan – tego, który wydaje się dla niego najbardziej odpowiedni. Taka procedura oznacza – ni mniej, ni więcej – że od teraz nominacjami w chińskim Kościele rządzić będą komuniści, to oni będą wskazywać kandydatów, a Kościołowi pozostanie jedynie prawo weta. Nie jest jednak jasne, co ma się stać, jeśli „odpowiedniego” nie będzie albo Stolica Apostolska takiego nie wskaże. Czy Chiny będą mogły wybrać go same? Od którego momentu będą one miały pełną, już przez nikogo niekontrolowaną władzę nad nominacjami? Na te pytania nie ma odpowiedzi, bo... tak się składa, że od jakiegoś czasu w Stolicy Apostolskiej rządzi zasada, by nie odpowiadać na pytania, lecz jedynie wymagać posłuszeństwa.

PAPIEŻ: TO JAK DECYZJA JEZUSA

Taką drogę wskazują już nie tylko urzędnicy watykańscy, lecz także sam



Watykanu

Franciszek. Najmocniejszym tego przykładem są słowa z konferencji prasowej na pokładzie samolotu, gdy papież powracał z pielgrzymki do krajów bałtyckich. Ojciec Święty odniósł się w tej wypowiedzi do przeciwników porozumienia, także tych spośród chińskich katolików, i wypowiedział słowa zadziwiające nie tylko z politycznego, lecz także doktrynalnego punktu widzenia. – Myślę o tych, którzy stawiają opór, o katolikach, którzy cierpieli – mówił Ojciec Święty. – To prawda, oni ucierpią... Każde porozumienie jest okupione jakimś cierpieniem. Jednak oni mają wielką wiarę. I oni piszą. Docierają od nich przesłania, że to, co Stolica Apostolska, co Piotr mówi, jest tym, co mówi Jezus. Oznacza to, że męczeńska wiara tych ludzi dziś się rozwija. Oni są wielcy – oznajmił papież. A słuchając tych słów, trudno nie zadać pytania, czy rzeczywiście watykańscy kurialiści, którzy podpisali owo porozumienie, mają prawo do skazywania na cierpienie tych, którzy są owego porozumienia przedmiotem. Czy rzeczywiście porozumienie, które w istocie ogranicza władzę Kościoła, może być traktowane jako wezwanie do posłuszeństwa? I wreszcie czy można i należy wzywać do przyjmowania w duchu posłuszeństwa

porozumienia, które ignoruje los więzionych i prześladowanych biskupów oraz kapłanów, którzy byli wierni Kościołowi i papieżowi?

Tyle kwestie polityczne i moralne. W tej sprawie jest jeszcze problem doktrynalny, bo ze słów papieża wynika, że umowy międzynarodowe podpisane, przez lepszych lub gorszych negocjatorów (w tym przypadku raczej gorszych), wynegocjowane na podstawie lepszych lub gorszych założeń (w tym przypadku raczej gorszych, bo zakładających, że komuniści są zdolni do realnych ustępstw), są w istocie tym, co mówił Jezus. Watykan, w tym także papież, wielokrotnie mylił się w ocenie sytuacji politycznej czy podpisywał błędne i szkodliwe porozumienia międzynarodowe. Jeśli przyjąć obecne słowa Franciszka, to trzeba uznać, że mylił się wówczas i błędził Pan Jezus, a przecież tak nie było.

ELIMINACJA Z POMOCĄ WATYKANU

I żeby nie było wątpliwości, tak ostra ocena porozumienia watykańsko-chińskiego nie pochodzi tylko ode mnie. Jeszcze ostrzej dokument ten oceniają chińscy, zawsze wierni papieżowi i Ko-

ściołowi katolicy. – Chiński rząd odniesie sukces w wyeliminowaniu Kościoła podziemnego, i to przy pomocy Watykanu – mówił kard. Joseph Zen, emerytowany metropolita Hongkongu. Hierarcha ten, zawsze wierny Kościołowi, przypomina, że dokument pojawia się w momencie, gdy prześladowania katolików nasilają się, bo władze chcą odebrać prawo do wychowania dzieci w wierze, a także coraz mocniej prześladować tych, którzy nie chcą się zgodzić na całkowite podporządkowanie Kościoła zasadom i normom chińskiego komunizmu. Ciekawe jest także to, że dzień po podpisaniu porozumienia Konferencja Episkopatu Chin i Chińskie Stowarzyszenie Patriotyczne (reprezentujące katolików wiernych Pekinowi, a nie Rzymowi) wydały wspólne oświadczenie, w którym powtórzone zostają wszystkie komunistyczne slogany na temat sinizacji i nie ma nawet wzmianki o tym, o co od dziesięcioleci walczył Kościół podziemny.

Kardynał Zen w niezwykle ostrych słowach przypomniał także o tym, że porozumienie watykańsko-chińskie niesie ogromne cierpienie podziemnym katolikom. – Wcześniej pochodziło ono z represji rządu, ale teraz z porozumienia. Podziemni katolicy obawiają się, że Stolica Apostolska zdradza wiarę i że wymaga od nich, aby przyłączyli się do tej zdrady – mówił kardynał.

Co zatem powinni zrobić chińscy katolicy? Odpowiedź kard. Zena jest prosta. Nie powinni sprzeciwiać się papieżowi ani Watykanowi, bo to tylko ucieszy komunistów, ale nie powinni także przyłączać się do stowarzyszenia patriotycznego i w żadnym razie nie mogą deklarować lojalności wobec tych zasad komunistycznych wyznawanych przez „patriotycznych katolików”, które są sprzeczne z wiarą. – Mogą pozostać w domach, tam też można się modlić – mówił kardynał. A jego słowa pokazują, w jak dramatycznej sytuacji, z powodu porozumienia podpisanego przez ludzi, którzy niewiele wiedzą o komunizmie i Chinach, a którzy za wszelką cenę chcą odnosić sukcesy, znajdują się teraz ludzie cierpiący przez dziesięciolecia dla Chrystusa i Kościoła. Im należy się w tej chwili wsparcie. Modlitewne, a także publiczne. To chińscy katolicy, a nie watykańscy kurialiści powinni być przez nas wspierani. Szczególnie mocne jest to w Polsce, która przekonała się, że w kwestii dialogu z komunistami Kuria Rzymska i Stolica Apostolska myliły się już wielokrotnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zduszeni dotacjami



FOT. FOTOLIA



Tomasz Cukiernik

Korzystanie z dotacji unijnych nie wszystkim przedsiębiorcom wychodzi na dobre

Wbrew ogólnej opinii unijne dotacje niekoniecznie rozwijają gospodarkę, a często ich skutki mogą być opłakane. Tworzą nieuczciwą konkurencję, w wyniku czego dochodzi do wypchania z rynku

podmiotów lepszych, ale nie korzystających z publicznego wsparcia. Przykładem jest historia Krzysztofa Pawła Bogocza, znanego niezależnego twórcy filmowego. – Kiedy Polska wchodziła do UE, moja firma działała na rynku już od

kilkunastu lat, ale bardzo duże dotacje, rzędu 10 tys. euro, przyznawano mojej konkurencji na zakup czy wymianę sprzętu, co w mojej działalności jest kluczową sprawą. Ja ze swojego zysku nie byłem w stanie tego zrobić z taką samą częstotliwością. W ten sposób konkurencja dotowana przez UE zniszczyła moją firmę – opowiada Bogocz. – Każda z tych firm istniała tylko te dwa lata wymagane przez przepisy UE. Co więcej, firmy te były budowane na zakładki. Powstawała jedna na dwa lata, korzystała z dotacji, później ją przepi-

sywano na żonę i następne dwa lata na dotacjach. Po drodze wyprzedawali ten sprzęt na rynku. Oczywiście mogłem kombinować tak samo, ale wydało mi się to nielogiczne, niemoralne i głupie, no i odpadłem – dodaje.

PUŁAPKI DOFINANSOWANIA

Nawet ci, którzy decydują się na dotacje, nie są w pełni bezpieczni. Długi czas oczekiwania na podpisanie umowy czy opóźnienia w wypłacie dotacji powodują niespodziewane komplikacje i mogą zagrozić całym projektom czy nawet istnieniu biznesu. Jedna z firm z województwa śląskiego podpisała umowy o dofinansowanie na duże sumy i rozpoczęła budowę sieci telekomunikacyjnej, mocno zadłużając się na wkład własny i wydatki bieżące. Potem się okazało, że refundacje spływają z dużym opóźnieniem i z tego powodu musiała brać kolejne kredyty. Realizacja projektu opóźniała się, z powodu opóźnień nie było spodziewanych przychodów, to z kolei stwarzało kolejne opóźnienia i dalsze zadłużanie się... aż w końcu firma straciła płynność finansową i upadła.

Podobne przypadki bankructw z powodu opóźnień w wypłacie dotacji zna Andrzej Sadowski, prezydent CAS. – Przedsiębiorca nie mógł z własnych pieniędzy zapłacić ani ZUS, ani wynagrodzeń, ani odprowadzić podatków, a aparat skarbowy i ZUS-owski nakładał kary, bo przedsiębiorca nie płacił – mówi Sadowski. – Gdyby zapłacił ze swoich pieniędzy, pieniądze byłyby niezaliczane, byłyby potrącane z tej przyszłej dotacji, która do niego nie docierała. Tworzono takie pułapki na przedsiębiorców. Stąd pojawiły się bankructwa z tytułu przynależnych dotacji.

Po zrealizowaniu unijnego projektu często zaczynają się uciążliwe inspekcje. – Jako beneficjent unijnych funduszy przy kolejnej kontroli czułem się tak, jakbym był klientem sklepu mięsnego w PRL – mówi przedsiębiorca z województwa śląskiego, który kupował maszyny do swoich zakładów. – Kontrolerzy czepiali się najdrobniejszych szczegółów. Musiałem na piśmie wyjaśniać, jaki wpływ na całość wielomilionowej inwestycji mojej firmy będzie miał fakt, że zostały zakupione monitory o średnicy 21,6 cala zamiast 22 cali, jak było w umowie dotacyjnej. Przy „nieprawidłowościach” takiego kalibru

kontrolerzy odbierają kilka procent dotacji, mimo że i tak współfinansowanie unijne nie jest specjalnie duże, bo w granicach ok. 20 proc. wartości inwestycji – opowiada.

Mniej szczęścia mieli przedsiębiorcy z województwa wielkopolskiego, którzy pismo wypowiadające umowę o dofinansowanie z żądaniem zwrotu dotacji w terminie 14 dni otrzymali od PARP w ostatnim dniu trzyletniego okresu trwałości projektu! Teraz sprawa jest w Naczelnym Sądzie Administracyjnym, ich firma zbankrutowała, a wspólnicy nadal oskarżani są o wyłudzenie funduszy unijnych, mimo że na ten projekt wydali z własnych środków prawie milion złotych, z czego dotacja obejmowała niecałe 30 proc. tej kwoty.

Inwestor z województwa mazowieckiego ma na karku postępowania prokuratorskie także pod zarzutem próby wyłudzenia pieniędzy UE. Bezpodstawnie zarzucza mu się, że nie zostały wykonane prace, które można zobaczyć

tu. PARP wypowiedziała mu umowę i kazała zwrócić otrzymaną dotację, mimo że we wcześniejszych kontrolach nie stwierdzono żadnych uchybień. Czy takie zachowanie urzędników wynika wyłącznie z niekompetencji czy ze złośliwości? Bynajmniej nie. Czasami od wysoko punkowanego wniosku ważniejsze jest poparcie polityczne albo dogadanie się – chodzi o łapówki albo o zlecenie konkretnym firmom podwykonawstwa inwestycji. – Jeszcze nie ukazały się oficjalne wyniki konkursu, które projekty zostały zakwalifikowane do realizacji, a już dzwoniли bardzo dobrze poinformowani przedsiębiorcy i naciskali, by zlecić im wykonawstwo – opowiada przedsiębiorca z województwa mazowieckiego.

Są jeszcze inne niebezpieczeństwa. Marek Bernaciak, właściciel firmy AMB Technic z Koła, który postanowił, że nigdy nie będzie się starał o unijne pieniądze, jest zdania, iż największą wadą dotacji jest to, że papierkowa robota może tak bardzo angażować personel firmy. Nawet do tego stopnia, że nie będzie już ludzi do wykonywania podstawowych zadań. – Największą szkodą dotacji dla biznesu jest rozproszenie. To może brzmieć dla laika niewinnie, ale koncentracja na działalności jest najpotężniejszym narzędziem przedsiębiorcy. Rozproszenie jest zatem wytrąceniem mu z ręki tego narzędzia. Dowiadywałem się o osobach, które wzięły dotacje i „spaliły” całą firmę, bo potem uruchomienie tej dotacji było tak angażujące i tak odciągające je od głównej działalności, że nie były w stanie firmy prowadzić – opowiada.

Z kolei Mateusz Benedyk z Instytutu Misesa mówi wprost, że dotacje generują problemy z rozwojem gospodarczym. – Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, dotacje hamują rozwój gospodarczy, ponieważ hamują te przedsiębiorcze poszukiwania w celu spełniania potrzeb konsumentów – tłumaczy Benedyk. – Dotacje mają zgubny wpływ na działania przedsiębiorców. One przedsiębiorców krok po kroku korumpują. To osłabia czujność i zdolność do reagowania na zmiany rynkowe – dodaje.

A jak wynika z raportu NIK, udzielana pomoc publiczna, np. w zakresie innowacyjności, nie wpływa w zauważalny sposób na podwyższenie innowacyjności polskiej gospodarki.

Dotacje z Unii tworzą nieuczciwą konkurencję, przez co z rynku wypychane są podmioty lepsze, ale niekorzystające ze wsparcia

na własne oczy. – Projekt został zrealizowany i odebrany. Mało tego, byliśmy dokładnie kontrolowani w trakcie trwania inwestycji i na jej koniec. Dotacja została rozliczona. I wtedy zaczęły się ciągłe najazdy policji. Musimy udowadniać, dlaczego wielbłąd ma garb, i to mimo faktu, że inwestycja bez problemu uzyskuje wskaźniki zgodne z umową dotacyjną – żali się przedsiębiorca.

URZĘDnicy I NĘKANIE

Poszkodowani beneficjenci często skarżą się na niezgodne z prawem działania „bezkarnych i bezczelnych” urzędników. Inwestor z Warszawy czekał na urzędnicze pismo 304 dni zamiast 30 dni, jak było ustalone w umowie. W efekcie, żeby zdążyć zrealizować zadania zaplanowane na 10 miesięcy, musiałyby je wykonać w ciągu miesiąca, co było niemożliwe. Ostatecznie nie pozwolono mu dokończyć projek-



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Gdy państwo produkuje

Co produkują firmy państwowe? To pytanie wcale nie jest aż tak bardzo pozbawione sensu, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało. Bo, owszem, państwowe firmy – tak jak prywatne – zazwyczaj produkują coś, do produkcji czego zostały stworzone, lecz – po pierwsze – produkują nie tylko to, a po drugie – zazwyczaj wytwarzane przez nich produkty na niekorzyść odstają od podobnych, produkowanych przez firmy prywatne – zarówno jakością, jak i ceną.

Ot, choćby państwowe kopalnie, które „produkują” głównie wiecznie niezadowolonych ze swych zawsze za niskich 14 pensji w roku górników, a dopiero przy okazji – trochę węgla, zazwyczaj – m.in. właśnie z powodu tych wysokich płac – za drogiego w porównaniu z ofertą konkurencji z prywatnych kopalń (w naszym przypadku – głównie z zagranicy). A państwowa kolej – sfrustrowanych kolejarzy i koszmarnie opóźnienia pociągów, a państwowe szpitale – takich lekarzy i niekończące się kolejki do zabiegów.

Nie inaczej – państwowe zakłady zbrojeniowe, które „produkują” głównie niezadowolonych z wysokości swych płac pracowników, a także niemało niezłe płatnych posad dla polityków i ich znajomych. A przy okazji, jak się da, to trochę broni i amunicji, choć nie tylko ostatnio notowane przez nie wyniki dowodzą, że nie jest to przesadnie ważna – a już na pewno nie kluczowa – część ich działalności. W tej

sytuacji ani trochę nie dziwi, że tak trudno się doczekać nie tylko okrętów z państwowych stoczní, lecz także innego sprzętu z pozostałych państwowych zakładów, np. autobusów z Autosanu.

Na szczęście większość firm z innych branż udało się po bankructwie PRL sprywatyzować, choć walka mniej efektywnych państwowych z bardziej efektywnymi prywatnymi toczy się nieustannie. Szczególną ostrożność z odrąbaniem zwyczajstwa nakazuje spora skłonność obecnej władzy do mylenia repolonizacji z nacjonalizacją i upływający czas, który zacieśnia obraz koszmaru państwowego antygospodarki.

Aż strach się bać nie tylko cen usług w bankach, gdyby udział tych państwowych w sektorze wzrósł jeszcze bardziej – do pozycji monopolistycznej. Bo także ich jakości. Podobnie jak strach się bać cen polis, w przypadku jeszcze większego zdominowania rynku przez państwowego ubezpieczyciela. Chociaż już przed obowiązkową przesiadką do wyprodukowanych przez państwowe zakłady polskich samochodów elektrycznych raczej nie musimy drżeć – nie ma takiej siły, by któryś z nich był w stanie takie cudo – dostatecznie tanio i dobrze – wyprodukować. Lecz – dla odmiany – cudnie byłoby, gdyby w tym motoryzacyjnym przełomie swój udział miały polskie firmy prywatne. I aby państwo im w tym nie przeszkadzało, za wszelką cenę próbując forsować pozycję jakiegoś państwowego „elektryka”. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Wiek danych

Osile ekonomicznej, politycznej, a nawet militarnej kraju w XXI w. będzie decydowała jego zdolność do wykorzystania sztucznej inteligencji, uczenia maszynowego, Internetu rzeczy i robotyzacji we wszystkich sferach życia. Roboty i Internet rzeczy to będzie hardware, a sztuczna inteligencja i uczenie maszynowe – software nowego świata.

Ten, kto zbuduje lepszy software, wygra. Może się wydawać, że Polska musi odnieść sukces w XXI w., przecież kształci świetnych informatyków, którzy odnoszą międzynarodowe sukcesy. A najlepsi informatycy napiszą najlepszy software, na jego bazie powstaną najlepsze firmy i Polska będzie jednym z wygranych w tym globalnym wyścigu.

Niestety, ten paradygmat jest już nieaktualny. W czasach, gdy o sukcesie decydują sztuczna inteligencja i uczenie maszynowe, przeciętny data scientist jest w stanie uzyskać lepszy model niż wybitny data scientist, jeżeli ma dostęp do lepszych danych. Na tym właśnie polega uczenie maszynowe – im więcej danych i im lepsze są dane, tym lepsze wyniki prognoz modelu.

Dane będą paliwem napędzającym gospodarkę w XXI w. Im więcej i lepszej jakości tego paliwa będziemy mieli, tym większe będziemy odnosić sukcesy. Pokazuje to bardzo wyraźnie Kai-Fu Lee w swojej najnowszej książce „Superpowers”. Tę książkę powinni przeczytać wszyscy

decydenci w polskich firmach i w sektorze publicznym, bo jeśli zrozumieją, jak ważną rolę odgrywają dane w postępie technologicznym w czasach uczenia maszynowego, to wówczas będą mogli stworzyć warunki do technologicznego i cywilizacyjnego skoku Polski oraz polskich firm w XXI w.

Danych jest bardzo dużo, ale wiele z nich nie jest łatwo dostępnych. Szacunki mówią, że w minionych dwóch latach ludzie wygenerowali więcej danych niż w całej historii ludzkości. To nie tylko dane statystyczne o gospodarce i społeczeństwie, w posiadaniu których jest sektor publiczny, lecz także cała zawartość Internetu.

To filmy, zdjęcia, zapis kamer przemysłowych i ulicznych, Internet rzeczy, kontent tworzony przez miliardy ludzi w sieciach społecznościowych w postaci filmów, zdjęć i tekstu, miliardy transakcji on-line i off-line, dane geolokalizacyjne czy dane produkowane przez miliony aplikacji mobilnych, które generujemy za pomocą smartfonów w każdej sekundzie.

Polski rząd powinien podjąć intensywne działania prawne i organizacyjne na rzecz usprawnienia dostępu do danych polskim firmom, aby na tej bazie powstawały nowe modele biznesowe wykorzystujące sztuczna inteligencję i uczenie maszynowe. Dzisiaj dostęp do danych jest tak samo ważny dla sukcesu firm jak dostęp do finansowania. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

MACIEJ PIECZYŃSKI: Kod kreskowy z prefiksem „590” oznacza, że dany towar został wyprodukowany w Polsce. Stąd też nazwa Kongres 590. Jak często, pańskim zdaniem, konsumenci rzeczywiście sprawdzają prefiks, kierując się zamiarem kupna polskiego produktu?

BARTOSZ RADZIKOWSKI: W moim odczuciu staramy się jako społeczeństwo, poprzez liczne działania promocyjne, zachęcać do kupowania polskich produktów. Jednym z narzędzi tej promocji jest też sam Kongres 590, podczas którego rozmawiamy przede wszystkim o polskiej gospodarce oraz o stojących przed nią wyzwaniach.

W ostatnich latach udało się zmienić świadomość konsumentów, zachęcić ich do poszukiwania na półkach sklepowych towarów wyprodukowanych w Polsce. Wydaje mi się, że odnieśliśmy na tym polu pewne sukcesy.

I jakie są efekty? Na ile głos przedsiębiorców podczas Kongresu 590 wywarł wpływ na decyzje polityków?

Podczas pierwszej edycji kongresu ówczesny wicepremier Morawiecki zapowiedział powstanie Konstytucji Biznesu. Zapowiedź tę zrealizował. Podczas tegorocznej edycji będziemy dyskutować o tym, jakie konkretne wymierne efekty Konstytucja Biznesu zdążyła już przynieść polskim przedsiębiorcom. Można również zauważyć, że w ostatnich latach polska dyplomacja gospodarcza skuteczniej wspiera eksport polskich towarów.

W jakich branżach zauważa pan wzrost konkurencyjności polskich towarów?

Od zawsze polską specjalnością jest produkcja żywności. Obecnie szczególnie wysoką jakością oraz – co za tym idzie – bardzo dużym uznaniem konsumentów cieszą się tradycyjne, regionalne wyroby spożywcze. Rolnictwo to jednak nie wszystko. Zagraniczne rynki zdobywają polskie firmy



**Z Bartoszem Radzikowskim,
szefem Rady Programowej Kongresu 590
rozmawia Maciej Pieczyński**

Kupujemy polskie produkty

z branży paliwowej, rowerowej, odzieżowej, budowlanej, w tym stolarki okiennej, kosmetycznej, a także np. z branży motoryzacyjnej – mam tu na myśli produkcję naczip, nie mówiąc już o produkcji autobusów. Polskie firmy coraz lepiej radzą sobie również w sektorze IT. Tę branżę niedługo będzie można uznać wręcz za naszą narodową specjalność, a granie w „Wiedźmina” za przykład patriotyzmu gospodarczego. Więcej na ten temat będzie można się dowiedzieć podczas Kongresu 590, w bloku poświęconym nowym technologiom.

A czy jest jakaś branża, którą pańskim zdaniem w niedalekiej przyszłości podbiją przedsiębiorcy z Polski?

W moim odczuciu takie projekty powstaną w branżach, w których dystans do światowych liderów jest relatywnie najkrótszy. Mam tu na myśli mocno innowacyjne i niszowe jednocześnie branże – chociażby te związane z wykorzystaniem technologii cyfrowych w służbie zdrowia, np. wykorzystanie big data czy internetu rzeczy w celu zwiększenia profilaktyki zdrowotnej osób starszych. Kolejna branża, w której niebawem możemy się stać potęgą, to cyberbezpieczeństwo. Nasi informatycy, opracowując innowacyjne w skali świata rozwiązania, mogą nie tylko skutecznie obronić nas przed cyberatakami, lecz także – w co głęboko wierzę – zdobyć sławę porównywalną z historią polskich matematyków, którzy złamali kody Enigmy. Z pewno-

ścią w tym procesie warto profilować naukę pod współpracę z biznesem, w tym naukowe kadry dla biznesu.

Jakie są mocne i słabe strony polskiego eksportu?

Do niedawna słynęliśmy głównie z niskich kosztów pracy (co jest naturalną fazą rozwoju w procesie konwergowania gospodarek), pomalutko się to zmienia. Nasze produkty stopniowo podbijają świat, jest jednak pewien problem, z którym niewątpliwie trzeba się zmierzyć. Mianowicie: na świecie można kupić wiele polskich produktów, które sprzedawane są nie pod marką producenta, tylko pod marką dystrybutora. Tak jest np. w branży meblarskiej, można zaryzykować stwierdzenie, że nieznane na świecie polskie marki meblują świat. Podobnie jest w branży spożywczej – dostarczamy żywność naszej produkcji do niemieckich, francuskich czy brytyjskich sklepów, gdzie sprzedawane są właśnie jako żywność niemiecka, francuska czy brytyjska. Warto zadbać o polską markę w świecie, co możemy postawić sobie za cel budowy naszego soft power za granicą – do czego też nawiążemy na naszym listopadowym kongresie w Jasionce koło Rzeszowa.

Przed nami trzecia edycja Kongresu 590. Czym będzie różnić się od poprzednich?

Przede wszystkim, zgodnie z tendencją poprzednich edycji, zakładamy różnicę

(wzrost) w liczbie uczestników. Przechodząc do kwestii programowych, porozmawiamy m.in. o problemach gospodarczych, np. polskim modelu rozwoju gospodarczego z raportem Polskiego Instytutu Ekonomicznego, wyzwaniach firm, m.in. rodzinnych, potencjale zrzeszania się przedsiębiorstw, wsparciu eksportu (osobno na każdym kontynencie) czy wreszcie zapoznamy się z premierowym raportem Polska 2018 Fundacji Republikańskiej. Dodatkowo uwagę poświęcimy sprawom społecznym – m.in. znaczeniu pracowników 50+ na rynku pracy, pracowniczym programom kapitałowym, zachęceniu polskich absolwentów najlepszych uczelni na świecie do powrotu do kraju czy wreszcie zastanowimy się nad marką kobiecego przywództwa w organizacjach. Poza eksperckimi panelami dyskusyjnymi przeprowadzimy również serię debat na gorące i często pojawiające się w przestrzeni publicznej tematy, takie jak zakaz handlu w niedzielę, wzrost płacy minimalnej oraz aktywne inwestowanie państwa w rozwój konkretnych sektorów gospodarki.

Niezmienne Kongres 590 jest przede wszystkim okazją, by przedstawiciele administracji publicznej wysłuchali przedstawicieli biznesu, zapoznali się z ich problemami i potrzebami, a w efekcie – by mogli efektywnie służyć przedsiębiorcom oraz ich wspierać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. ZESPÓŁ PROGRAMOWY K590



Bartosz Radzikowski
– ekspert w Biurze Analiz Strategicznych Agencji Rozwoju Przemysłu SA, autor felietonów i komentarzy do bieżących wydarzeń ekonomicznych w prasie codziennej.

MOTOROLA MOTO Z3 PLAY

Duży, ładny ekran, świetna jakość wykonania oraz system modułów pozwalających dopasować smartfon do własnych potrzeb – to największe zalety jednego z najnowszych telefonów od Motoroli.

Niestety, użyty procesor jest już nieco przestarzały, a cena smartfona niebezpiecznie balansuje na granicy szaleństwa: 1999 zł za telefon ze średniej półki to o co najmniej 500 zł za dużo.

Największą zaletą tego smartfona jest 6-calowy wyświetlacz Super AMOLED o żywych kolorach, niezłej jasności maksymalnej, dobrych kątach widzenia i rozdzielczości 2160 x 1080 pikseli.

Fajnym rozwiązaniem są też moduły, które możemy dodawać do smartfona. Od razu w pudełku znajdziemy powerbank, który wydłuża czas pracy telefonu z mniej więcej doby do półtora, dwóch. Moduły przyczepia się szybko i łatwo. Dzięki nim można dodać do motoroli projektor, potężniejszy głośnik czy aparat fotograficzny.

Dobrze działa zarówno umieszczony na boku telefonu skaner linii papilarnych, jak i system rozpoznawania twarzy. Po stronie plusów



można też wpisać moduł NFC, USB typu C oraz hybrydowy dual SIM.

Niestety, we wnętrzu zainstalowano dość starawe podzespoły. Snapdragon 636, 4 GB

pamięci RAM oraz 64 GB pamięci wewnętrznej to specyfikacja, za którą powinno się żądać nie więcej niż 1 tys. zł. Oczywiście dzięki Androidowi 8.1 bez zbyt wielu nakładek w większości sytuacji smartfon działa płynnie, ale za 2 tys. zł można mieć już telefon z 6 GB pamięci RAM i nowocześniejszym procesorem.

Mocno przeciętny jest również aparat fotograficzny. Przy pełnym słońcu fotografie wychodzą przyzwoicie. Zdjęcia robione przy gorszym oświetleniu są już jednak pełne cyfrowego szumu.

Teoretycznie wysoką cenę może uzasadniać to, że Moto Z3 Play to pierwszy na świecie smartfon, który ma możliwość połączenia się z powstającymi dopiero sieciami w standardzie 5G. Teoretycznie, bo potrzebny do tego jest moduł 5G moto mod, który w sprzedaży pojawi się dopiero za kilka miesięcy i nadal nie wiadomo, ile będzie kosztował.

Sprzęt jest odporny na zachlapania. Brakuje jednak pełnej wodoszczelności, która powinna być już standardem w smartfonach za 2 tys. zł. Szkoda również, że nie ma możliwości bezprzewodowego ładowania Moto Z3 Play. © ©

Jacek Przybylski

ELEKTRYCZNA WYŚCIGÓWKA



Elektryczne rowery, elektryczne skutery, samochody, a teraz i elektryczne wyścigówki. Jednym słowem – elektryfikacja albo raczej neoelektryfikacja, bo proces podłączania do prądu wszystkiego, co się da, zapoczątkowany wybudowaniem w 1882 r. przez Thomasa Edisona pierwszej elektrowni publicznego użytku, znów przeżywa swój renesans, i to w wyścigowym tempie. A skoro już o wyścigach mowa, to na Zachodzie zaczyna się moda

na elektryczne gokarty, którymi można ścigać się np. wokół domu (mieszkającym na blokowiskach nie zalecam). Na rynek weszły właśnie Ninebot Electric Gokart, czyli driftujące elektryczne samochodziki. Są one w stanie (dzięki dwóm silnikom – max. 800 W) przyspieszyć od 0 do 12 mil na godzinę (ok. 19,3 km/godz.) w dwie sekundy. Kierowcy mogą wybrać między trzema trybami jazdy: początkującym (prędkość maksymalna – 8 km/godz.), standardowym (do 18 km/godz.) i sportowym (do 24 km/godz.).

Pojazd można też nieco zmodyfikować. Odłączając tylną oś wraz z kołami i dołączając kierownicę, otrzymujemy... coś w rodzaju elektrycznej deskorolki, którą świetnie można przemieszczać się np. po drogach rowerowych lub korytarzach wielkich korporacji.

Minusem Ninebot Electric Gokart jest nie najsilniejsza bateria, której żywotność zmienia się w zależności od różnych trybów jazdy, z maksymalnym zasięgiem do 20 km. Pełne jej naładowanie zajmuje ok. 3,5 godz. Czyli można pojeździć wkoło domu lub orlika, ale wybranie się gokartem z centrum Warszawy do znajomych mieszkających na obrzeżach miasta raczej odpada. Za najprostszy model trzeba na Indiegogo zapłacić ok. 3,7 tys. zł.

GRAMOFON Z KŁOCKÓW

Czego potrzeba, by posłuchać muzyki z płyt winylowych? Wygląda na to, że kilku klocków i Bluetooth. Tak, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wygląda DUO, czyli miniaturowy zestaw „stołowy” do odtwarzania muzyki. W rzeczywistości DUO to gramofon z odłączanym głośnikiem Bluetooth, którego kompaktowa, hybrydowa konstrukcja daje możliwość korzystania z nagrań w dowolnym momencie, bez kłopotliwych połączeń do systemu stereo.

Głośnik można ze sobą nosić, działa odległości 15 metrów od gramofonu, waży zaledwie 800 gramów. Cały zestaw „grających klocków” na jednym naładowaniu baterii działa ok. 10 godzin. Cena na Kickstarterze to ok. 700 zł, dostawa w grudniu. © ©

Wojciech Wybranowski



Biznesmax,

czyli dopłata i gwarancje na bankowo

Gwarancja Biznesmax to bezpłatne zabezpieczenie spłaty kredytu oferowane przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Może być przeznaczona na zabezpieczenie kredytów finansujących projekty wpływające na rozwój działalności gospodarczej przedsiębiorstw, w tym związanych z wdrażaniem wyników prac badawczo-rozwojowych firm z sektora MŚP

DŁUGI OKRES ORAZ BONUS

Gwarancje BGK cieszą się ogromną popularnością wśród właścicieli firm. Dla przedsiębiorców wyjątkowo korzystny jest bowiem maksymalny zakres gwarancji, która może wynosić nawet 80 proc. kwoty kredytu (do 2,5 mln euro). Wielkimi zaletami są także długi okres gwarancji (do 20 lat) oraz brak prowizji za jej udzielenie.

Co więcej, uzyskanie gwarancji wiąże się również z możliwością otrzymania dopłaty do oprocentowania kredytu objętego gwarancją. Jest to dotacja refundująca zapłacone odsetki, której wysokość zależy od kwoty wypłaconego kredytu i jego oprocentowania.

Skorzystanie z oferty BGK pozwala więc na obniżenie kosztu kredytu i zwiększenie zdolności kredytowej na skutek zwrotu części zapłaconych odsetek (za okres pierwszych trzech lat kredytowania). Uzyskanie gwarancji umożliwia

również uzyskanie lepszych warunków kredytowania w porównaniu do standardowej oferty banku (niższa marża, rozłożenie spłaty na dłuższy okres, udostępnienie wyższej kwoty kredytu).

Udzielona gwarancja będzie stanowiła albo pomoc de minimis albo regionalną pomoc inwestycyjną.

JAK OTRZYMAĆ GWARANCJĘ?

Gwarancja Biznesmax jest udzielana przy współpracy z bankiem kredytującym. BGK kooperuje zarówno z bankami komercyjnymi, jak i ze spółdzielczymi. W sumie to aż 11 działających w Polsce banków.

Wniosek o gwarancję może złożyć przedsiębiorca, który jest rezydentem, prowadzi firmę należącą do sektora MŚP, posiada zdolność kredytową i jest uprawniony do skorzystania z pomocy de minimis lub regionalnej pomocy inwestycyjnej. Z kredytu objętego gwarancją można sfinansować oprócz kosztów

inwestycyjnych, również koszty towarzyszące (np. usługi doradcze, uzyskanie zdolności patentowej, uzyskanie, walidację i obronę patentów czy internacjonalizację wdrożeń wyników prac na badania i rozwój) mogą stanowić do 20 proc. sumy kosztów kwalifikowanych projektu oraz koszty finansujące kapitał obrotowy: np. wynagrodzenia, pozapłacowe koszty zatrudnienia, materiały, produkty i towary, podatki i opłaty, amortyzację, reprezentację i reklamę (do 30 proc. sumy kosztów kwalifikowanych).

Procedura otrzymania gwarancji Biznesmax jest prostsza niż w przypadku dotacji z funduszy europejskich. Przedsiębiorcy mogą liczyć na uproszczone formalności – wniosek o udzielenie gwarancji wraz z planem inwestycyjnym składa się razem z wnioskiem kredytowym – oraz szybką ścieżkę decyzyjną – nabór wniosków odbywa się bowiem w trybie ciągłym, a ocena merytoryczna projektu odbywa się bez udziału komisji eksperckich. Zabezpieczeniem gwarancji na rzecz BGK jest weksel in blanco wraz z deklaracją wekslową.

Więcej informacji na stronie <https://www.bgk.pl/przedsiębiorstwa/poreczenia-i-gwarancje/gwarancja-biznesmax/>



Fundusze Europejskie
Inteligentny Rozwój



Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





Łukasz Zboralski

Wśród polskich siatkarskich mistrzów świata było dwóch, którzy mieli coś do udowodnienia – belgijski trener i Bartosz Kurek. Najważniejszy sprawdzian jednak wciąż przed nimi

Tym, którzy lubią sport, a zwłaszcza siatkówkę, trudno o tej sprawie mówić bez euforii. Polska drużyna nie tylko pokazała, że jest najlepsza na globie. Nasi siatkarze zrobili to drugi raz z rzędu. Wszyscy z pokolenia 30–40-latków przez lata jedynie słuchali opowieści swoich ojców o tym, co kiedyś znaczyła polska siatkówka. Na pamięć znają historię drużyny Huberta Wagnera, która w 1974 r. wywalczyła mistrzostwo świata, a dwa lata później sięgnęła po mistrzostwo olimpijskie. Teraz to pokolenie ma własną sportową legendę, którą może samo opowiadać swoim dzieciom.

Byłoby kłamstwem napisać, że zawdzięcza to tylko dwóm osobom. Bo wraz z trenerem i sztabem na ten sukces zapracowała ciężko cała drużyna. Jednak dla dwojga ludzi ten sukces musi smakować wyjątkowo słodko, jak belgijskie czekoladki, których fanem jest obecny trener Vital Heynen.

LICZY SIĘ TYLKO WYGRANA

Podczas meczów polskiej reprezentacji Heynen nie wygląda na zbyt otwartego i miłego faceta. I tak było podczas każdego spotkania na tych mistrzostwach. Nawet gdy Polacy zdobywali przewagę, odskakiwali na kilka punktów i wiodło się w meczu dobrze, mina trenera była kwaśna. Pochłonięty bez reszty sprawdzaniem danych, meblowaniem meczu w głowie, rzadko się rozluźniał. Najlepszym podsumowaniem jego podejścia do rywalizacji była reakcja po najtrudniejszym i dramatycznym meczu półfinałowym ze Stanami Zjednoczonymi. Gdy Polacy wygrali i byli już pewni co najmniej srebra, Vital Heynen w surowy dla siebie sposób miał rzucić do zespołu, że jeszcze niczego nie mają świętować. Że czas wrócić do hotelu i przygotować się do kolejnego meczu.

O dwóch takich, co ukradli złoto

Podejście do sportu, w którym liczy się właściwie tylko to, by dać z siebie wszystko, walcząc o wygraną, by nie zadowalać się dobrą pozycją, choć byłaby też na podium, potwierdza również anegdota podawana w mediach, dotycząca spotkania z rodziną królewską z Belgii. Gdy arystokrata opowiadał, że w sporcie ważna jest rywalizacja, Heynen miał nie wytrzymać i dać do zrozumienia, że dla niego sport to dążenie do wygranej.

Zresztą z takim zamiarem przejął w tym roku prowadzenie polskiej reprezentacji. Postawienie na niego jest kolejnym dowodem na to, jak PZPS od lat świetnie dobiera selekcjonerów z zagranicy. Mieliśmy sporo sukcesów po tym, jak w 2005 r. polską drużyną zajął się Argentyńczyk Raul Lozano. Byliśmy mocni w Lidze Światowej, oczekiwania więc rosły, ale na igrzyskach w Pekinie w 2008 r. staliśmy poza podium, na piątym miejscu. To było za mało i wszystko rozpadło się w nie najprzyjemniejszej atmosferze. Przez chwilę drużynę prowadził inny Argentyńczyk – Daniel Castellani, a po nim wkroczył Włoch – Andrea Anastasi. I znów szło nieźle (m.in. wicemistrzostwo Europy, drugie miejsce w Pucharze Świata) aż do igrzysk. W 2012 r. w Londynie wszystko urwało się na ćwierćfinale. A potem było już tylko gorzej i w 2013 r. Anastasio zwolniono z funkcji selekcjonera.

Nowy rozdział polskiej siatkówki pisać zaczął Francuz – Stéphane Antiga, który Polskę znał dość dobrze, bo od lat grał tu w naszej lidze. W maju 2014 r. zaczął pracę jako selekcjoner naszej drużyny, by już we wrześniu doprowadzić do mistrzostwa świata, które osiągnęliśmy, wygrywając z Brazylią (wówczas 3:1). Jednak i on – nawet po takim sukcesie – został wyrzucony. I znów dlatego, że polskim siatkarzom nie udało się na igrzyskach. Już przed Rio było widać, że mamy kłopoty. Odsuwano je jednak, tłumacząc przygotowaniem do olimpiady. Nadzieje i oczekiwania nie mogły nie być duże – jechaliśmy tam jako mistrzowie świata. Skończyliśmy występy w ćwierćfinale. Przegraliśmy z Amerykanami (0:3), a Antiga krótko potem przestał być trenerem.

Przejęciowo reprezentację przejął na krótko Włoch Ferdinando De Giorgi i po nim nadszedł Belg. Vital Heynen miał mocny zapis w CV – na mistrzostwach świata w 2014 r. jako selekcjoner drużyny Niemiec sięgnął z nią po brąz. Jego drużynę pokonali wówczas w ćwierćfinale

niesamowici Polacy Antigi (3:1). Z polską drużyną miał jeszcze więcej sportowej przykrości – bo to ona stanęła jego podopiecznym na drodze do awansu na igrzyska w Rio. I po tej porażce Belg przestał pracować dla zachodnich sąsiadów.

Polski Związek Piłki Siatkowej przekonał podobno nie tylko dokonaniem sportowymi, lecz także zdolnościami językowymi. Belg mówi po francusku, angielsku i niemiecku. Obiecał, że w krótkim czasie będzie mógł prowadzić treningi po polsku.

Najistotniejszy jest jednak cel, który postawił przed sobą Heynen. Po przylocie z mistrzostw świata do Polski, podczas konferencji prasowej, Heynen

Bartosz Kurek wypadł ze składu, który zdobył mistrzostwo świata w 2014 r. Teraz został uznany za najlepszego gracza turnieju

ujawnił, że obiecał PZPS złoto. – Kiedy w lutym spotkaliśmy się w gabinecie u prezesa Kasprzyka, obiecałem mu złoty medal. Tak było, prezese? – pytał. I zawiesił na szyi szefa związku to, co przywiózł z mistrzostw, dodając: – Stało się to szybciej, niż sądziliśmy.

Najważniejszy cel jest jednak inny. Belg podpisał z PZPS kontrakt do 2020 r., gdy odbędą się igrzyska w Tokio. W wywiadach nie ukrywał, że marzy o medalu olimpijskim, którego nigdy nie zdobył – ani jako zawodnik, ani jako trener. Siłę tej reprezentacji dobrze zna. Przyznał się, że jeszcze przed półfinałem z Amerykanami, czyli po pokonaniu Włochów, napisał do córki, żeby kupiła bilety i przyjechały do Turynu, bo tata „zapisze się w historii”. Jednak presja w Polsce związana z sukcesem olimpijskim jest równie wielka jak dziś nasza drużyna. Czy Belg będzie tym, który poradzi sobie z igrzyskami?

KUREK ODKRĘCONY

Antigę i Heynena dzieli i łączy jeszcze coś, a właściwie ktoś – Bartosz Kurek. Francuski selekcjoner nie zabrał tego zawodnika na mistrzostwa świata w 2014 r. W ostatniej chwili kibice i Kurek usłyszeli, że na mistrzostwa akurat on, postrzegany często jako filar, nie jedzie. Trener musiał poradzić

sobie wówczas z ogromną medialną falą oburzenia. Niewielu mogło wybaczyć to, że jeden z zawodników, którzy dwa lata wcześniej błyszczeli, wygrywając Ligę Światową, został skreślony. Jednak złoto pokazało, że Antiga dobrze zdecydował o składzie.

Po mistrzostwach polska siatkówka była na ustach wszystkich, ale Kurek – po raz pierwszy od ośmiu lat znajdujący się poza kadrami – zaczął trochę wypadać z obiegu. Grał wtedy we włoskim klubie Cucine Lube. Ostatecznie wrócił do kraju i zaczął grać w Asseco Resovii Rzeszów.

Stéphane Antiga postanowił jednak dać mu szansę w Rio w 2016 r. Tam jednak nasz atakujący – po tegorocznych mistrzostwach świata uznany oficjalnie za najlepszego zawodnika turnieju – niewiele pokazał. I choć na pewno chciał udowodnić, że i jemu należało się miejsce w złotej drużynie sprzed dwóch lat, wszystko poszło nie tak.

Kurek miał zacząć nowy etap w drużynie w Japonii. Podpisał nawet kontrakt, ale nigdy tam nie pojechał. W oświadczeniu dla mediów zawarł wstrząsające jak na sportowca wyznanie – przyznał, że wypalił się mentalnie, że utracił pasję i chęć do gry. Grać jednak nie przestał. Wrócił do klubu, który dobrze znał – PGE Skra Bełchatów. Potem razem z życiową partnerką przeniósł się do Turcji. Tam z kolei borykał się z problemami zdrowotnymi. Sezon miał tam nieudany.

Na szczęście nowy selekcjoner polskiej drużyny widział dla niego miejsce, choć nie miał żadnych sentymentów – Kurek musiał ostro walczyć o miejsce w składzie z czterema atakującymi kolegami. Jego forma jednak rosła.

Zagadką pozostanie, czy to Heynen przełączył w głowie Kurka jakiś niewidzialny pstryczek, czy po prostu trafili na siebie w najlepszym czasie dla atakującego. Faktem jest, że na mistrzostwach świata Bartosz Kurek błyszczał. Wbijął piłki w parkiet bezradnych Włochów, Amerykanów, Brazylijczyków. Był jak maszyna, jak świetnie działający mechaniczny pogromca.

Jedno już udowodnił i sobie, i wszystkim innym – jest wielkim zawodnikiem. Mistrzem świata. Ma to, czego tak bardzo wcześniej mu zabrakło. Jest przecież jednak prawdziwym sportowcem i tak samo jak selekcjoner musi marzyć również o medalu na igrzyskach. Czy Tokio będzie jego kropką nad i? © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Tomaszem Sztrekerem, prezesem Polskiej Akademii Biznesu, którego mama chorowała na nowotwór
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Zacznij żyć

KATARZYNA PINKOSZ: Diagnoza „nowotwór”, zwłaszcza zaawansowany, wywraca życie do góry nogami. Kim wtedy staje się człowiek?

TOMASZ SZTREKER: Rodzina, znajomi zasypują poradami, co robić, jaką terapię wybrać. Dla lekarzy człowiek staje się numerkiem, osobą w stanie terminalnym. Bardzo pomocna jest społeczność osób chorych: nawzajem się wspierają, przekazują informacje. To od nich uzyskaliśmy najwięcej pomocy.

Mama była osobą pełną empatii. Uczyla w szkole. Kiedy już w ostatnim etapie choroby miała przerzuty do głowy, jej największym problemem było to, że jeden z uczniów nie przyszedł na poprawę. Dzwoniła do niego, do koleżanki nauczycielki, prosząc, żeby dała mu szansę. Zdał. Po śmierci mamy na FB szkoły było wiele wpisów: „To moja najukochańsza nauczycielka, tylko ona we mnie wierzyła”.

Czego w Polsce najbardziej brakuje, jeśli chodzi o podejście systemu ochrony zdrowia do osoby chorej?

Chory jest pozostawiony sam sobie, nie ma wsparcia psychologicznego ani psychiatrycznego, a często popada w depresję. Z jednej strony potrzebuje miłości, z drugiej myśli: „Oni mnie tak kochają tylko dlatego, że jestem chory i pewnie umrę”. Trudno jest opiekunom zmienić taki sposób myślenia osoby chorej, dlatego niezbędna jest też pomoc psychologiczna dla rodziny, opiekunów. Brakuje również pełnej informacji o leczeniu. Jeśli lekarz proponuje np. chemioterapię, to powinien też powiedzieć, co pacjent może zrobić, żeby chronić się przed jej szkodliwymi działaniami. Gdy mama przechodziła chemię, miała jej wszystkie możliwe skutki uboczne – wy-

mioty, silne bóle, uczucie palenia całego ciała od środka. Wydawało jej się, że jest nie w swoim ciele. Wielu rzeczy można by uniknąć, gdyby wcześniej przygotować się do tego psychicznie i fizycznie.

Nie dostaliście informacji, że może tak być?

Dostaliśmy kartkę z informacją o możliwych skutkach ubocznych, i tyle. Nikt jednak nie mówił, jak przygotować się do chemioterapii. Sam szukałem takiej wiedzy. Dopiero przy radioterapii zdecydowaliśmy się na wlewy z witaminy C – dzięki temu mama dochodziła do siebie szybciej. Znalazłem informację o grzybach reishi, shiitake, soku z granatów, witaminach, odpowiedniej diecie – oczywiście trzeba mieć świadomość, że te wszystkie rzeczy nie leczą raka, ale być może wzmocnią organizm czy delikatnie spowolnią rozwój choroby. Terapie powinno się skonsultować z lekarzem, dietetykiem. Nie zawsze mają oni wiedzę na ten temat, a bywa i tak, że informacje od nich wzajemnie się wykluczają.

Byli lekarze, którzy mówili, że to nie ma sensu, że mamie zostało kilka miesięcy życia.

Jedna z takich sytuacji była wyjątkowo przykra. Lekarz powiedział wprost: „Zabieracie czas moim dzieciom, bo ja muszę przygotować terapię”. Mówił, że on musi płacić z własnej kieszeni za zdobywanie wiedzy. Zapytał też mamę, czego od niego oczekuje. Gdy powiedziała, że po prostu chce żyć, stwierdził, iż to „zły adres”. Dla pacjenta, który oddaje swoje życie w ręce takiego lekarza, to coś strasznego. Mama czuła się, jakby włożył jej nóż w serce. Oczywiście to była wskazówka i „wynagrodziliśmy” pracę tego lekarza. Przygotował „lepszą” terapię. Wyrzucałem sobie potem, że

może gdybym wcześniej wiedział, iż trzeba w ten sposób wesprzeć jego zdobywanie wiedzy, to może już wcześniej byłaby leczona lepszą metodą.

Wziął łapówkę?

Nie chcę nazywać niektórych rzeczy po imieniu, ale „wsparcie” to nie był prezent, tylko środki materialne w wysokości dla nas znaczącej, nawet bardzo. Nie jestem dziś w stanie o tym mówić ani cokolwiek z tym robić. Wie pani, jeśli spotka się 10 dobrych lekarzy, a potem trafi się jeden, który potrafi to wszystko zepsuć, to nie da się tego wymazać z pamięci.

W ostatniej fazie choroby mama miała bardzo wysokie ciśnienie, ale praktycznie całe życie się na nie nie leczyła. Kiedy zadzwoniłem do lekarza, jakie leki można jej podać, bo źle się czuje, odpowiedział, żeby nie martwić się ciśnieniem, bo przecież ma raka. To zabrzmiało tak, jak gdyby już nie warto było jej leczyć. Gdy po chemioterapii mama miała straszne bóle, lekarze mówili, żeby się nie martwić, bo przecież są ważniejsze rzeczy. Tylko że ona przez kilka miesięcy niemal nie spała – gdy się kładła, płakała z bólu. Byliśmy wiele razy u lekarzy – nikt nie potrafił po-

FOT. ARCHIWUM TOMASZA SZTREKERA

móc. Dopiero gdy trafiliśmy do poradni leczenia bólu, dostała odpowiednie leki. Po ich przyjęciu przestało tak boleć, ale z kolei źle działały na psychikę. Gdy zaczęły być w Polsce legalne kannabinoidy, zaczęliśmy je stosować. Dla mnie to był cud. Bóle praktycznie odeszły, a mama też psychicznie wróciła do nas. Niestety, są one nadal drogie, bo kosztowały ok. 4 tys. zł miesięcznie.

Spotykaliście też lekarzy bardzo pomocnych.

Oczywiście. Jedna z pań doktor, ordynator oddziału w Warszawie, przytuliła mamę i powiedziała, że postarają się zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby pomóc. Ta krótka rozmowa wlała w mamę dużo siły. Doskonale zdają sobie sprawę, że praca lekarza jest bardzo trudna, a w tej

specjalizacji prawie codziennie spotyka się on ze śmiercią. Jednak taką wybrał drogę, a chory potrzebuje rozmowy, wsparcia.

Dużo korzystaliście z tzw. terapii alternatywnych. To nie jest wyciąganie pieniędzy od ludzi?

Szukaliśmy wszystkiego na całym świecie – Niemcy, USA, Filipiny. Byliśmy u osoby, która prowadzi ośrodek na południu Polski – kilkadziesiąt tysięcy złotych kosztował turnus oczyszczający: masaże, dieta, okłady borowinowe. Wzmocnił organizm, ale nie zabezpieczył przed nowotworem. Jeździliśmy też do lekarza onkologa, który stosował wlewy z witaminy C i kurkuminy, tlenoterapię, komorę hiperbaryczną. Wizyta kosztowała 3–5 tys. zł. W gabinecie było miło, ładnie, lekarz mówił, że pomaga, i aż chciało się mu wierzyć. Zaproponował też kupno za kilkadziesiąt tysięcy złotych kamizelki, która miała powodować, że przez ciało przebiegał prąd, niszcząc komórki rakowe. Powiedzieliśmy, że zapłacimy trzy razy tyle, jeśli mama wyzdrowieje. Nie zgodził się. Zrezygnowaliśmy z jego usług. Inny lekarz przedstawiał się, że jest doktorem medycyny naturalnej, kończył ją w USA, ale uczył się też w Norwegii, Szwajcarii. Nie chciał nic za wizytę. Dał mamie bardzo dużo witamin, powiedział też, że ona nie ma raka. Przez to, gdy pojawiały się kolejne przerzuty, wszyscy mieliśmy bardzo silny proces wypierania choroby z umysłu. Uwierzeliśmy mu...

Zastanawia mnie etyka osób, które oferują tego typu terapie...

Myślę, że one naprawdę w to wierzą. Spośród kilkuset pacjentów, których spotkaliśmy w różnych miejscach, niektórym udało się pokonać chorobę. Takie świadectwo wyleczonego jest bardzo mocne i ludzie chcą płacić wielkie pieniądze za to, by nie stracić wiary.

Jak w sytuacji choroby powinni się zachować rodzina, znajomi, by pomóc?

Ludzie chcą dobrze, ale przysyłają mnóstwo informacji, często sprzecznych. Lepiej zapytać: „Chcesz, żebym poszukał, popytał znajomych?”. Nie powinno się też za dużo rozmawiać o chorobie, jeśli chory tego nie chce. Chory chce cieszyć się każdą chwilą, a potrafi też dać wiele ciepła i miłości innym. Warto powtarzać: „Jesteś dla mnie kimś ważnym. Cieszę się, że jesteś”.

Korzystaliście z pomocy hospicjum domowego. To pomaga?

To zbawienie dla chorego i rodziny. Do domu przychodzi kilka osób – pielęgniarka, lekarz, rehabilitant, psycholog. Wraz z nimi wchodzi życie. Chory na to czeka. Poza tym to ogromne wytchnienie dla rodziny: można zrobić obiad, pojechać na zakupy. W razie problemu można zawsze zadzwonić do lekarza, np. gdy trzeba zmniejszyć ból. Po to, żeby do końca człowiek mógł się cieszyć życiem, pokazać swoją prawdziwą twarz, a nie tę, która wynika z choroby. Pani pielęgniarka Teresa, która sama pokonała nowotwór, to był dla nas skarb i do dziś utrzymujemy ze sobą kontakt, bardzo dużo nam pomogła.

Nie uważam, że mama przegrała walkę z rakiem. Wewnętrznie ją wygrała. Budziła się rano, mówiąc: „O, ptaki śpiewają, cieszę się, że śpiewacze również dla mnie”. Cieszyła się z kwiatów: „Zakwitłyście dla mnie, dziękuję za to”.

Choroba wiele zabiera, ale też coś daje...

Nie wiedziałem, że mamy w sobie takie pokłady miłości, jakie wyzwoliłyśmy z siebie, gdy mama była chora. Może to dziwnie zabrzmie, ale to był jeden z najcudowniejszych okresów w moim życiu. Kiedyś, gdy jako dzieci jeździliśmy z rodzicami na wakacje, w samochodzie wszyscy śpiewaliśmy: „Wędrowali szwacy przez zielony las, nie mieli pieniędzy, ale mieli czas”. Gdy mama była tak ciężko chora, tata prowadził ją z dużego pokoju do toalety. Śpiewali wtedy razem tę piosenkę...

Tata codziennie mówił, że ją kocha, powtarzał, że jest najpiękniejsza, chociaż nie miała włosów i była napuchnięta od sterydów. Ostatni tydzień byliśmy wszyscy razem. Nowotwór to taka choroba, która mówi drugiemu człowiekowi: „Nie wiesz, ile czasu ci zostało, ale może to nie być długo. Zrób swoje życie takim, żebyś się nim cieszył. Zaczynaj w końcu żyć tak, jak zawsze chciałeś. Kochaj i daj się pokochać!”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pobożny pijanica Borejko

Spośród czterech największych pijaków Rzeczypospolitej wymienianych przez ks. Kitowicza niepoślednie miejsce zajmuje Piotr Borejko czy też Boreyko, herbu własnego, kasztelan zawichojski, podstoli żydaczowski i miecznik brackowski. Adam Małachowski z Bąkowej Góry, o którym już pisałem, przymuszał gości do wychylania duszkiem półgarncowego kielicha wina. Książę Karol Stanisław Radziwiłł urządził figle i psoty z obrazą dla zdrowia i moralności biesiadników. O wiele spokojniejszy był Janusz książę Sanguszkowski, który miał tak tęgą głowę, że gdy już się spał, kazał zaprzęgać konie do karety i przejechał kilka mil, powracał trzeźwy, jak gdyby nigdy nic, po czym pił na nowo z tymi, którzy jeszcze byli w stanie dotrzymać mu towarzystwa.

Piotra Borejkę dla odróżnienia zwano pijakiem pobożnym, nade wszystko bowiem lubił pić z duchownymi. Oby zaś nie uchybić zwyczajom, organizował we dworze pijackie klasztory. Najpierw rozsyłał pisma do różnych zakonów, aby przysłali mu po dwóch braciszków, „jakikolwiek pobożny pretekst do tego wymyśliwszy”. Ma się rozumieć, że przeorowie wysyłali mu takich, którzy mieli jak najtęższe głowy. Borejko zamykał się z nimi na wiele dni i nocy w osobnych pokojach, oznajmiając domownikom, że to jest klasztor, do którego po zamknięciu nie wpuszczano nikogo – gości, swoich, obcych, żony ani – co oczywiste – żadnej kobiety.

Tak doniosła ceremonia jak picie ku Bożej chwale wymagała specjalnego przygotowania. I tak zatem pokoje sypialne dla wygodnych pijących wykładano słomą i kobiercami, by każdy mógł spać tam, gdzie padł. Wyznaczano też zaufanych służących do posług, a przy jednym z drzwi zawieszano



FOT. WIKIPEDIA

dzwonek – tak jak przy furcie klasztornej. Dzwoniąc nim, oznajmiano, że nadchodziła pora mszy, posiłków i oczywiście silentium – kiedy już wszyscy „popiwszy się, powywracali na owej słomie”.

Rzecz jasna, że w pijackim „klasztorze” nie śmiano w żaden sposób uchybić Panu Bogu. Dlatego też zawsze spośród gości Borejki naznaczano odpowiedniego kapłana, który miał odprawiać mszę świętą. Nie była to najlepsza z funkcji, jako że „temu nie dali pić dłużej niż do godziny jedenastej, chociażby chciał, biorąc jeszcze ściślej godziną czas abstinencji kanonami przepisanej”. Zapewne też dlatego każdego kolejnego dnia godność ową sprawował inny spośród członków pijackiego konwentu.

Rozkład dnia był prawie jak w klasztorze. Najpierw msza w kaplicy przy klasztorze. Potem napijali się herbaty, potem „wódki raz i drugi”, wreszcie śniadanie. „Po śniadaniu wino, po winie, mierznie zażyty, obiad, po obiedzie formalna pijatyka aż do wieczery, po wieczery toż samo. Wszakże przy tym wszystkim pacierze kapłańskie musiały być w owych godzinach odbyte i pan Borejko sam ich z kapłanami odprawował”.

Kiedy zaś pan kasztelan nie miał z kim pić albo zakonnicy byli zmęczeni pić, radził sobie w inny

sposób. Niedaleko od dworu kazał wzniesić na rozstajnych drogach kapliczkę św. Jana Nepomucena, z daszkiem, płotem i ławkami dookoła. Borejko udawał się tam z czeladzią i odmawiając paciorki różańca, czyhał na przypadkowych podróżnych. Każdy, kto tylko przejeżdżał w pobliżu, zapraszany był przed oblicze pana kasztelana. W dodatku Borejko był prawdziwym piewą multikulturowości picia, prosił bowiem pod kapliczkę każdego, kto przejeżdżał – niezależnie od stanu i nacji. Było mu wszystko jedno, czy to szlachcic, czy chłop, Żyd, mieszczanin, czy też dziad proszalny z kijem. Każdego pozdrawiał z daleka, zatrzymywał przywitaniem, skąd to, dokąd i po co. Tymczasem pacholek napełniał kielich, którym najpierw Borejko pił zdrowie podróżnego, a potem sam wymagał tego od niego. Zatem każdy gość musiał pić dopóty, dopóki nie padł z nóg. Na korzyść Borejki zapisać należy to, że wtedy zostawiał przy śpiącym swego sługę, który pilnował, aby nikt nie okradł pijanego. Jeśli zaś pod kapliczkę podjechało po kolei kilku podróżnych, „ze wszystkimi póty pił, póki każdego nie upoił”. Podróżny jadący z licznym poczem zapraszany był do dworu na „wstęp momentalny, na który jeśli się dał namówić, niełatwo się stamtąd wydobył”.

„Bodajś tyłego diabła zjadł jak pan Borejko” – powiadali obywatele województwa krakowskiego, bardziej jednak z podziwu niż ze złości. Raz, że pan kasztelan był niezwykle gościnny, dwa zaś, iż słynął z humanitarnego sposobu postępowania. Nie przymuszał bowiem nikogo do ścinania szklanicy duszkiem, tak jak Adam Małachowski; pozwalał odetchnąć, choć i to nie za długo. Jego syn, Pius Franciszek, był posłem na Sejm Czteroletni i nadzorował po nim sejmiki podolskie w celu potwierdzenia Konstytucji 3 maja. ©

PRZEPIS NA DOBRĄ FORMĘ IWONY GUZOWSKIEJ

Od 14. roku życia odżywiam się bardzo świadomie. Zrezygnowałam z wieprzowiny, a od pięciu lat unikam mięsa w ogóle. Pozwala mi to zachować nie tylko świetną kondycję, lecz także zdrowie i vitalność. Nie jedząc mięsa, zrobiłam legendarnego Ironmana (triathlon na pełnym dystansie 3,8 km pływania, 180,2 km roweru i 42,2 km biegu) we Frankfurcie i przebiegłam niejednego maraton, regenerując się błyskawicznie.

Niesamowicie dużo mamy możliwości, by jeść smacznie, mądrze i zdrowo. Natura nie poskąpiła nam warzyw, owoców, roślin strączkowych, wszelkiego rodzaju kasz czy grzybów. Te wszystkie dary to wspaniałe zdrowe pożywienie, które pozwoli nam cieszyć się zdrowiem przez długie lata.

Już słyszę mojego męża mięsożercę: „Co? Na obiad nie ma mięsa?”. Kiedy jednak podałam mu kaszę z grzybami, jadł, aż mu się uszy trzęsły.

Składniki:

- szklanka kaszy pęczak
- 100–150 g grzybów (kurki, podgrzybki, borowiki, w ostateczności pieczarki)
- 1 duża cebula
- dwa ząbki czosnku
- pół szklanki białego wytrawnego wina
- szklanka lekkiego bulionu
- 150 ml śmietanki 18-procentowej
- natka pietruszki lub rozmaryn
- dwie łyżki masła
- dwie łyżki oleju
- łyżka tartego sera (Bursztyn, Dziugas lub parmezan)
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Rozgrzewamy tłuszcz w garnku lub na patelni, wysypujemy kaszę i chwilę podsmażamy na niedużym ogniu. Dodajemy posiekaną cebulę, czosnek, zioła oraz wcześniej umyte i pokrojone grzyby. Mieszymy, podlewamy bulionem i pod przykryciem dusimy ok. 15 min, co jakiś czas mieszając. Kiedy kasza zacznie wchłaniać płyn, należy go uzupełnić.

Dodajemy wino i dusimy przez kolejne 5–7 min. Na sam koniec, kiedy jest już miękka, wlewamy śmietankę i doprawiamy. Podajemy posypaną tartym serem. Pycha! ☺☺

oprac. raw

Iwona Guzowska jest bokserką i kickbokserską, była posłanką.



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER



JOANNA BOJAŃCZYK

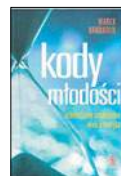
NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Eliksiry młodości

Do książki „Kody młodości. Odmładzanie strukturalne. Wiek a metryka” Marka Bardadyna podchodziłam trochę jak do jeża. Ile można jeszcze czytać o tym, że trzeba jeść jarzyny i owoce, dużo się ruszać i być wesołym? Doktor Bardadyn jest autorem licznych książek oraz porad medycznych w magazynach kobiecych i o zdrowiu, ekspertem od zdrowego stylu życia i odżywiania. Współpracuje ze stacjami telewizyjnymi. Wcześniej wydał bestsellerowe (jak zapewnia wydawnictwo Rebis) książki: „Nałóg jedzenia”, „Ochudzająca książka kucharska”, „Odmładzająca książka kucharska”, „Dietetyczne przepisy”. Tych nie czytałam, ale moje przekonanie, że „cóż nowego można jeszcze powiedzieć na ten temat”, okazało się niesłuszne.

Tę książkę czyta się z ciekawością. Daje ona całociowy pogląd na sprawę wieku, zdrowia, kondycji fizycznej, życia we współczesnej cywilizacji. Przedstawiając procesy zachodzące w naszym ciele wraz z upływem czasu, dr Bardadyn przekonuje, że „bez nadzwyczajnych zabiegów można systematycznie utrzymywać swój wiek biologiczny na poziomie co najmniej o pięć lat niższym niż wiek wynikający z metryki urodzenia”.

Cywilizacja postarza – mówi autor. Jemy więcej, niż potrzeba, i gorzej, niż powinniśmy, mało się ruszamy, spędzamy czas przy urządzeniach elektronicznych.



**MAREK
BARDADYN**
„KODY
MŁODOŚCI”
REBIS

Badania niezbicie wykazały, że tam, gdzie żyje się bliżej przyrody i pracuje fizycznie, średnia życia jest wyższa. „W niektórych rejonach świata mimo wymogów narzucanych przez cywilizację zachowały się pewne obyczaje dotyczące rytmu życia, aktywności w ciągu dnia i całego roku, które powtarzają się wraz ze zmianami jego pór, a także typowe pod względem składu pożywienie i regionalne rytuały spożywania posiłków. „Jeśli pozostaniemy przy dotychczasowych sposobach odżywiania, to w Stanach Zjednoczonych w 2025 roku nie będzie już osób z masą ciała, którą dziś uważa się za normalną” – straszy pan doktor. U nas nie jest jeszcze tak dramatycznie, ale trzeba uważać.

Co zatem robić i co to jest to odmładzanie strukturalne? Nie tylko kalorie się liczą (autor ostrzega, żeby nie dać się zwieść potrawom niskokalorycznym), ważne jest jedzenie, które zawiera odpowiednie ilości substancji niezbędnych do odżywiania i odnawiania tkanki łącznej. To ona decyduje o kondycji naszych organów, smukłej sylwetce, młodej twarzy.

Eliksiry młodości dr Bardadyna są niewyszukane i niedrogie: kasza gryczana, zarodki pszenne, pestki dyni i słonecznika, czarne jagody, kapusta. I koniecznie czosnek. ☺☺

NASZ TEST: VOLKSWAGEN GOLF ALLTRACK

Praktyczne kombi z osłonami podwozia, progów i nadkoli, z napędem na cztery koła oraz minimalnie większym prześwitem niż w standardowym Golfie Variance – to niemiecki przepis na godnego uwagi konkurenta dla popularnych SUV-ów. Najbardziej wszechstronna odmiana Golfa ma całe mnóstwo plusów i w zasadzie tylko trzy istotne wady: wysoką cenę, niewygodny tunel środkowy ograniczający komfort jazdy piątego pasażera oraz brak systemu ostrzegającego przed pojazdami w martwej strefie bocznych lusterek (lusterka, które w alltracku są jakby o rozmiar za małe).



W KABINIE

Na desce rozdzielczej dominujące miejsce zajmuje intuicyjny w obsłudze kolorowy wyświetlacz o przekątnej 9,2 cala. Na pochwałę zasługuje dopracowana grafika wysokiej rozdzielczości. Kolorowy ekran, na którym wyświetlane są informacje o prędkości, obrotach silnika, średnim spalaniu etc., zajął również miejsce klasycznych zegarów.

Podgrzewane przednie fotele są wygodne, a auto wystarczająco dobrze wyciszone, aby uterenowionym golfem wybrać się w komfortowych warunkach nawet w daleką podróż. Miejsca jest wystarczająco dużo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Przyczepić można się do wysokiego tunelu środkowego,

który utrudnia komfortową jazdę piątego pasażera, ograniczając miejsce na nogi – ale i w tym przypadku tragedii nie ma. Drobny minus trzeba też postawić za to, że w alltracku jest tylko jeden port USB, co utrudnia ładowanie smartfonów i tabletów w rodzinnym samochodzie.

Pojemność bagażnika wynosi 605 l, a po złożeniu tylnych oparć kufer rozrasta się do 1620 l.

JAZDA

Pod maską testowanego golfa pracowała dwulitrowa, wysokoprężna jednostka o mocy 184 KM. Auto do pierwszej setki rozpędzało się w 7,8 s, co w tej klasie jest naprawdę niezłym wynikiem. Prędkość maksymalna to 219 km/godz.

Napęd na cztery koła sprawia, że VW Golf Alltrack świetnie trzyma się drogi – szybkie pokonywanie serpentyn to czysta przyjemność. Jednocześnie jest tak zestrojony, że samochód dobrze radzi sobie z niwelowaniem dziur i wybojów.

Auto przyzwyczajone prowadzi się również po zjechaniu z asfaltu. Bez stresu można nim dojechać na budowę domu pod miastem czy na pola namiotowe. Golf Alltrack jest bowiem wyposażony w system, który zapobiega blokowaniu się kół podczas hamowania, oraz układ ułatwiający kontrolowany zjazd ze wzniesień ze stałą prędkością.

Trzeba jednak pamiętać, że wbrew nazwie nie jest to samochód na wszelkie szlaki. Próba jazdy w naprawdę trudnym, błotnistym terenie może jednak zakończyć się porażką i koniecznością poszukiwania uprzejmego rolnika z ciągnikiem do wynajęcia.

Średnie spalanie w cyklu mieszanym to 6,5 l/100 km.



BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP auto otrzymało maksymalną ocenę – pięć gwiazdek.

Golf Alltrack jest również wyposażony w liczne elektroniczne asystenty, którzy zwiększają bezpieczeństwo pasażerów. Seryjnie wyposażony jest m.in. w system Front Assist, z funkcją rozpoznawania pieszych, który automatycznie uruchamia hamulce w razie wykrycia ryzyka kolizji lub wypadku. Na zatłoczonych ulicach miast przydaje się z kolei opcjonalny układ Lane Assist, który w połączeniu z aktywnym tempomatem umożliwia autonomiczną jazdę po zakorkowanych trasach. Niestety, gazety w korku jeszcze nie poczytamy, bo auto bardzo szybko się upomina, aby położyć z powrotem ręce na kierownicy.

CENA

Najtańszy Golf Alltrack z silnikiem benzynowym o pojemności 1,8 l i mocy 180 KM z automatyczną sześciostopniową skrzynią biegów kosztuje 123,4 tys. zł. Taka wersja może jednak okazać się nieco za mało dynamiczna, aby cieszyć się z jazdy uterenowionym golfem w kombi.

KONKURENCI

Seat Leon X-Perience, Skoda Octavia Scout, Subaru Outback, Volvo V60 Cross Country ©©

Jacek Przybylski



Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE
10 GRUDNIA 2018, GODZ. 20.00



MECENASI KONCERTU



PARTNERZY



PATRONAT MEDIALNY



WSPÓŁORGANIZATOR



Projekt realizowany w ramach obchodów
stulecia odzyskania niepodległości

sfinansowano ze środków Fundacji PZU
Partner Fundacja PZU

eprasa.pl 55d20efde7



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Bitwa o Sąd Najwyższy

MARCIN MAKOWSKI: Od niespełna miesiąca Ameryka żyje sprawą sędziego Brett Kavanaugh. Wydawało się, że nominację do Sądu Najwyższego ma w kieszeni, tymczasem na ostatniej prostej pojawiły się oskarżenia o molestowanie seksualne wysunięte przez psycholog Christine Ford, dotyczące wspólnej imprezy sprzed... 36 lat.

MATTHEW TYRMAND: Cała ta sprawa od początku budzi moje wątpliwości i wygląda na ukartowaną. Mówimy przecież o sędzim z wieloletnim doświadczeniem, który służył wielu prezydentom USA, przeszedł właściwie wszystkie szczeble kariery, włączając w nie Sąd Apelacyjny w Waszyngtonie, który stanowi najwyższą instancję w kraju poza Sądem Najwyższym. Do tej pory w trakcie swojej pracy Kavanaugh przeszedł sześć dochodzeń FBI, podczas których przetrzepywano na lewo i prawo jego ewentualne brudy, które mogłyby zagrażać niezawisłości sędziowskiej. Od trzech dekad ten człowiek, którego dzisiaj nazywa się gwałcicielem, działał w przestrzeni publicznej i nigdy nie padł pod jego adresem oskarżenia o niestosowne zachowanie – aż do teraz. Wiem, że to obrazek jak z amerykańskiej idylli, ale takie są fakty: co niedzielę chodzi do kościoła, jest wolontariuszem w kuchni dla ubogich, ćwiczy kobiecą drużynę koszykówki w liceum... i nagle

pod koniec procesu nominacyjnego pojawiają się zarzuty w stylu #MeToo. Nieprzypadkowo oskarżenia o rasizm i napastowanie seksualne są najczęściej używaną bronią demokratów przeciwko republikanom.

Mimo wszystko zeznania Ford wypadły emocjonalnie, ale wiarygodne. Nawet Donald Trump stwierdził, że to dzielna kobieta, a jej słowa są warte wysłuchania.

Wierzę, że mogła być napastowana seksualnie w przeszłości, ale nie wierzę, aby to był Brett Kavanaugh. Ford nie podała żadnych twardej dowodów na poparcie swojej tezy o molestowaniu seksualnym. Nie pamiętała, ile osób było z nią na imprezie 36 lat temu, nie pamiętała części imion, tego, skąd się tam wzięła i jak wróciła do domu, myliła daty. Świadkowie, którzy byli na miejscu, nie potwierdzają jej wersji wydarzeń. Zznała, że Kavanaugh i jego przyjaciel, którzy chcieli ją zgwałcić, zamierzali to zrobić w sypialni na piętrze, zagłuszając jej krzyk włączeniem głośnej muzyki. Jeśli było tam faktycznie tylko około sześciu osób, to raczej sama muzyka zwróciłaby uwagę. Ponadto Ford nie ostrzegła przyjaciół, nikomu nie powiedziała, co się stało, przez całe życie nie zdradziła swojej historii. Zapewne

przez niezwykle zbieg okoliczności pomagają jej również ludzie od PR Hillary Clinton, zorganizowano internetową zbiórkę funduszy na prawników oraz przeprowadzono test wykrywaczem kłamstw – zadawano na nim jednak ogólne pytania odnośnie uczuć, a nie faktów.

Jak twoim zdaniem cała ta sprawa wygląda od strony politycznej i medialnej?

Ford wysłała list opisujący próbę gwałtu do senator Dianne Feinstein, reprezentującej demokratów w senackiej komisji sądownictwa. I ta senator, mając wiedzę o sprawie, czekała z jej ujawnieniem dwa miesiące, aż wszystko będzie gotowe i da się zakłócić wybór nowego, wskazanego przez Trumpa sędziego Sądu Najwyższego. Chodzi o przeciągnięcie go do momentu wyborów połowy kadencji, w której demokraci liczą na dobry wynik w Senacie. A to Senat ostatecznie decyduje o nominacji. Oczywiście później pojawił się tekst w „Washington Post”, uruchomiono całą maszynkę medialną. To wszystko jest takie przewidywalne. Zadziwia mnie również wybiórcze oburzenie moralne w sytuacji, w której znacznie gorsze sprawy po stronie lewicowo-liberalnej po prostu zamykane są pod dywan. Weźmy choćby demokratę Keitha Ellisona, pierwszego muzułmanina w Kongresie, dodatkowo ciemnoskórego. W tej chwili zamierza ubiegać się o fotel prokuratora generalnego stanu Minnesota. Człowiek ma na koncie oszustwa finansowe przy wcześniejszych kampaniach, a w tym roku przed prawyborami został oskarżony przez syna byłej dziewczyny o przemoc fizyczną oraz bicie jego matki. Są zaznania świadków, obdukcje, w całą sprawę od początku zaangażowała się policja, ale oczywiście to za mało, żeby sprawa trafiła do CNN. Ciekawe dlaczego? ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



OKIEM JASTRZĘBIA

Biedne te „żelki”, choć bogate

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Uwielbiam tanie chwyt. Dlaczego? Ponieważ są niezawodne, niezawodne i drażniące, a drażnienie bliźnich bardzo ich pobudza do myślenia...

Weźmy choćby następujący tani chwyt: porównanie polskich piłkarzy kopiących do polskich siatkarzy. Zaiste, ich sukcesy i sukcesy ich trenerów są wielce zróżnicowane. Na przykład sukcesem Adama Nawałki, moim zdaniem

Kiedy po zwycięskim półfinałowym meczu Polaków na mistrzostwach we Włoszech słuchałem naszych siatkarzy, żaden nie gwiazdorzył, żaden nie wypręzał ego ani nie nadmuchiwał się półfinałem. Przeciwnie – oni skromnie, ale twardo, że ale o co chodzi, że żaden sukces, że przecież oni nie mają w głowie tego konkretnego zwycięstwa, bo oni przyjechali wygrać finał, a finał jest jutro z Brazylią i o tym trzeba myśleć – tak mówili. Wtedy ja pomyślałem: Uuu, ktoś tym chłopakom w głowach bardzo dobrze pomeblował, i nie był to ani żel, ani Nawałka, ani pieniądze z kontraktów. Ktoś tym chłopakom dał motywację, determinację i wiarę w światła mistrzostwo.

Uuu (tak jeszcze pomyślałem na koniec z podziwem). A ten od meblowania to jest Vital Heynowski, Belg, ale właściwie to już nasz. Aż mam ochotę wstać z szacunku, jak o nim piszę (dobra, wstanę, zrobię kawę, zaraz wrócę. Wróciłem).

Kiedy patrzyłem na Bartosza Kurka z podziwem, wiedziałem, że nie może reklamować żelu ani nawet, jak gwiazdorzący Lewandowski, szamponu antyupieczowego. Szlachetna łysina niesie ze sobą pewne ograniczenia. Kurek jest dla mnie odtrutką na Lewandowskiego, kiedy odbierając nagrodę dla najlepszego zawodnika, mówił o drużynie: „Jak na wojnę, to z nimi”. Tak się buduje zespół, tak się wygrywa. A pieniądze? Ktoś policzył, że nasi siatkarze dostali 40 razy mniej za mistrzostwo świata niż nasze „żelki” za to, że na mistrzostwach świata nie wyszły z grupy. No i? Pieniądze nie zawsze wygrywają w sporcie...

Zmieniając temat: trwa seria cudownych wspomnień. Pewna pani wspomniała sobie, że dziewięć lat temu zgwałcił ją sam Ronaldo. Do tej pory tak za bardzo nie pamiętała, ale za milczenie wzięła 375 tys. dol. – tak twierdzi ona. Pani powiedziała dziennikarzom, że w 2009 r. nie chciała upubliczniać sprawy, ponieważ się bała. Widać, perspektywa zmonetyzowania (co za okropne słowo menedżerskie) zdarzenia sprzed lat dodała jej śmiałości. Pieniądze to lekarstwo na wiele schorzeń.

Ina koniec chciałem skomentować fakt przytulania się prezydenta Francji Macrona do półgołych czarnoskórych, spoconych mężczyzn pokazujących na zdjęciach z prezydentem wyprostowany środkowy palec. Panie Macronie, chodzę i szukam jakichś normalnych ludzi, którym pan imponuje. Chodzę i szukam. Już mnie nogi bołą. ©

Nasi siatkarze dostali 40 razy mniej za mistrzostwo świata niż nasze „żelki”

odrębnym, jest to, że do tej pory przyklejony jest do szafy napojów izotonicznych w warszawskiej siłowni w bardzo dobrej lokalizacji. Serio. Wiem, bo przecież widzę. Nawałka trwa uśmiechnięty na szafie w październiku, jakby nic się nie stało wczesnym latem w Rosji. Czy to nie sukces? Kupno takiego napoju (też z wizerunkiem Nawałki) z tej szafy uważam za rodzaj wyzwania. Wypijesz przed treningiem i może zamiast dźwigać w pocie pach, będziesz się tylko piłkarsko przechadzać z godnością między żelastwem? Bardzo okrutni są kibice, na przykład ja. Gdyby bowiem nasze „żelki” (pieszczotliwa nazwa nażelowanych reprezentantów Polski w piłce nożnej, zwanych też coraz rzadziej piłkarzami) coś tam w tej Rosji zagrały, to przecież noszone byłyby na obręczach barkowych przez rodaków oraz ze wszech miar hołubione. No, ale „żelki” nic nie grały, tylko pachniały, i to nie potem. Stąd tani chwyt porównywania ich do naszych mistrzów świata w siatkówce uważam za sadyzm usprawiedliwiony.



FOT. ROBERT CAROŹNIA



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Taśma niewygodnej prawdy

MATEUSZ MORAWIECKI: *Ma jakąś fundację, stowarzyszenie albo firmę? Zapytajcie go tak po cichu. Ja bym spróbował tak bardziej jednorazowo. Pięć dych czy siedem, czy stówkę mu damy na jakieś badania czy na coś. Pomyślę i jednorazowo będę mu mógł na pewno coś sprokurować.*

Nie wątpię, że uda się znaleźć wiele powodów do zbagatelizowania znaczenia taśmy

Jeśli ktoś nie rozumiał, dlaczego ujawnienie przez Onet „taśmy Morawieckiego” wywołało taką panikę w PiS, ale wcale nie ucieszyło Platformy, to powinien więcej rozumieć po opublikowaniu przez TVN fragmentów rozmowy dziwnym trafem przez dziennikarzy Onetu całkowicie pominiętych, choć przecież dużo mocniejszych niż to, co ujawnili. Trudno racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego dziennikarze skupili się na nagłośnieniu niczym niepartyjnych zeznań

kelnerów o kupowaniu przez obecnego premiera nieruchomości przez podstawione osoby, mając w ręku nagranie, na którym premier rozważa wyprowadzenie z kierowanego przez siebie banku niebagatelnej kwoty 100 tys. zł do podstawionej organizacji lub firmy, żeby w ten sposób wesprzeć biedującego po odsunięciu od koryta Aleksandra Grada. Moim zdaniem jest to jeden z mocniejszych wątków ze wszystkich dotychczas ujawnionych „taśm prawdy” i jego pominięcie przez dziennikarzy Onetu mogę sobie tłumaczyć tylko chęcią oszczędzenia polityka Platformy, na którym rozmówcy Morawieckiego nie zostawili suchej nitki. Zwłaszcza że ujawnienie tego fragmentu rozmowy w tekście poświęconym niepartyjnym dowodom oskarżeń kelnerów pod adresem Morawieckiego mocno by te oskarżenia uprawdopodobniło. Jeśli Morawiecki był gotów poratować Grada nie swoimi pieniędzmi, wyciągając je z kierowanego przez siebie banku w formie fikcyjnej darowizny

„na jakieś badania czy coś”, to nie zakładałabym się o jego uczciwość w innych finansowych sprawach. Z ostrożności procesowej nie nazwę rozważanego przez Morawieckiego proceduru „prokurowania” zapomogi dla Grada jedynym słowem, które wydaje mi się odpowiednie, ale dopóki nie usłyszę nieobrazającego inteligencji wyjaśnienia ze strony samego premiera, dopóty nie mogę go uważać za człowieka osobiście uczciwego. I obawiam się, że szybko się okaże, iż to dopiero początek jego problemów z wiarygodnością.

Nie wątpię, że uda się znaleźć mnóstwo powodów do bagatelizowania znaczenia taśmy, choć nawet bez potwierdzenia zeznań kelnerów Morawiecki wydaje mi się bliski moralnego bankructwa. Nie żeby to komuś przeszkadzało. Jednak jeśli – jak przypuszczam – dysponent taśm nie wypuścił jeszcze najmocniejszych nagrań, to mogę tylko podziwiać pewność, z jaką prezydent i prezes ręczą dzisiaj za premiera. Odważne, na granicy brawury. ©©

PODSŁUCHANE

Z zaskoczenia

Czego?

Radek, otwórz!

Zależy, kto prosi.

Grzesiek.

Nie poznałeś?

Wejdz. Czego chcesz?

Tak tylko wpadłem zapytać, jak się trzymasz po tych świństwach.

Dajże spokój! Mali ludzie po prostu, mali. Ten Kilian, nikt w porównaniu ze mną, kompletnie nikt, w Afganistanie nie był, książki żadnej nie napisał, i takie rzeczy o mnie... O mnie! O Morawieckim nawet nie wspominam. No, on akurat nic nie mówił.

Właśnie! Kiedy mnie Kilian obrażał, Morawiecki milczał. Nie wiem, co gorsze.

Tak. No cóż, przykro mi, że to się tak wszystko ułożyło. Ale wiesz, postawiłeś w końcu na Donalda, Donek też cię jakoś specjalnie niestety nie hołubił...

Ja? Na Donalda? Grzesiek, ja zawsze uważałem, że to ty powinienes być przewodniczącym. Ja ci zawsze po cichu sprzyjałem. Ile razy ja Annie o tym mówiłem?! Możesz ją spytać! Tylko ona akurat w Stanach jest.

No wiesz, toś mnie zaskoczył. A wiesz, że spytam. Tylko pożycz telefon, bo swój w biurze akurat zostawiłem.

Pożyczę, ale minuta połączenia z USA kosztuje dychę. Portfela nie zapomniawsz? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zamiast nacjonalistycznych obchodów Święta Niepodległości zorganizowałbym spotkanie przywódców UE i zadeklarował termin wejścia Polski do strefy euro”.

RYSZARD PETRU na Twitterze

NDmia

Ostatni mój felieton w „Do Rzeczy” A.D. 2017 (poświęcony), będący kolejną już z mojej strony naganą Ziemkiewiczowskiej endecji za to, że ciągłymi kalumniami i dyrdymałami paszkwilanckimi próbuje brudzić pamięć Bohatera Narodowego, Marszałka Józefa Piłsudskiego — wywołał zgrzytanie endeków (zgrzytają próchniejącymi kłami), co jest oczywiste, i przyniósł mi list Czytelnika, którego zdziwiło ostatnie zdanie felietonu. To zdanie mówi, że dzisiejsza endecja „padła niedaleko czerwonej jabłoni” malując repertuar szkalujących Marszałka (za PRL-u) komunistów. Według Czytelnika endecy i komuniści to dwa zupełnie odrębne plemiona, wzajemni wrogowie. Czytelnik się myli — to bliźniacy, szczepy etnicznie jednorodne do gruntu.

Narodowa Demokracja (ND), zwana przeze mnie Nacjonal Dmowszczyzną, zawsze była „porąbana” mentalnie. Czasami aż komicznie (czego jednym z dowodów fakt, że ponieważ Juliusz Słowacki był ulubionym poetą Komendanta, endecy bez żenady przypisują Mickiewiczowi najlepsze wersy Juliusza, vide ich pismo „NCz!” 48/2017), lecz zazwyczaj tragicomicznie lub tragicznie wprost. M. in. ma na koncie straszliwe ludobójstwo Polaków, dużo większe aniżeli wołyńskie, bo wiedzona szajbą swych etniczno-rasowych uprzedzeń, definitywnie skasowała (1921) geokulturową wspólnotę I Rzeczypospolitej, wydając prawie milionową społeczność polską Kresów (w tym masy patriotycznego ziemiaństwa) na przełom i rzeź ze strony Sowietów. Dokonało się to traktatem ryskim, wieńczącym zwycięską wojnę Piłsudskiego z bolszewikami, a podczas tych ryskich negocjacji delegaci Lenina byli zaszokowani faktem, iż strona polska odrzuca dawne polskie ziemie (m. in. Mińsk), które strona rosyjska im proponuje. Polską delegacją w Rydze kierowali endecy (Stanisław Grabski i kompania), torpedujący tam „federalistyczne” vel „jagiellońskie” koncepcje Marszałka, a realizujący fanaberie Dmowskiego. Lenin był w siódmym niebie dostając od endeków takie te rytoriale prezenty.

Bożyszcze Ziemkiewicza i wszystkich endeków, Roman Dmowski (założyciel Narodowej Demokracji, propagator „autonomii” Polski w ramach Rosji, deputowany rosyjskiej II i III Dumi Państwowej), całe życie był rusofilem, o czym wiedzieli wszyscy, nie wyłączając cudzoziemców. Wielki brytyjski myśliciel, pisarz i apologeta chrześcijaństwa, Gilbert Keith Chesterton, wspominał: „Rozmawiałem z Piłsudskim, i ten wspaniały, lecz dość ponury stary żołnierz powiedział mi, że z dwójga złego woli Niemcy niż Rosję. Wiadomo natomiast, że jego rywal Dmowski woli Rosję”. Uczniowie i epigoni Dmowskiego „woleli Rosję” do tego stopnia aberracji, że pokochali również Rosję sowiecką (bo chociaż była sowiecka, to jednak Rosją), czego klasycznym (i klinicznym) przykładem ów wzmiankowany

już przeze mnie kresobójca Stanisław Grabski (też poseł w ruskim parlamencie, a w II RP minister), entuzjastyczny gloryfikator Stalina („Generalissimus Stalin zrobił na mnie ogromne wrażenie. Chciałbym go porównać z Cromwellem. Stalin to wielki wódz, który mądrze rozwiązuje problemy wewnętrznej i zewnętrznej polityki”). Rosyjski dysydent Nikołaj Iwanow w swej książce „Komunizm po polsku” (2017) poświęcił Grabskiemu sporo miejsca („Już jako uczestnik ryskiej delegacji zajmował najbardziej przyjazne wobec Związku Sowieckiego stanowisko”, itd.). Ta prorosyjskość przeetrwała wśród endeków do dziś, czego ekspozycją jest choćby ich stosunek wobec antyrosyjskich polskich insurekcji narodowo-wyzwoleńczych (exemplum Adam Wielomski, perswadujący w „NCz!” 5/2016, że były to „insurekcje przeciwko legalnej władzy, gdy warchołom zachciało się «bić ruskiego»”). Legalna władza zaborcza — dobre!

Dzisiejsza autentycznie legalna władza piłsowska, mimo że wywodzi się z urn, czyli z decyzji narodu, wkurza endeków nie mniej niż dawne buntury kontrosyjskie. Naczelny redaktor „NCz!”, Tomasz Sommer, wzorem ultrasa Grzegorza Brauna przezwał PiS „grupą rekonstrukcyjną sanacji” (32/2017)



Słownik polszczyzny: „Endemia — choroba lokalna”



i wytłumaczył czytelnikom, że „sanacja to przecież formacja socjalistyczno-zamordystyczna, by nie powiedzieć: faszystowska”. Powiedział, by nie powiedzieć. Dołączając tą demagogią do lewaków, co jest naturalne, bo przecież komuniści i endecy prawie zawsze chrzanili podobnie lub tak samo. Lub działali podobnie. Piotr Kaszczyński nazwał (w „Rzeczypospolitej”) parę peerelowskich dekad „gomulkowo-endeczką Polską, którą stworzyli nam moiżni tego świata na konferencji jałtańskiej” (2017). Znamienne: udzielając wywiadu „Super expressowi” guru dzisiejszych endeków, mentor Ziemkiewicza, Janusz Mikke, gwałtownie oponował przeciw tezie, iż gen. Jaruzelski był zbrodniarzem („— Jaką zbrodnię popełnił?!”), jednocześnie grzmiać, że „Piłsudski był oberzbrodniarzem!” (2014). Przypominam, iż syn superendeka starszego pokolenia, Jędrzeja Giertycha, endek Maciej G. (ojciec Romana G.), kolaborował w popieranym przezeń „stanie wojennym” z gen. Jaruzelskim i jego czerwoną juntą. I że osławiony esbek, płk Lesiak („szafa Lesiaka”), twierdzi, iż SB zawsze miała — na bazie wspólnego antysemityzmu — „pewną naturalną sympatię do narodowców” (2018). Trudno, by było inaczej, gdy tę samą sympatię praktykowała „siła przewodnia”, czyli PZPR (Miłosz: „Jest ONR-u spadkobiercą

partia”). Maciej Wierzyński, wtedy wiceszef „Kultury”, wspomina (2018), że PZPR „lubiła mówić językiem ND”, dodając, że kiedy chciało się włączyć mocniej w tyłek ZSRR — sięgano po teksty Dmowskiego!

Wśród rodzimych komentatorów politycznych jest wielu, którzy uważają, że komunizm i endecja to paczka niemal tożsama, bratnia/pokrewna — ten sam nihilistyczny, demagogiczny, antysemicki, krętacki, fałszywie propolski syf. Jednak tylko niewielu odważa się takie przekonanie werbalizować. Odważył się Michał Płociński (szacun!) na łamach „Plusa Minusa”, pisząc: „W II RP duża część polskich konserwatystów uważała Dmowskiego za równie groźnego szaleńca co socjaliści. Nie dziwi zatem, że postawili na sanację. A nasi, czyli narodowi socjaliści? (...) Socjalizm i nacjonalizm to bliźniacze ideologie powstałe na tych samych fundamentach i pnące się do identycznych celów. Co więcej świetnie się uzupełniają (...) Austriacki filozof Friedrich A. von Hayek pisał o nazizmie, że jest naturalną drogą rozwoju komunizmu (...) Nie ma dużej różnicy między księżmi endekami a południowoamerykańskimi kapłanami głoszącymi teologię wyzwolenia (...) Prawda jest taka, że socjalizm i nacjonalizm łączy więcej niż mogłoby się wydawać” (2017).

Dzisiejszy priwiślański nacjonalizm też podlega temu mechanizmowi. Udzielając na samym początku roku 2018 wywiadu Paweł Kukiz westchnął, gdy mówił o „odłamie narodowym” wewnątrz swego sejmowego klubu: „— Okazuje się, że to są często koniunkturaliści, ludzie gotowi wytłumaczyć się sami przed sobą z największego świństwa”. Ta umiejętność autowytłumaczenia metodą retorycznej szacherki zawsze była specjalnością endeków. Instruktażowy tego popis dali blisko sto lat temu jako nieformalni podlegacze/promotorzy głośnego zabójstwa. Gdy z poduszczenia ujadającej endecji wyznawca jej poglądów, Eligiusz Niewiadomski, zamordował 16 grudnia 1922 roku prezydenta Gabriela Narutowicza (notabene podczas procesu mordercy oznajmił, iż pragnął zabić Piłsudskiego, ale że było to niemożliwe — wybrał sobie cel zastępczy; tuż przed egzekucją krzyczał, że ginie za Polskę, którą gubi Piłsudski) — kilkuset endeków ochrzciło swoje dzieci imieniem Eligiusz, a wspomniany prostalinowski endek, St. Grabski, fałszywie zapewniał, że Niewiadomskiego nic nie łączy z endecją, choć równocześnie kumpel Grabskiego, też fanatyczny endek, Zygmunt Wasilewski, błogosławił Niewiadomskiego jako „wybitnego przedstawiciela inteligencji polskiej”.

Na koniec mój apel do rodzimych prawodawców: szerzenie doktryny endeckiej, polegającej m. in. na oczernianiu Wskresiciela (1918) i Wybawiciela (1920) Polski, Marszałka Józefa Piłsudskiego, winno być karane tak samo jak szerzenie doktryny nacjonalsocjalistycznej (hitlerowskiej) oraz doktryny komunistycznej (leninowsko-stalinowskiej). ©©

Waldemar Łysiak



Twoje **bezpieczeństwo** to teraz **Santander Bank Polska**

**Bank Zachodni WBK
to teraz Santander Bank Polska**

 **Santander**
bank jaki chcesz

Bank Zachodni WBK S.A. zmienił nazwę na Santander Bank Polska S.A. Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr. KRS 0000008723, utworzona na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 11 kwietnia 1988 r. w sprawie utworzenia Banku Zachodniego we Wrocławiu (Dz. U. z 1988 r. Nr 21, poz. 142), NIP 896-000-56-73. Wysokość kapitału zakładowego 993 334 810 zł. Wysokość kapitału wpłaconego 993 334 810 zł.



1 9999



santander.pl

Koszt połączenia zgodny z taryfą danego operatora.